LICZENIE ZYSKÓW I STRAT

Czy Polska traci na przynależności do Unii Europejskiej?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 39/44 27 WRZEŚNIA–3 PAŹDZIERNIKA 2021

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

Warzecha o sztuce szczucia Polaków na Polaków

WRZESIEŃ 1939 R. – JAK SŁOWACJA Z HITLEREM I STALINEM NAPADŁA NA POLSKĘ

Semka, Ziemkiewicz, Jastrzębowski i Dwaj Panowie G. o „wielkiej aferze Mazurka"

ANTYSEMITYZM UROJONY

Jak się oczernia polskich pisarzy

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829 Nakład: 55,6 tys. egzemplarzy

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

NAGRODY W KATEGORIACH:

STRAŻNIK PAMIĘCI

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

ZAPRASZAMY
DO ZGŁASZANIA KANDYDATÓW
STRAZNIKPAMIECI@DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI

PZU

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Grupa HM Inwest S.A.

eprasa.pl 4ac3c5591e

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Samorządowa biała flaga

W całej tej historii dotyczącej uchwał broniących polskich samorządów przed inwazją ideologii LGBT lub ideologią gender najbardziej zaskoczyła mnie szybkość kapitulacji i jawne poddanie się szantażowi przez polskie władze. Być może niesłusznie, w końcu powinienem się był wreszcie przyzwyczaić do tego, że niewiele znaczą buńczuczne zapowiedzi i nie mniej krzykliwe prężenie muskułów. Sam się bałem, że tak będzie, i od chwili, kiedy to premier nie skorzystał z prawa weta w listopadzie 2020 r., przewidywałem, że dokładnie tak to będzie wyglądało. Coraz silniejsza presja ideologów z Brukseli, coraz szybsze wycofywanie się Warszawy na z góry upatrzone pozycje. Właściwie jedyne, co jeszcze nastąpi, to próba przykrycia tej porażki i ogłoszenia sukcesu.

Ale zanim usłyszę kolejną opowieść o partnerskich relacjach z Unią, o tym, że trzeba bronić suwerenności państwa, że jedyna Unia, która Polskę interesuje, to Unia ojczyzn, zanim znowu będę czytał o polskiej tożsamości i kulturowej samodzielności, tak skutecznie chronionej, pozwolę sobie przytoczyć garść faktów.

Pierwszy to publiczne groźby przedstawicieli Brukseli w stosunku do polskich samorządowców sześciu sejmików. W sierpniu przytoczyłem słowa niejakiej pani Marii Galewskiej, przedstawicielki Komisji Europejskiej w Polsce, która powiedziała do małopolskich samorządowców, że „regiony z uchwałami anty-LGBT – w kolejnym okresie programowania budżetowego – mogą mieć problem z otrzymaniem pieniędzy z Unii Europejskiej". Sugerowała ona, że jeśli uchwały nie znikną, to Komisja Europejska „nie widzi uzasadnienia dla dalszych inwestycji w 2021–2027 w promocję materialnego i niematerialnego dziedzictwa kulturowego regionu [...], skoro samorządy same przyczyniają się do kreowania swojego mało przyjaznego wizerunku". Żaden szantaż nie mógł brzmieć wyraźniej. Albo kapitulacja i wycofanie się z uchwał, albo pieniądze.

Fakt drugi to liczne podobne wypowiedzi i sugestie unijnych biurokratów, komisarzy i polityków. Ostatecznie dokładnie to samo – powiązanie wypłaty pieniędzy z ogłoszeniem kapitulacji – pojawiło się w przegłosowanych przez Parlament Europejski rezolucjach.

Fakt trzeci to przyjęty z triumfem i radością przez liberalne media list wiceministra finansów pana Waldemara Budy do polskich samorządów, w którym to zalecał wycofanie się z uchwał. Co ciekawe, pan Buda ogłosił, że należy przestrzegać przepisów unijnych, które „zapobiegają wszelkiej dyskryminacji […] ze względu na orientację seksualną". Śmiała ta interpretacja oznaczałaby, gdyby została przyjęta, właśnie totalne zwycięstwo ideologii LGBT. Na szczęście jest to na razie tylko pismo średniej rangi urzędnika państwowego, ale nie ma wątpliwości, że reprezentuje on pogląd premiera. Z tego też założenia wyszli samorządowcy, co prowadzi nas do faktu czwartego.

Fakt czwarty. W obliczu szantażu Brukseli i przy rejteradzie rządu samorządy zaczęły rezygnować z przyjętych wcześniej uchwał. Jako pierwszy ugiął się sejmik województwa świętokrzyskiego, który w środę, po dwóch latach, uchylił swoje stanowisko. Ach, łza się w oku kręci, kiedy pamięta się stanowczość, z jaką deklarowano: „My, radni województwa świętokrzyskiego, wyrażamy swoją głęboką dezaprobatę i zdecydowany sprzeciw wobec prowadzonych przez liberalne środowiska polityczne i społeczne prób promocji ideologii opartej na afirmacji LGBT, stojących w jawnej sprzeczności z dziedzictwem kulturowym i wielowiekowymi tradycjami chrześcijańskimi nie tylko Regionu Świętego Krzyża, lecz także Polski i Europy". Dziś z deklaracji nie zostało nic.

W poniedziałek 27 września ze swojej uchwały rezygnuje sejmik małopolski. Wcześniej, samorządowcy utworzyli funkcję pełnomocnika ds. rodziny i równości. Okazało się, że to za mało, i dlatego zapisy, które nie podobają się Komisji Europejskiej, zostaną „zgodnie z oczekiwaniami" uchylone.

Właściwie na tym mógłbym skończyć, wzruszając ramionami. W zderzeniu z presją Unii Polska okazała się bezradna. Ani razu nie zdecydowano się użyć wobec Unii tych instrumentów nacisku, którymi UE posługiwała się bezwzględnie wobec Polski. Nie skorzystano z prawa weta, nie zagrożono bojkotem lub wstrzymaniem wpłaty polskiej składki. Nie zastanowiono się nad innymi metodami, które mogłyby zaboleć unijnych biurokratów. Po prostu po długim okresie wypowiadania mocnych słów wywieszono białą flagę.

Jednak nie mam wątpliwości, że to nie koniec. Rozzuchwalona słabością polskiego oporu Brukseli będzie napierać. Skoro udało się wymusić kapitulację na samorządach, to teraz pora na Sejm. Pora na wprowadzenie pod obrady tych fragmentów rezolucji PE, które w praktyce będą realizować unijną równość i obronę przed dyskryminacją różnych orientacji. Ciekawe, kiedy to nastąpi, i ile Unia będzie za to gotowa zapłacić. Sądząc po szybkości, z jaką wymusiła posłuszeństwo na samorządach, cena nie będzie wygórowana. ©℗

eprasa.pl 4ac3c5591e

TEMAT TYGODNIA

20 KRZYSZTOF MASŁOŃ
SRUL A SPRAWA POLSKA
Tropiciele polskiego antysemityzmu wzięli pod lupę kanon lektur szkolnych

KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PRZEKRACZANIE GRANIC
Przekaz lewicowo-liberalnych mediów uzupełnia białoruską operację „Śluza"

28 ROZMOWA Z BARTŁOMIEJEM WRÓBLEWSKIM
OPERACJA WYSOKIEGO RYZYKA

30 KAMILA BARANOWSKA
TO JUŻ BYŁO

32 PIOTR SEMKA
DRUGI ODDECH TUSKA

36 TOMASZ ROWIŃSKI
TRUP W DOMINIKAŃSKIEJ SZAFIE

38 ŁUKASZ ZBORALSKI
SCHOWANI PRZED PETENTEM

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
DOBRY ZAPIS

KULTURA

42 JERZY MIZIOŁEK
CZŁOWIEK INSTYTUCJA W TRUDNYCH CZASACH
Minęło 200 lat od śmierci Stanisława Kostki Potockiego

44 PIOTR GOCIEK
DZIECIĘ BOŻE

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 KAROL GAC
UE PRZYNOSI KORZYŚCI GOSPODARCE NIEMIEC
Rozmowa z prof. dr. hab. Tomaszem Grzegorzem Grossem

55 ROZMOWA Z MICHAŁEM WOSIEM
PRAWO UE NA PEWNO NIE MA PIERWSZEŃSTWA PRZED NASZĄ KONSTYTUCJĄ

58 ŁUKASZ WARZECHA
SZTUKA SZCZUCIA

60 JERZY KARWELIS
ECHA FELIETONU „GDZIE JEST GRYPA?"

HISTORIA

62 JAN BOGATKO
JAK „JANOSIK" NAPADŁ NA POLSKĘ
Zapominamy, że Słowacja była trzecim agresorem, który napadł na Polskę w 1939 r.

66 ŁUKASZ CZARNECKI
WIDMO CHIŃSKIEGO SMOKA

ŚWIAT

70 WITOLD REPETOWICZ
AFGAŃSKI ARMAGEDON
Miliony Afgańczyków zaczną szturmować Europę

74 MAŁGORZATA WOŁCZYK
POLSKI MUNDUR TO DLA MNIE RZECZ ŚWIĘTA

76 PIOTR WŁOCZYK
FINANSOWY MŁOT NA PRAWICĘ

EKONOMIA

80 JACEK PRZYBYLSKI
BĘDZIE JUŻ TYLKO DROŻEJ
W całej Europie gwałtownie rosną ceny energii

84 TOMASZ CUKIERNIK
FRANCUSKIE ZYSKI W POLSCE

SPORT

88 ŁUKASZ MAJCHRZAK
TROCHĘ SZALONY TRENER
Czy polscy kibice siatkówki będą tęsknić za Vitalem Heynenem?

FELIETONY:
SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (11), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (68), PRZYBYLSKI (78), GABRYEL, WARZECHA (83), KOMUDA (92), ZALEWSKI, WOŁCZYK (96), KUCHARCZYK (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl 4ac3c5591e

Z Facebookiem nowe europejskie firmy mogą się rozwijać.

Holenderska firma Hart voor Wijn, specjalizująca się w degustacji win, powstała online podczas pandemii. Jej właścicielka Kirsten van Harten wykorzystała Facebooka i Instagrama, aby docierać do odbiorców docelowych. „Z Facebookiem udało mi się dotrzeć do nowych klientów" – relacjonuje Kirsten. „Facebook był kluczowy dla rozwoju mojej marki podczas pandemii".

Kirsten nie jest jedyna. Niedawne badanie wykazało, że 73% ankietowanych małych firm z UE korzystało z Facebooka i Instagrama do rozwoju działalności*.

Wiele innych małych europejskich firm zmieniło model biznesowy i przeniosło działalność online oraz nasiliło działania w mediach społecznościowych, aby generować sprzedaż. Wiele z tych firm wybrało Facebooka. Z tego samego badania wynika, że ponad połowa małych ankietowanych firm z UE, które używają aplikacji Facebooka, uznaje je za skuteczne źródło nowych klientów w dobie pandemii.

Z Facebookiem nowe firmy z całej Europy mogą się rozwijać.

Dowiedz się więcej na stronie about.fb.com/pl/europe

FACEBOOK

*Badanie firmy Ipsos MORI. W globalnej ankiecie przeprowadzonej w lutym i marcu 2021 r. udział wzięło 7500 małych i średnich firm z UE.

eprasa.pl 4ac3c5591e

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **BIBLIOTEKA NARODOWA, NAC**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829
Nakład 55,6 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Rzemiosło uratowane", Agnieszka Niewińska, „DRz" 37/202

Szanowna Redakcjo!
Dobrze, że na łamy „Do Rzeczy", piórem red. Agnieszki Niewińskiej, został wprowadzony temat RZEMIOSŁA. Jest on praktycznie nieobecny w dyskursie publicznym, dzisiaj to już niestety tematyka niszowa.

Jakoś nie zauważamy, że wyraźny regres, który dotyka rzemiosło, oznacza coś więcej niż – ważną przecież – degradację podstaw bytu konkretnych ludzi i środowisk. To także syndrom erozji deformującej świat w wymiarze globalnym, kulturowo-cywilizacyjnym. Oto ważny segment ludzkiej aktywności, który przez całe tysiąclecia współtworzył ogromny dorobek ludzkości, dorobek materialny, ekonomiczny, kulturowy, artystyczny... na naszych oczach zanika!

Zanikają różne umiejętności, szarzeje ważny składnik niematerialnego dziedzictwa historii, wraz z tradycjami i etosem przez wieki kształtowanymi i pielęgnowanymi przez dawne rzemieślnicze cechy i gildie. Rzemiosło w tych jego przejawach, jakie znaliśmy jeszcze pół wieku temu, pada dziś ofiarą technologiczno-modernizacyjnego pędu, który tworzy jedne wartości, ale równocześnie bezlitośnie i na ślepo miażdży wartości inne, niemniej cenne. Cóż, ten niszczycielski walec się toczy i wiadomo, dmuchanie pod wiatr nie ma sensu. Takie inicjatywy, jak te opisane w artykule „Rzemiosło uratowane", oczywiście cieszą. Jest jednak w rzemieślniczym sektorze dziedzina zasługująca tyleż na darzenie jej sentymentem, ile na podejście dyktowane żywą pragmatyką. Chodzi o tradycyjne rzemiosło budowlane, zwłaszcza w zawodach, które konserwatorzy nazywają „okołozabytkowymi". Ich trwanie oraz rozwój to absolutny warunek skutecznej ochrony i pielęgnacji bogactwa, którym są nasze zabytki.

Dziś [16 września – przyp. red.] TVP pokazała uroczystości 50-lecia inicjatywy odbudowy Zamku Królewskiego. Tłem podniosłych wystąpień były wyjątkowej urody wnętrza Zamku, dzieło polskich mistrzów sztuki budowlanej i konserwatorskiej, fachowców z najwyższej półki. Rzec można, światowa pierwsza liga tej branży! To było pół wieku temu, w epoce Gierka. Był to już czas, gdy bodaj wszystkie technika budowlane były nastawione na nauczanie technologii wielkiej płyty, montażu z dźwigu etc. Przypuszczam, że rzemieślnicy odbudowujący Zamek Królewski albo byli fachowcami jeszcze sprzed wojny, albo swoje umiejętności posiedli, terminując pod okiem dawnych mistrzów w byłych PKZ (Pracownie Konserwacji Zabytków). Pytanie, ilu ich jest nadal czynnych?

A poza tym: Czy w ogóle, a jeśli tak, to gdzie, kształci się u nas stale nowy rzemieślniczy narybek tej branży, zarówno w tradycyjnej budowlance, jak i zawodach rzadkich lub wręcz ginących, które jednak w pracy przy zabytkach są niezbędne?

Z Jeleniej Góry przesyła pozdrowienia
Wasz stały czytelnik
Jacek Jakubiec

eprasa.pl 4ac3c5591e

Zmieniamy życie pacjentów dzięki nauce™

W czasie zagrożenia zdrowia, kiedy mamy wyzwania na skalę światową, dzięki współpracy z wieloma partnerami:

opracowujemy nowe leki
udoskonalamy sposób ich dystrybucji
nieprzerwanie dostarczamy leki pacjentom na całym świecie

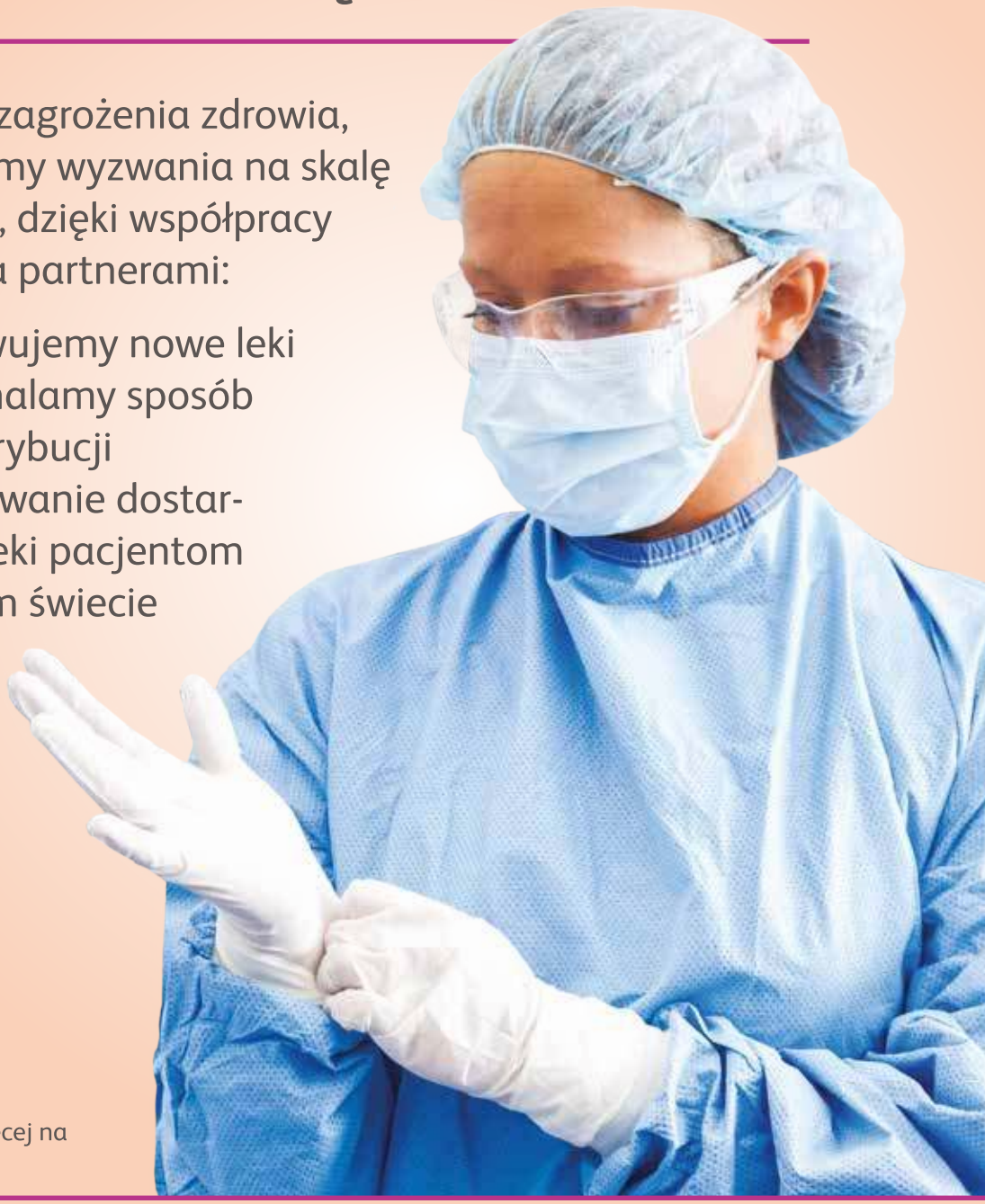

Dowiedz się więcej na
bms.com

ONCPL2011661-01,12.2020

Bristol Myers Squibb™

eprasa.pl 4ac3c5591e

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wina Mazurka

Gdy piszę te słowa, cichnie z wolna wrzawa wokół imprezy z okazji 50. urodzin dziennikarza Roberta Mazurka. Donald Tusk zawiesił na stanowiskach dwóch wiceprzewodniczących Platformy, których dosięgła krytyka ze strony żelaznego elektoratu opozycji.

Szczerze mówiąc, czytając najrozmaitsze opinie na ten temat, uświadomiłem sobie, jakie lata świetlne w dziedzinie obyczaju politycznego dzielą nas od początku lat 90., gdy także zdarzała się praktyka zapraszania przez dziennikarzy polityków na swoje urodziny czy imieniny. Ta tradycja funkcjonowała w dwóch środowiskach. Środowisko szeroko rozumianej „Gazety Wyborczej", która wywodziła się z kręgów opozycji i w której jedni po 1989 r. wybrali działalność w Ruchu Obywatelskim Akcja Demokratyczna (ROAD), a inni zaczęli tworzyć dziennik Adama Michnika (kto z młodych jeszcze kojarzy te nazwy?). Głównym środowiskiem, w którym zapraszano polityków na imprezy, było środowisko młodych dziennikarzy politycznych dziennika „Życie" Tomasza Wołka. Byli to m.in. Piotr Zaremba, Igor Zalewski, Luiza Kowalska i właśnie Robert Mazurek. Ta dzisiaj przyjmowana z ogromną podejrzliwością praktyka wynikała z paru powodów.

Po pierwsze, część dziennikarzy znała wielu polityków z epoki Jaruzelskiego, gdy razem ocierali się o siebie w rozmaitych strukturach opozycyjnych. Po drugie, było szczególnie między ludźmi czy to z lewicy laickiej, czy ze środowiska np. ludowców duże zaciekawienie generacją młodych przechylających się poglądami na prawo żurnalistów. Były czasami i trudne do określenia emocje u polityków po pięćdziesiątce, którzy niekiedy próbowali – raz bardziej, raz mniej zgrabnie – poznać młode piękne dziewczyny, których nigdy nie brakowało przy takich okazjach. Czasami było to tylko czysto poznawcze zaciekawienie. Pamiętam, jak na jednej z takich imprez u dziennikarzy „Życia" Ludwik Dorn nie mógł nadziwić się nowemu wtedy zwyczajowi robienia sobie tatuaży na rękach i na plecach (niekiedy nieco niżej).

Ja sam wspominam tego typu spotkania raczej dobrze. Politycy z jednej strony chcieli pokazać, że szanują dziennikarzy, a niekiedy sami chcieli pogadać z kolegami z obcego obozu przy okazji luźnej formuły prywatki. Jeśli dziennikarze byli korumpowani przez polityków, to działo się to raczej w innych miejscach i w innych okolicznościach.

Dziś od tamtych czasów przepłynęło sporo wody w Wiśle. Chyba tylko Piotr Zaremba i Robert Mazurek podtrzymują tę starą – moim zdaniem – zdrową dla psychiki polityków i dziennikarzy manierę. W tym sensie Mazurek jest raczej epigonem zamierzchłej epoki niż typowym przedstawicielem dzisiejszej wojny totalnej. Choć u ludzi, którzy dostają w kość w trakcie obecnych wojenek politycznych, takie widoki, jakimi epatował dziennik „Fakt", mogą budzić złe skojarzenia. Mnie jest łatwo wytłumaczyć, jak w życiu polityków przeplatają się ostre ataki na siebie wzajem z momentami, gdy człowiek chce zademonstrować, że nie zdziczał już na tyle, by wymachiwać pięścią przed nosem adwersarza. ©℗

FOT. INSTAGRAM.COM/GILSONMACHADONETO

NIE WPUŚCILI PREZYDENTA

Prezydent Brazylii Jair Bolsonaro przy okazji wizyty na szczycie ONZ w Nowym Jorku chciał skosztować pizzy. Polityk nie jest jednak zaszczepiony przeciw COVID-19, więc nie wpuszczono go do lokalu. Prezydent posiłkiem wraz z brazylijskim ministrem turystyki, szefem swej kancelarii oraz innymi współpracownikami musiał się więc delektować na chodniku. Bolsonaro jest jedynym liderem G20, który nie dał się zaszczepić i wielokrotnie bronił tej decyzji. Jego minister zdrowia w Nowym Jorku pozostaje w izolacji, bo miał dodatni wynik testu na koronawirusa. *(jap)* ©℗

eprasa.pl 4ac3c5591e

Nie żyje dr Jerzy Targalski

Doktor Jerzy Targalski – historyk, publicysta i politolog, doktor nauk humanistycznych, orientalista oraz działacz opozycyjny w okresie PRL – w wieku 69 lat zmarł po długiej walce z chorobą.

Jerzy Targalski w latach 70. ukończył studia na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego oraz na filologii Wschodu Starożytnego w Instytucie Orientalistycznym UW. Tytuł doktora nauk humanistycznych uzyskał w roku 2007 na Akademii Humanistycznej w Pułtusku.

Publicysta związany z telewizją Republika i „Gazetą Polską", był m.in. współautorem serii publikacji „Resortowe dzieci", a także wykładowcą Uniwersytetu Warszawskiego. Był również szefem jednostki analitycznej Akademii Sztuki Wojennej.

„Zmarł Jerzy Targalski. Postać absolutnie nietuzinkowa. Wielki umysł, nauczyciel politycznego myślenia dla wielu Polaków" – tak zmarłego w mediach społecznościowych żegnał premier Mateusz Morawiecki. Antoni Macierewicz wspominał go z kolei jako „najwybitniejszego analityka planów Rosji", który „bez złudzeń oceniał i przedstawiał cywilizacyjny spór, którego wynik określi przyszłość Polski". „Pewnie by się uśmiechnął, gdyby usłyszał to określenie, ale bez wątpienia był człowiekiem renesansu" – wspominała dr. Targalskiego Dorota Kania, redaktor naczelna Polska Press, na łamach „Niezależnej".

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK EAST NEWS

– Poznałem go, po pierwsze, jako wartościowego człowieka, a po drugie – jako osobę, która miała ogromną wiedzę na temat Europy Środkowej, Wschodniej, Kaukazu oraz na kwestie związane z dezinformacją – tak o zmarłym mówił w Polskim Radiu 24 Grzegorz Kuczyński, ekspert ds. polityki wschodniej, student oraz współpracownik dr. Jerzego Targalskiego. – Był wymagającą postacią. Pamiętam, że nam, studentom, powiedział: „Jeśli chcecie naprawdę specjalizować się z jakiejś dziedziny, np. z systemu politycznego Węgier, Łotwy czy Bułgarii, to musicie opierać się na źródłach lokalnych, miejscowych". Twierdził, że nie należy się opierać na przekazach anglojęzycznych czy rosyjskojęzycznych, tylko nauczyć się języka danego kraju – wspominał Kuczyński.

W zeszłym roku dr Jerzy Targalski został odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności oraz Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Doktor Jerzy Targalski został pochowany w niedzielę na Powązkach Wojskowych w Alei Zasłużonych, obok mogiły śp. mec. Stefana Hambury. Zgodnie z decyzją władz ceremonia pogrzebowa miała charakter państwowy. ©℗ ***(jap)***

Z wielkim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

dr. Jerzego Targalskiego

ps. Józef Darski

cenionego historyka, błyskotliwego publicysty, działacza opozycji antykomunistycznej, człowieka o nieprzeciętnej inteligencji i rozległej wiedzy

wyrazy głębokiego współczucia
RODZINIE i BLISKIM

składa
Zbigniew Ziobro
Minister Sprawiedliwości Prokurator Generalny

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.

dr. Jerzego Targalskiego

Działacza opozycji w okresie PRL.
Doktora nauk humanistycznych, politologa, historyka i publicysty.
Byłego Członka Zarządu Polskiego Radia S.A.
W 2020 r. odznaczonego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Krzyżem Wolności i Solidarności.

W imieniu Rady Mediów Narodowych składam Rodzinie i Bliskim wyrazy współczucia

Krzysztof Czabański
Przewodniczący Rady Mediów Narodowych

eprasa.pl 4ac3c5591e

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Kumulacja obciachów

Urodziny Roberta Mazurka to temat na świetną komedię rodzajową o elitach III RP. No, może nie aż dla Wyspiańskiego – ale dla jakiegoś nowego Bałuckiego jak najbardziej.

Oto dziennikarz mający duży talent, duży dorobek i jeszcze większe ego postanawia uświetnić swe półwiecze obecnością rozmaitych sław. Także ze świata polityki. I tu już jest pierwszy element komiczny, bo dziennikarz ów słynie z bezlitosnego „dociskania" polityków w wywiadach. Dociskania na tyle spektakularnego, że zdobyło mu ono opinię surowego, bezlitosnego wręcz recenzenta poczynań „klasy politycznej". Trochę trudno taką opinię pogodzić z obrazem jej współbiesiadnika.

Element drugi: politycy w czasie tej imprezy powinni być w pracy, w Sejmie, gdzie akurat odbywała się dyskusja nad raportem szefa NIK – ważnym! – o nadużyciach władzy w sprawie tzw. kopertowych wyborów. Przynajmniej posłom opozycji, którzy tyle tokowali o tych nadużyciach, nie wypadało tak demonstracyjnie debaty o nich olewać.

Groteską trzecią jest to, że opozycja w debacie publicznej „totalna", porównująca PiS do nazistów, głosząca świętą wojnę i tak szczująca swych wyborców, że ci zrywają z najbliższą rodziną, zabraniają dzieciom bawić się w przedszkolu z dziećmi „faszystów" i w ogóle wariują, po „godzinach nienawiści" idzie z „faszystami" na ten sam bal u redaktora. Tu mamy jeszcze zabawne interludium z Lewicą, która najpierw głośno potępiła posłów PO, a potem okazało się, że jej prominent nie tylko też tam był, lecz także jeszcze narobił wiochy, załatwiając się w krzakach przed lokalem.

No i może najważniejsze: jedynym, co połączyło i PO, i PiS, i Lewicę, i redaktora Mazurka, było wspólne szczucie na „antyszczepionkowców". I właśnie w tej sprawie wykazali się największą obłudą: prywatnie, we własnym gronie – zero maseczek czy „dystansu społecznego".

I popełniając tyle przekroczeń naraz, wszyscy oni z ciekawością przyglądali się robiącemu zdjęcia reporterowi z „Faktu", nie próbując mu wcale przeszkadzać, zupełnie nieświadomi, jakie publikacja tych zdjęć będzie miała skutki. I to chyba jest najzabawniejsze. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Męczeństwo Kościoła

Grégory Solari jest profesorem teologii na Uniwersytecie Genewskim i w paryskim Instytucie Katolickim. Ma stałą rubrykę w „La Croix" (dziennik zbliżony do Episkopatu Francji) i na podobnym szwajcarskim portalu Cath-Info. Jest jednym z teologów najradykalniej popierających „Traditionis custodes". Walorem jego wypowiedzi jest jasność i otwartość. Jego opinie są też niezwykle ważnym dokumentem zarówno przyjęcia motu proprio Franciszka, jak i rozumienia reformy liturgicznej w ogóle. Ograniczenia liturgii tradycyjnej (czy raczej mapa drogowa jej likwidacji) to dla niego nie kwestia duszpasterska, aggiornamento, likwidacji wszystkiego, co rozmija się z mentalnością Współczesnego Człowieka, ale samego rozumienia Kościoła.

Msza tradycyjna to – zdaniem szwajcarskiego teologa – wyraz „archaizującej eklezjologii, której nie odpowiada żadna istniejąca rzeczywistość kościelna", eklezjologii, która kiedyś zakładała, że „ksiądz powinien troszczyć się przede wszystkim o uświęcenie wiernych poprzez udzielanie im sakramentów". Stąd niezwykle jasna konkluzja: „Przywrócenie trydenckich ksiąg liturgicznych stopniowo ożywiało Kościół, który już nie istnieje".

Jak jednak może „ożywać" coś, co nie istnieje? Najwyraźniej chodzi po prostu o to, żeby Kościół został zakopany żywcem. Brutalne wypowiedzi szwajcarskiego teologa pokazują prawdziwą stawkę problemu: zachowanie wiary, tożsamość katolicyzmu. I wyzwanie, jakim jest diachroniczna schizma, zerwanie ciągłości. Niedawne huczne obchody pięćsetlecia Reformacji przypomniały, że odejście od wiary nie musi być (wbrew liberalnej wyobraźni) „świadomym aktem indywidualnych przekonań". Może być aktem (lub procesem) odgórnym, kolektywnym, z którego znaczenia większość biernych uczestników nawet nie zdaje sobie sprawy. Tym większa więc spoczywa odpowiedzialność na każdym, kto widzi, co się dzieje. ©℗

eprasa.pl 4ac3c5591e

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Na Zachodzie bez zmian

Rok 1928: Paul Robeson, znakomity amerykański czarnoskóry aktor i śpiewak, niezapomniany wykonawca standardów jazzowych, do dziś uważany za najlepszego interpretatora „Ol'Man River", przybył z USA do Londynu na gościnne występy w musicalu „Show Boat" w mitycznym Theatre Royal Drury Lane na West Endzie. Stanął za rogiem w wytwornym Waldorf Hotel. Gdy wchodził, portierzy przepędzili go do bocznego wejścia

dla dostawców, bo był Murzynem. Naturalnie nie tylko dlatego później stał się działaczem społecznym walczącym z rasizmem i imperializmem. Pokochał Związek Sowiecki i dostał Order Stalina.

Pięćdziesiąt lat później w Londynie, dzięki subwencji ministerstwa kultury i sponsorów, powstał wspaniały projekt: English Touring Opera. Ideą, potem pięknie wprowadzaną w życie, było dotarcie z przedstawieniami operowymi na brytyjską prowincję, do miast i miasteczek, których mieszkańcy wielkie, niesłychanie drogie spektakle operowe znają z telewizji, opowiadań albo wycieczki do Londynu.

Niemal 100 lat później, we wrześniu 2021 r., English Touring Opera zwalnia 14 muzyków – niemal połowę – bo są biali. Pan dyrektor wysłał każdemu z nich z osobna liścik, w którym wyjaśnił, że zostali zwolnieni w ramach nowych priorytetów stałego zwiększania różnorodności. Słowo „rasowej" nie padło. Dyrektor tłumaczył – jak się okazało, niezgodnie z prawdą – że krok ten jest zgodny z wytycznymi, które otrzymał z Arts Council England, rządowej agencji zajmującej się finansowaniem sztuki.

Na Wyspach niemal codziennie pojawiają się oferty pracy dla artystów, ale z zastrzeżeniem, że chodzi o niebiałych albo o nieheteroseksualnych, niemężczyzn lub niepełnosprawnych. Taka polityka kadrowa nazywa się w naszym nowym wspaniałym świecie niedyskryminującą i inkluzywną. Ale przecież chodzi o dyskryminację i wykluczenie. Co paradoksalne: w imię walki z demonem rasizmu.

W „Roku 1984" Orwella, tak boleśnie aktualnym, na budynku ministerstwa prawdy napisano: „Wojna to pokój, wolność to niewola, ignorancja to siła". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Jesień. Spadają liście i głowy

Cały ubiegły tydzień minął na Twitterze na nostalgicznym rozpatrywaniu minionego lata. Cóż, nadeszła jesień, a z nią szarość, nuda, chłód, krótsze dni, depresja, stosy naczyń, które trzeba włożyć do zmywarki. Ale jak wkładać, skoro jesień, a poza tym, jak się włoży, trzeba będzie wyjąć, a tu jesień, jesień, jesień... Pojawiały się wpisy na TT, schyłkowe, dekadenckie, uwiędłe, miałkie, bezbarwne, nijakie, nie było na czym oka zawiesić, nie było czego komentować. Jesień...

Dobra, dobra, żartowałem! Figle sobie robię. Działo się, proszę Państwa, ale się działo. Impra była i to jaka! Wszyscy na wiele głosów międlili na TT głośne 50. urodziny Roberta Mazurka. Jakież tam były smaki, jakież tam były wykonywane utwory fotograficzne. Tu mała dygresja. Uważam, że wielką krzywdę wyrządzono Markowi Dyduchowi, który w czasie imprezy, co widać na zdjęciu, odszedł na bok za drzewko, żeby porobić trochę skłonów i gimnastyki, a jakiś wredzioch redaktorski przypisał mu sikającą fizjologię na świeżym powietrzu. Nieładnie, redaktorzy, nieładnie.

Urodziny redaktora Mazurka spotkały się z zazdrością i oburzeniem tych, których nie zaproszono. Jak ktoś był zaproszony i przyszedł, to się nie oburzał. Ciekawe, prawda? Użyłbym tutaj Ziemkiewiczowskiego „Polactwo", ale nie wiem, czy mi Rafał pozwoli. A właśnie. Lepiej proszę Pana i Pani nie być z nikim na „ty" i z nikim tak za bardzo nie przeprowadzać nieoficjalnych rozmów. Na przykład taki Borys Budka czy Tomasz Siemoniak, czy Sławomir Neuman z PO poszli na te urodziny i podobno – tak pisały media – Donald się wściekł. Tu dwie kwestie. Nie wiadomo, czy Donald był zaproszony. Nie ma potwierdzenia. Ale nie wiadomo, czy wściekł się z powodu braku zaproszenia. Podobno odczuł partyjny dyskomfort, że na jednej imprezie jego żołnierze bratają się (choćby wizualnie) z tymi reżimowcami z PiS.

Druga kwestia to jednak kwestia pewnego mechanizmu, jakby ze świata zwierząt, przepraszam. Otóż jak Tusk się wścieka, to ci, którzy mogą być powodem wściekniecia, zaraz oddają się do dyspozycji. No normalnie szef stada ryknie, a stado na brzuszki i uszy po sobie. Takie to są analogie, proszę Państwa, animalne. Wygląda trochę na to, że parę osób struło się na urodzinach Mazurkiem, a same urodziny dla paru osób mogą przemienić się w stypę. Cóż, jesień. Spadają liście i głowy... ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

eprasa.pl 4ac3c5591e

Enea, czyli innowacje

Energetyka to jedna z kluczowych dziedzin gospodarki, która do rozwoju potrzebuje inwestycji i innowacji. Koncerny energetyczne podejmują wiele działań innowacyjnych, a jednymi z ciekawszych są przedsięwzięcia realizowane przez Eneę

Wyścig na innowacje w energetyce w ostatnim dziesięcioleciu przyspieszył i żaden z uczestników nie może pozwolić sobie na chwilę wytchnienia. Każda nowinka, która poprawia stabilność, efektywność systemu, wprowadza alternatywne rozwiązania, staje się atutem tego, kto ją opracował, a potem wdrożył. Jeszcze nie tak dawno mało kto słyszał o magazynach energii innych niż elektrownie szczytowo-pompowe, a wodór kojarzono z paliwem rakietowym, a nie źródłem energii dla samochodu czy też powszechnym nośnikiem energii.

Wszystko to nie jest tylko wyścigiem czysto technologicznym, ale u podstaw tej walki o lepszą i wydajniejszą energetykę stoi troska o środowisko. Gospodarki kolejnych państw przestawiają swoje systemy w taki sposób, by emitowały one mniej CO_2, a udział niskoemisyjnych źródeł energii w miksie był jak największy. W tym kierunku idą też polskie koncerny energetyczne, które także postawiły na innowacje, realizowane we współpracy z krajowymi ośrodkami.

ENEA I 5 X 5

W te trendy wpisuje się także Grupa Enea, jedna z największych spółek energetycznych w kraju, dostarczająca prąd głównie na zachodzie i północnym zachodzie Polski. Firma w kwietniu tego roku ogłosiła, że rusza z budową pięciu prototypowych magazynów energii w pięciu różnych lokalizacjach: Bydgoszczy, Zielonej Górze, Gubinie, Pogorzelicy i Opalenicy.

Dlaczego spółka postawiła na tak dużą różnorodność? To pośrednio odpowiedź na problem, który będzie narastał wraz z rozwojem przydomowej fotowoltaiki.

eprasa.pl 4ac3c5591e

Gdy słońce świeci, prosumenci nadwyżki produkowanej przez instalacje PV energii wysyłają do systemu. Jednak przez dłuższy czas są oni odbiorcami prądu i np. zimą, czerpią energię z systemu, który z naddatkiem zasilili latem. Zaczęto więc poszukiwać metod, by magazynować wyprodukowaną energię i „oddawać" ją w odpowiednim momencie, gdy system tego potrzebuje. W ten sposób zgromadzonymi nadwyżkami energii można bilansować system, no i – zwiększyć elastyczność pracy sieci, gdy podłączane do niej są kolejne instalacje PV.

– Rozwój magazynów energii jest ważnym elementem transformacji energetycznej i wsparciem w efektywnym wykorzystaniu OZE. Energetyka odnawialna, także rozproszona, będzie odgrywała coraz większą rolę w miksie energetycznym. Zainteresowanie mikroinstalacjami fotowoltaicznymi pokazało, że częścią tej przyszłości są prosumenci i energetyka obywatelska, dlatego ważny jest rozwój lokalnych magazynów energii – mówił Paweł Szczeszek, prezes Enei, gdy ogłaszano tę inicjatywę pod koniec kwietnia tego roku.

Enea testuje we wspomnianych pięciu miejscowościach pięć różnych technologii magazynowania energii, aby ustalić, która z nich najlepiej sprawdzi się na danym terenie. I tak ruszyły testy magazynu energii w Gubinie wyposażonego w elektryczne kondensatory dwuwarstwowe, w Zielonej Górze – w baterie litowo-tytanowe, w Pogorzelicy – kondensatory litowo-jonowe, w Opalenicy – w baterie litowo-żelazowo-fosforowe, a w Bydgoszczy – baterie ołowiowo-kwasowe.

Tak jak technologią, magazyny różnią się także pojemnością nominalną – ta waha się od 1,8 kWh do 100 kWh (największy pracuje w Bydgoszczy). – Realizowane w ramach projektu badania przemysłowe i eksperymentalne prace rozwojowe w najbliższej przyszłości pozwolą na określenie referencyjnej technologii magazynowania energii w kontekście usług systemowych. Przetestowanie w warunkach rzeczywistych poszczególnych technologii doprowadzi do określenia tych, które w największym stopniu spełniają oczekiwania – tłumaczył Przemysław Starzyński, kierownik Biura Inicjatyw Innowacyjnych Enei Operator.

Testy pokazują, na które technologie warto stawiać przy magazynowaniu energii na poziomie niskiego napięcia. Właśnie za postawienie na te rozwiązania Enea została nagrodzona we wrześniu tego roku Innowatorem „Wprost" 2021 w kategorii Energia i Przemysł.

W rozwój technologii magazynowania energii w różnych konfiguracjach inwestują najwięksi gracze na rynku, widząc w tym przyszłość. Według szacunków firmy konsultingowej Clean Horizon tylko w 2020 r. działały magazyny energii o mocy 1,7 GW, a blisko 4 GW mocy miały te planowane. Nie sposób nie odnotować też danych SolarPower Europe, która skupiła się na „małej technologii" magazynowania energii, czyli przydomowych bankach, które są zasilane energią z fotowoltaiki. Zainteresowanie nimi jeszcze niecałe 10 lat temu było niewielkie, teraz rok do roku ich łączna zainstalowana pojemność rośnie o 35–65 proc. w skali Europy.

ZIELONY WODÓR ZE SZCZECINA

Drugą inicjatywą, nie mniej ważną, którą w ramach transformacji sektora energetycznego w kraju podejmuje Enea, jest zaangażowanie spółki w prace związane z wodorem, już teraz nazywanym paliwem przyszłości. W tym wypadku projekt także wiąże się z magazynami energii, choć pośrednio.

Enea Operator, Uniwersytet Szczeciński i Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie zaangażowały się w projekt naukowo-badawczy H2eBuffer. W jego ramach ma powstać system, który nie tylko będzie magazynował energię i stabilizował sieć, lecz także będzie do tego wykorzystywał zielony wodór.

Na tym nie koniec, ponieważ wodór ma być wytwarzany z instalacji OZE, więc paliwo będzie podwójnie zielone. Zielony wodór to ekologiczne paliwo, które powstaje w procesie elektrolizy wody, a w tym wypadku elektroliza będzie przeprowadzana przy wykorzystaniu prądu z OZE, czyli fotowoltaiki, farm wiatrowych czy elektrowni szczytowo-pompowych. Wodór tak wyprodukowany może być – to kolejne plany Enei – paliwem dla samochodów.

Projekt łączy więc innowacje i zielony trend w energetyce – nie dość, że ruszy produkcja wodoru, to będzie on jeszcze wytwarzany dzięki energii ze źródeł odnawialnych, ale też poprawią się zdolności magazynowania energii w systemie. Profesor Stefan Domek, kierownik projektu H2eBuffer, wyjaśniał, że w pierwszej kolejności zmagazynowany wodór może być wykorzystywany do przerobienia go z powrotem na elektryczność, np. gdy zabraknie energii z OZE. Odnawialne źródła energii, choć zielone, mają swoje wady – są zależne od pogody (trudno o produkcję prądu z farm wiatrowych, gdy występuje tzw. susza wiatrowa), dlatego też cały czas trwają prace nad tym, by jak najefektywniej wykorzystać tworzoną przez nie energię.

Projekt H2eBuffer to przykład mariażu nauki i biznesu, który opłaci się obydwu stronom. Uniwersytety mają okazję do pokazania swoich możliwości, a ich opracowania i analizy Enea ma przekuć w prototypową i pełnoskalową instalację wodorowego bufora energetycznego, którą potem podłączy do swojej sieci energetycznej. – Wierzę w to, że dzięki współpracy dwóch znamienitych uczelni Pomorza Zachodniego oraz przedsiębiorstwa energetycznego Enea Operator powstanie rozwiązanie, którym będziemy mogli pochwalić się nie tylko w Polsce, lecz także poza jej granicami – mówił prof. Jacek Wróbel, rektor Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie, gdy startowały prace konsorcjum.

Jak długo trzeba będzie czekać na wyniki prac tego energetycznego trio? Prace nad H2eBuffer podzielono na pięć etapów, a rozpoczęły się w styczniu 2021 r. Ich finał przewidziano na koniec 2023 r, a więc potrwają co najmniej dwa lata. W połowie czerwca tego roku Uniwersytet Szczeciński, odpowiedzialny za badania przemysłowe i badania w zakresie prac rozwojowych, powoli kończył prace z pierwszego etapu.

Właśnie takie łączenie – różnych technologii ze sobą, nauki z biznesem – jest niezbędne w nadchodzących latach. System energetyczny, zwłaszcza w Polsce, trzeba przestawić na zupełnie inne, nowe realia, przy jednoczesnym zapewnieniu odbiorcom stałego dostępu do prądu. Nawet urozmaicenie miksu energetycznego i w jeszcze większym stopniu oparcie go na OZE nie sprawi, że nagle znikną problemy stabilności dostaw, pojawiające się przy generowaniu energii przez farmy wiatrowe czy fotowoltaikę. W tym wypadku – co widać na przykładzie inicjatyw Enei – pomogą innowacje.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 4ac3c5591e

FOT. PAWEŁ GROMADA

NA LEPSZY SEN

Agnieszka Kaczorowska, znana bardziej jako Bożenka z „Klanu", kontynuuje swoją misję, polegającą na promocji piękna. Zaczęło się od krytyki „mody na brzydotę" i apelu, by „emanować pięknem", za co na celebrytkę spadła lawina krytyki. Ona jednak zdaje się tym nie przejmować i ochoczo brnie w temat. Teraz na przykład oznajmiła, że lubi pięknie wyglądać nie tylko na ściankach, lecz także w domu oraz kiedy kładzie się spać. – Nie wiem, czy pamiętacie post w zeszłym roku o tym, jak zmieniłam podejście do tego, co zakładam na siebie po domu... – pisze Bożenka. No ba! Kto by nie pamiętał, że Kaczorowska w pewnym momencie przestała zakładać po domu „grube, obdarte skarpety"! – Ponieważ dbam o siebie i jestem ważna dla siebie, to niezależnie od tego, czy cały dzień jestem w domu, czy gdzieś wychodzę, zakładam to, na co mam ochotę, co jest adekwatne do sytuacji, ale przede wszystkim to, w czym się sobie podobam – wyznaje. – Tak samo nocą. Dla mnie to nie jest tylko czas chowania się pod kołdrą i przespania longiem jak najdłuższego czasu pomiędzy karmieniami... To czas odpoczynku, snu, regeneracji. To bardzo ważny czas dla naszego zdrowia i samopoczucia. I nocą też chcę się czuć dobrze, wygodnie i pięknie – oznajmia Kaczorowska. Jak już wpadnie kaska za tę reklamę firmy od damskich piżam, to sen Bożenki będzie jeszcze lepszy i piękniejszy!

OD WYWIADU DO WYWIADU

Była narzeczona Miśka Koterskiego, niedoszła modelka i niespełniona celebrytka Marcela Leszczak postanowiła na łamach „Twojego Imperium" opowiedzieć, jak ciężko jej po rozstaniu z partnerem. Wyznała, że sensem życia jest teraz jej syn. – Nie chcę uzależniać swego szczęścia od dziecka, ale naprawdę czerpię radość, gdy syn jest obok mnie i mogę się z nim bawić. Dzisiaj czuję się przede wszystkim matką. Gdy byłam sama, mogłam sobie pozwolić na wiele, bo czas należał tylko do mnie. Teraz nie mam go już na imprezowanie i pod tym względem bardzo podoba mi się moje obecne życie. Nie wyobrażam sobie innego – twierdzi. Dodaje też, że nie planuje na razie żadnych nowych związków. – Nie byłabym w stanie związać się w tej chwili z nikim innym, bo wszystko jest zbyt świeże i zbyt bolesne. Pracuję nad sobą i z dnia na dzień staję się coraz silniejsza. Ale to jest proces, który jeszcze potrwa – zaznacza. Potrwa... czyli będą następne wywiady!

WYGINAM ŚMIAŁO CIAŁO

Chyba obserwujemy właśnie narodziny nowej celebrytki w polskim show-biznesie. To żona siatkarza polskiej reprezentacji Fabiana Drzyzgi. Ma na imię Monika i jest bardzo aktywna na Instagramie, gdzie relacjonuje swoje życie, które dotąd nikogo specjalnie nie interesowało, ale teraz to się chyba zaczyna zmieniać. No więc pani Monika postanowiła oburzyć się na to, że ją – żonę siatkarza, tak jak i inne żony sportowców – ocenia się przez pryzmat wyglądu. – Ta za brzydka, nie pasuje do tego, bo ten za przystojny, ta żółte włosy, ta się brzydko uśmiechnęła, a ta za bardzo porobiona. Potem się dziwicie, że macie kompleksy? [...] Jak właśnie zaczynacie tylko oceniać przez pryzmat wyglądu? Kobiety wpadają w kompleksy. Właśnie przez takie kobiety jak wy. Jesteśmy kobietami i powinnyśmy się wspierać. Tu mój apel do młodych dziewczyn, bo wiem, że te zaściankowe pindy już się nie zmienią, ale wy możecie, wy możecie stworzyć sobie trochę inną przyszłość dziewczyny – zaapelowała Monika. – Chcecie znać prawdę o żonach siatkarzy? My też jesteśmy ludźmi, nie małpami w zoo do oceniania. Dlaczego, ku.wa, nie oceniacie żon doktorów czy lekarzy, czy, ku.wa, nie wiem kogo. To my jesteśmy zawsze te głupie, lecące na hajs i w ogóle... – nie kryła swoich emocji. – Młode kobiety i dzieci mają takie kompleksy, są wyzywane, szykanowane, bo wyglądają tak, srak i owak... Przestańmy to robić, proszę. Mam, ku.wa, dość oceniania przez pryzmat wyglądu. To jest chore – wyznała na koniec. Po czym wróciła do wrzucania swoich fotek na Insta, na których wygina się i wypina tylko po to, by nikt jej nie oceniał przez pryzmat wyglądu.

CIĘŻKI PRZYPADEK

Monika Richardson cały czas próbuje dojść do siebie po rozstaniu ze Zbigniewem Zamachowskim. W tym celu, jak ostatnio poinformowała, udała się nawet na terapię, która ma jej pomóc odpowiedzieć na pytanie, co robi nie tak w relacjach z mężczyznami. – Od kilku miesięcy jestem w terapii. Na szczęście trafiłam na mądrą kobietę [...]. Rozmawiamy o różnych sprawach [...]. Może to dziwne, że baba przed pięćdziesiątką zaczyna myśleć o pewnych mechanizmach własnego zachowania, które doprowadziły ją do klęski w trzech małżeństwach – ujawnia Monika. Na ostatniej sesji Monika uczyła się ponoć, jak nie pomagać innym na siłę, a jedynie „słuchać, wspierać i milczeć". Jakby się nauczyła tego ostatniego, to rzeczywiście byłby jakiś przełom w jej życiu! Ale skoro pisze o tym na Fejsie, to znaczy, że wszystko po staremu. ©℗

eprasa.pl 4ac3c5591e

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż przyszedłx już do nas Jesień, postanowiliśmy uruchomić się w trybie jesieniaroosobowym i w związku z tym podjęliśmy nawet pierwsze kroki w celu optymalizacji naszych kont w social mediach.

Mamy już nawrzucane na insta zdjęcia wśród jesiennych liści, zbieraliśmy nawet kasztany i żołędzie, ale of kors tylko na potrzeby sesji foto, iż w naszym Krakowie dzikoosoby są ważnymi uczestnikami życia miejskiego i nie chcemy pozbawić ich żywności.

Z punktów obowiązkowych zostały nam jeszcze zdjęcia:

– na kanapie z kubkiem dyniowego latte, kiedy opatuleni kraciastym kocem czytamy książkę,

– zanim nam Niedzielski znów zrobi lockdown – w knajpie nad pumpkin, ale śmieszkując z frendami z kolektywu,

– czarno-białe w deszczu na tle któregoś z krakowskich zabytków.

Jak widzicie, czeka nas pracowitx Jesień!

Czujemy się oszukani. Nie po to unikamy Nowego z Tarnowa i pozrywaliśmy kontakty z połową rodziny, żeby teraz na urodzinach u jakiegoś dziennikarza postępowi posłowie – jak gdyby nigdy nic – spędzali czas wśród PiS-owców.

Miały być kordony sanitarne itd., a tu jedni i drudzy zupełnie bez dystansu. Naprawdę nie wiemy, co o tym myśleć, nie rozumiemy tej sytuacji, będziemy musieli to wewnętrznie solidnie przepracować.

A może to tylko takie działanie taktyczne? Że wiecie: my tu was niby traktujemy normalnie itd., ale jak co do czego przyjdzie, to i tak się będziemy o was ostro wypowiadać w mediach tradycyjnych i społecznościowych, nie zawahamy się nawet użyć słów takich jak „hańba", „zdrada", „fashysm" czy „dyktatura".

Oby się tylko nie okazało, że to teraz będzie taki trend. I jak nas Nowy z Tarnowa zaprosi na imieniny (a andrzejki coraz bliżej), to będziemy musieli pójść :(

Podobno Lewandowski odebrał jakiegoś złotego buta? Gdzie leżą granice przepychu i ostentacyjnego bogactwa, których polscy neoliberalni sportowcy nie będą w stanie przekroczyć?

I co on z tym jednym złotym butem zrobi, będzie w nim grał lol? A w drugim zwykłym? Szalone. Złoto z takiego buta dla Lewandowskiego powinno zostać przetopione i przeznaczone jakimś równościowym kolektywą na cel walki z neoliberalizmem!

Chańba/hańba! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Pozdrowienia od Mateusza

Marlena, wzięłaś te pineski?
Moment, sprawdzę... No wzięłam, ale, Mateusz, ja naprawdę nie wiem, jak ja mam to zrobić. Ja nawet w szkole takich numerów nie robiłam...

Oj, co to za problem? Babiša rozpoznasz, co nie? Zresztą zdjęcie ci wysłałem.
Ale ja nie umiem tych zdjęć odbierać w telefonie...

Będzie miał przecież plakietkę, że Czechy. I teraz tak: jak na przykład wstanie...
Dlaczego ma wstać?

Matko, no nie wiem – za potrzebą. Więc jak wstanie, to bierzesz pineskę i mu – o tak – podkładasz niepostrzeżenie. Jak znowu usiądzie, to mu się w tyłek wbije.
No i co wtedy?

I wtedy podchodzisz i mówisz: „Pozdrowienia od Mateusza" i dajesz mu tę karteczkę.
„Chleb po 4 zł"... A co to ma...

Czekaj, nie ta kartka. O tę mu dajesz: „To za Turów!". ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS jest od dłuższego czasu zainteresowany tym, żeby przekonać opinię publiczną, że wszyscy politycy są źli, kradną, że są niemoralni".

DONALD TUSK, *przewodniczący PO, podczas internetowego spotkania z sympatykami*

eprasa.pl 4ac3c5591e

dwaj panowie g

Niezbyt dobrze świadczy to o polskiej polityce, skoro w czasach kary za Turów oraz kryzysu na granicy z Białorusią najważniejsze wydarzenie tygodnia zorganizował dziennikarz, a nie polityk. Tak, chodzi o urodziny Roberta Mazurka, na których bratali się wszyscy, od PO do PiS, i od „GazWybu" do TVP Info. Mazurek zachwycony rozgłosem chce zorganizować drugą edycję – popieramy, chętnie mu taką zafundujemy.

Ważna informacja, której media dotąd nie ujawniły: impreza odbyła się przy ul. Spokojnej 15, czyli, jak to mówią, „między Powązkami a izbą wytrzeźwień". Szanujemy ten wybór. Świadczy o dogłębnej znajomości tematu i zagrożeń.

Bawiono się bez maseczek i dystansu, więc Robert Mazurek odpiera zarzuty o sprowadzeniu zagrożenia epidemiologicznego oświadczeniem, w którym przekonuje, że wszyscy obecni byli zaszczepieni. Otóż nie jest to prawda. Przynajmniej jeden z prominentnych gości był całkowicie niezaszczepiony, co wiemy na pewno. I domaga się sprostowania. Odstąpi, jeśli publicznie ujawnią się inni nieszczepieni goście Mazurka.

Swoje oświadczenie w sprawie imprezy u Mazurka napisał też Tomasz Siemoniak. Wiceszef PO napisał, że, owszem, na imprezie był, ale alkoholu nie pił, z posłami PiS kontaktu nie miał, szybko wyszedł i w ogóle mu przykro. A na koniec walnął: „Dziękuję za wszystkie wyrazy wsparcia i z pokorą przyjmuję ostrą krytykę". Ostatni raz czytaliśmy taką samokrytykę, jak Stalin wywalał bucharinowców z partii. Nie, nie chodzi o PO.

Niektórzy się ekscytują tym, że Marek Dyduch, dawna gwiazda lewicy, miał obsikać podczas imprezy mur cmentarza Powązkowskiego. I to ma być skandal? Pamiętamy lepsze. Na przykład na urodzinach jednego z panów G. jeden z najpobożniejszych polskich publicystów obsikał kościół. Inny, nie mniej pobożny, przyszedł z żoną, ale wyszedł z niezamężną, a od tego czasu ożenił się jeszcze dwa razy. Ale nadal jest niezmiernie pobożny.

Jak podkreślają nasze wiewiórki – a właściwie, biorąc po uwagę zasługi i dorobek, nasze dostojne wiewióry – na urodzinach Mazurka bardzo silnie była też reprezentowana frakcja profesorska, której akurat „Fakt" nie zauważył (co nas nie dziwi). Ciekawa rzecz, najgoręcej dyskutowanym w kuluarach tematem był polexit.

Nas w sumie najbardziej ucieszyła na tej imprezie obecność ważnych postaci z rządu. Dzięki temu można było pewne kwestie omówić osobiście, zamiast pisać e-maile, które potem jakaś złośliwa małpa mogłaby ujawnić w ramach afery e-mailowej. Jesteśmy jak najbardziej za polityką analogową, zakrapianą i uprawianą nocami.

Ważne! Jeśli ktoś był na imprezie, a nie został dotąd wspomniany z nazwiska przez media i poczuł się przez to niezauważony, a może nawet pominięty – to niech przyśle do nas zgłoszenie e-mailem. Zostanie ono rozpatrzone, a lista oficjalnie uzupełniona. Macierzyste partie wyciągną natomiast stosowne konsekwencje.

Apropos konsekwencji – nie tylko Donald się wściekł. To znaczy w jego przypadku podejrzewamy, że udaje wściekłość, lecz wykorzystuje okazję, aby nieco opiłować z przywilejów Budkę i Siemoniaka. Słyszeliśmy, że szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński z wielkim absmakiem przyjął wieści o obecności u Mazurka postaci znanych i cenionych w partii.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Nie wiemy, czy łączyć powyższą informację z plotką o tym, że trwają ponoć poszukiwania nowego miejsca pracy dla Michała Dworczyka. Łatwo nie jest, bo stara gwardia za nim nie przepada. Nasze wiewiórki utrzymują, że miał trafić do KGHM, ale opór w tej kwestii wciąż stawia Jacek Sasin.

Są i tacy, którzy nową robotę mają już jak w banku. Niebawem nastąpi zmiana na stanowisku ambasadora w Astanie. Parytetowego polskiego wyznawcę proroka zaprzyjaźnionego z PiS (czyli Selima Chazbijewicza) zastąpi niejaki Krzysztof Świderek. Kto? Tak, my tak samo zareagowaliśmy na tę wieść. Wyjaśniamy zatem: Świderek obecnie jest konsulem generalnym w Irkucku i honorowym obywatelem Sycowa.

Z frontu walki z pandemią. Media ekscytują się kwotą, jaką straci Grzegorz Braun po swoim słynnym „Będziesz pan wisiał!" do ministra Niedzielskiego. Nas bardziej interesują losy doniesienia do prokuratury. Bo widzicie, np. podczas miesięcznic smoleńskich rozmaite KOD-uchy ciągle ryczą do szeregowego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego: „Będziesz wisiał!", a niektórymi przypadkami zajmowała się prokuratura. No i co? No i pstro. Ciekawi nas więc, czy konfederaci będą ścigani skuteczniej od KOD-uchów.

Szubienicy Niedzielskiemu życzą też szeregowi antyszczepionkowcy. W tym świetle ostatnie posunięcia Jarosława Pinkasa jawią się jako rozsądne. Pinkas był twarzą walki z pandemią w najcięższym okresie, pełniąc funkcję generalnego inspektora sanitarnego. Więc został jedną z najbardziej znienawidzonych przez antyszczepionkowców postaci. Ale dziś już nie musi obawiać się wychodzenia na ulicę. Całkowicie zmienił bowiem wygląd. Starannie przystrzyżoną bródkę zastąpiła broda biblijnych patriarchów. Gdy jeszcze zakłada ciemne okulary, to bardziej przypomina gości z ZZ Top albo Radovana Karadżicia z okresu, kiedy ten ukrywał się przed międzynarodowym wymiarem sprawiedliwości. I kłopoty z antyszczepionkowcami ustały. ©℗

eprasa.pl 4ac3c5591e

Jak motyl
Odczarować mity

Rak jajnika jest jednym z najczęściej występujących nowotworów złośliwych u kobiet.[1]

Owiany mitami, które trzeba odczarować.

Nikt nie zrobi tego lepiej niż one – „Niebieskie Motyle".

Poznaj historię siedmiu delikatnych, ale zarazem silnych i walecznych kobiet, które w książce „Jak motyl. Odczarować mity" dzielą się swoimi historiami o życiu z rakiem jajnika i nadziei. Towarzyszą im opowieści lekarzy, którzy wspierają je w walce z chorobą.

Wydawca:

gsk

Patronat:

STOWARZYSZENIE NIEBIESKI MOTYL

POLSKIE TOWARZYSTWO GINEKOLOGII ONKOLOGICZNEJ

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZE DLA ZDROWIA

1. Didkowska J., Nowotwory złośliwe w Polsce w 2017 roku.

NP-PL-OCU-ADVT-210001, 04.2021

eprasa.pl 4ac3c5591e

www.dorzeczy.pl
eprasa.pl

FOT. GAZ-SYSTEM S.A. (X3)

BALTIC PIPE JUŻ NA POLSKIEJ ZIEMI

Część gazociągu Baltic Pipe, która położona została na dnie Bałtyku, w ubiegłym tygodniu dotarła już na ląd w Polsce. Rury wyciągano specjalnymi linami do przygotowanego wcześniej wykopu w okolicy Pogorzelicy (gmina Rewal). Pod plażą i klifem wydrążony został wcześniej blisko 600-metrowy tunel. W ten sposób gazociąg nie będzie widoczny dla turystów i mieszkańców.

Cała budowa systemu po stronie polskiej, którą zajmuje się polski Gaz-System, ma zostać zakończona do końca tego roku. Na Bałtyku do zbudowania pozostaje już tylko fragment gazociągu u wybrzeży duńskiej Zelandii.

Strategiczny projekt energetyczny Baltic Pipe utworzy drogę do dostarczania gazu ze złóż w Norwegii do Polski i na rynki sąsiednie. Będzie nim można przesyłać rocznie 10 mld m sześc. gazu do Polski oraz ok. 3 mld m sześc. z Polski do Danii. Całość ma być gotowa 1 października przyszłego roku. Za budowę – oprócz polskiego Gaz-Systemu – odpowiada duński Energinet.

(luz) ©℗

27 IX–3 X 2021 39/2021
eprasa.pl 4ac3c5591e

Srul a sprawa polska

eprasa.pl 4ac3c5591e

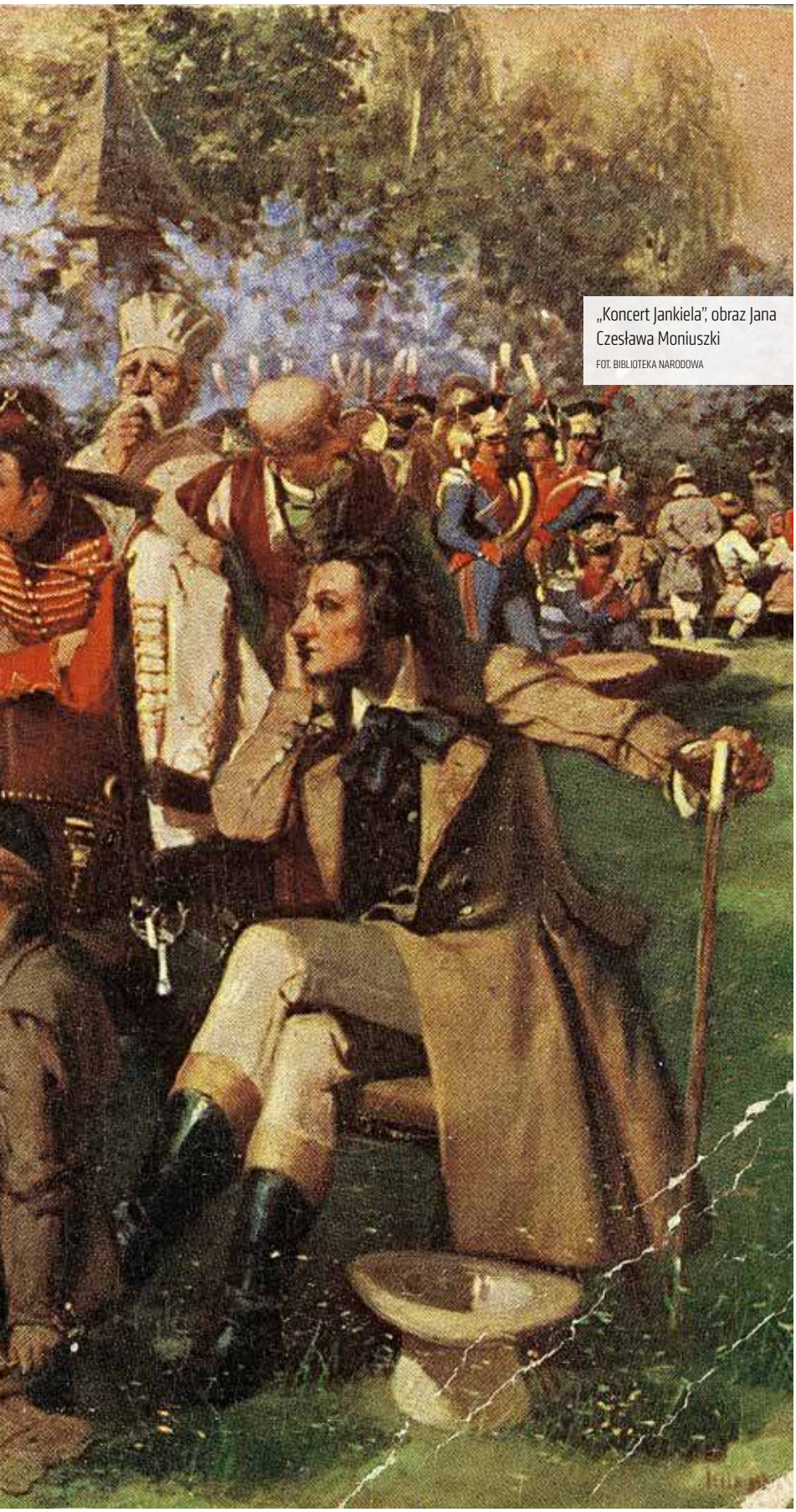

„Koncert Jankiela", obraz Jana Czesława Moniuszki

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Krzysztof Masłoń

Tropiciele polskiego antysemityzmu wzięli pod lupę kanon lektur szkolnych

Literaturę polską, szczególnie tę, którą przywykliśmy uważać za klasyczną, należałoby – i to jak najszybciej – oddać na przemiał. Jej miejsce jest bowiem na śmietniku historii. Takie jest zdanie rewolucyjnych likwidatorów kultury (w dawnym rozumieniu tego słowa), tropicieli niepoprawności politycznych, gwiazd nowej humanistyki spod znaku Black Lives Matter czy, w naszej warunkach, raczej anty-PiS.

Ostatnio pod lupę lustratorów literackiego kanonu dostała się Zofia Kossak-Szczucka, której utwory, na czele z „Pożogą", znalazły się na liście lektur zaproponowanych przez Ministerstwo Edukacji i Nauki do użytku szkolnego, co wywołało oburzenie m.in. gwiazdora humanistyki nowego chowu, Adama Leszczyńskiego, autora głośnej nad wyraz „Ludowej historii Polski". Nazwał on „Pożogę": „książką pełną antysemickich akcentów". Wraz z innymi osobistymi nieprzyjaciółmi Pana Boga z OKO.press przeczytał to dzieło, jak rozumiem, z zawodowego obowiązku. „Nasze dzieci – ubolewa – będą musiały to czytać".

Przypomnę tu, że w 1942 r. to autorka „Pożogi" właśnie doprowadziła do stworzenia Komisji Społecznej dla Ludności Żydowskiej, przekształconej następnie w Radę Pomocy Żydom „Żegota". Nie tylko uzasadniała konieczność tej pomocy, lecz także osobiście ratowała Żydów od śmierci, za co po wojnie została uhonorowana tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Uważała to za swój obowiązek jako Polki i katoliczki, choć podkreślała – cytuję jej sławny „Protest" – że nie przestaje „uważać ich [Żydów] za politycznych, gospodarczych i ideowych wrogów Polski. Co więcej, zdajemy sobie sprawę, że nienawidzą nas oni więcej niż Niemców, że czynią nas odpowiedzialnymi za swoje nieszczęście".

OKO.press wsparło się autorytetem (?) socjologa Tomasza Żukowskiego nazywającego Zofię Kossak

eprasa.pl 4ac3c5591e

„emblematycznym przypadkiem Sprawiedliwego – antysemity”. Skoro tak, to tenże Żukowski jest „emblematycznym przypadkiem Niesprawiedliwego filosemity”, choć to pewnie dla niego zbytek łaski. Ale skoro detektywistyczne OKO.press doszukało się w „Pożodze” fragmentów godzących w dobre imię narodu wybranego, to i ja ich poszukałem w tej książce, której pojawienie się na listach lektur szkolnych powinienem właściwie skwitować jednym słowem: Nareszcie!

PRZEKLEŃSTWO STAREGO RABINA

Z wypracowania Adama Leszczyńskiego podpisanego pod bredniami wymierzonymi w propozycje (!) zmian lektur dowiadujemy się, że Zofia Kossak w „Pożodze” „półgębkiem jedynie wspomina o pogromach, do których dochodziło wówczas na tych terenach – czy to z rąk ukraińskich czy polskich”. No to poczytajmy sobie, jak pisarka przedstawiała to, co działo się na ukochanej przez nią ziemi wołyńskiej w rewolucyjnych latach 1917–1919, kiedy to panami stawali się tam a to bolszewicy, to znów Ukraińcy: „Komuniści szukali zajadle zbiegłych »pamieszczyków«, Petlurcy czynili to samo; pierwsi grabili sklepy, drudzy również. Rozbrojona banda zmieniła przekonania polityczne i w dawnym składzie weszła do armii petlurskiej pod nazwą »Kurenia śmierci«. W miejsce czerwonych kokard kureń otrzymał karawaniarskie czapki z długą czarną płachtą, oszytą srebrnym lampasem, zwieszającą się dziko na plecy. Kiedy pijani i wściekli rwali galopem przez miasto, czarne płachty czapek niosły się za nimi jak drapieżne stado kruków. Ów kureń stanowił załogę nieszczęsnego miasta, które nie mgło ani na chwilę odetchnąć spokojnie. Codziennie Żydzi znosili poważne sumy pieniężne jako okup za nierobienie pogromu. Suma przedstawiała zazwyczaj połowę tego, co kureń zażądał; następowały więc długie targi, po których dowódca kurenia wydawał delegacji żydowskiej kwit obiecujący bezpieczeństwo osobiste i spokój na tydzień lub 10 dni. Krótka była stąd radość, bo najdalej w dwa dni później czarne płachty leciały przez miasto, żądając nowych tysięcy albo grożąc rzezią. Znękani Żydzi padali komendantowi do nóg, klnąc się, że już oddali ostatnie zasoby, ale ostatecznie żądaną sumę składali. W ten sposób, biorąc jednorazowo po kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy, wyciągnięto z miasta około paru milionów. Niezależnie zaś od składanego okupu prawie każdej nocy rabowano większe sklepy albo bogatsze mieszkania żydowskie, prawie każdej nocy budziły dochodzące z ulicy strzały i wrzaski grabionych”.

Jedni z nowych panów handlowali życiem i śmiercią, drudzy – nie. W 1919 r. – pisała Zofia Kossak – „zaczęły się sporadyczne pogromy we wszystkich miasteczkach okolicznych: Lityniu, Kupielu, Ostropolu, Kuźminie i innych. Najcharakterystyczniejszy z nich, a zarazem największy co do liczby ofiar, był pogrom płoskirowski, który nastąpił w pierwszych dniach lutego. Dokonała go głównie miejscowa załoga petlurska, ale rozpoczął i zainicjował oddział siczowników galicyjskich, niedawno przybyłych do miasta. Ludzie zamieszkujący naówczas Płoskirów zaręczali mi, że straszna ta rzeź nie była niczym wywołana ni sprowokowana. Po prostu, na chłodno, starannie oznaczono wprzód domy i mieszkania nieżydowskie, otoczono wojskiem miasto i przystąpiono do krwawego dzieła tak, jak się przystępuje do siewów lub żniwa. Grozę potęgował fakt, że przez cały czas pogromu nie padł ani jeden strzał. Wśród stosu ofiar, zalegających nazajutrz ulice, nie było ani jednego człowieka, który by zginął od kuli. Wszyscy zostali zarżnięci, zakłuci lub poćwiartowani żywcem. Systematycznie przechodząc wszystkie zaułki i domy, nie oszczędzano nikogo – od niemowląt do najstarszych. Nieludzkie wycie napełniało miasto. Ludzie zmuszeni być świadkami tego mordu, bliscy byli obłędu. Daremnie skazańcy starali się przekupić żołnierzy, oddawali pieniądze, złoto. »Nam was treba, ne waszich hrosziw!« odpowiadali, nie zwracając nawet na prośby uwagi. Zabitych wyrzucano z okien na ulice, gdzie po kilku godzinach zebrały się istne materace z trupów. Leżały tam w grozie swej strasznej niedoli – matki ciężarne, z których wydarto wnętrzności, dziewczęta z odrąbanymi piersiami, starcy wyszczerzeni, okropni… Z balkonów zwieszały się wianki związane z dzieci maleńkich rozpłatanych bagnetami, powiązanych sznurem za główki żałośnie zwieszone.

Do stojącej w śródmieściu apteki polskiej wpadali co moment oficerowie kierujący rzezią. I wznosząc ze sobą mdły odór mordu, świeżych, ciepłych trzewi, ryczeli: »Dawat’ duchi!«. Przynoszono więc miednicę i wlewano do niej wszystkie flakony perfum, wody kolońskiej itp., jakie były w składzie. Krwawi rycerze myli sobie twarze, ręce, posklejane od krwi włosy, po czym, stokroć jeszcze bardziej potworni niż przedtem, wybiegali kończyć straszne swoje dzieło. Za nimi zostawały krwawe piętna po podłodze, naczynie pełne stygnącej krwi ludzkiej i powietrze napełnione dusznym zaduchem mordu i zbrodni, którego nie mogły zniweczyć wszystkie esencje kwiatowe razem wzięte. Za chwilę wpadali inni i tak do wieczora.

Był wtedy w Płoskirowie stary rabin, niezwykle stary i niezwykle podobno mądry. Najpierw zamęczono przy nim wszystkie jego dzieci, wnuki i prawnuki, na koniec posiekano go samego. Podobno przed śmiercią zakrzyknął: »Przeklęty, po trzykroć przeklęty miał być miesiąc Adar, ale mękę Izraela odemści Wej Adar«. Nie wiem, kto był świadkiem tego i kto to powtórzył, ale proroctwo rozeszło się szybko pomiędzy Żydami, którzy przykładali doń wielką wagę. Tegoż dnia jeszcze do Starokonstantynowa przybyli uciekinierzy, przywożąc szczegóły pogromu. Wyglądali jak nieludzkie mary. Toteż w mieście zapanował niesłychany lament, który się zwiększał w miarę, jak przybywało nieszczęsnych. Żydzi odprawiali publiczne modlitwy, rozdzierali szaty, drapiąc paznokciami ziemię na starym cmentarzu, wyjąc,

Skoro detektywistyczne OKO.press doszukało się w „Pożodze” fragmentów godzących w dobre imię narodu wybranego, to i ja ich poszukałem w tej książce

eprasa.pl 4ac3c5591e

posypując głowy piaskiem i popiołem. Początkowo ilość ofiar podawano na 20 tysięcy, później, gdy listy imienne były już gotowe, została ona ustalona na siedem tysięcy. Przez długi czas pogrom płoskirowski był jednym tematem rozmów i myśli żydowskich. Obiecywano sprowadzić specjalną komisję ententy, zbierano na ten cel pieniądze. Naznaczony był już dzień, w którym rzeczona komisja miała przybyć. Potem, nagle, zapewne na rozkaz polityki z góry, wszystkie te zamiary upadły. Przestano mówić o pogromie, wspominać umarłych. Czasem tylko Żydzi więcej znajomi przypominali proroctwo starego rabina i uśmiechali się przy tym znacząco. Komisja nie przyjechała".

BRODACI, NIECHLUJNI, ŚMIESZNI

Tak na pewno nie mówi się „półgębkiem", natomiast zachodzę w głowę, co i dlaczego nie spodobało się Leszczyńskiemu (historykowi, socjologowi i antropologowi w jednym) w takim ustępie „Pożogi": „Trzeci korpusik okupywał Starokonstantynów. Zamiast rozmamłanych towariszczy snuli się sprężystym krokiem, dzwoniąc szablami, barwiąc się amarantem kołnierzy i czapek Żołnierze Polscy – nasi rodzeni żołnierze, nasze własne »chłopcy«. Ludność polska trwała w nieustającej, radosnej gorączce; Żydzi byli zmatowani i nie bardzo pewni; porządek panował wszędzie wzorowy. Wnet artyleria, która najgorzej stała z umundurowaniem, dostała nowe czapki ze świeżo zebranych składek. Śliczne czapki, brązowe z czarnym aksamitem, na które każdy z nas spoglądał ze słuszną dumą". Nie znajduję innej odpowiedzi ponad tę, że ozdoba współczesnej nauki polskiej do dumy tej nie poczuwa się wcale, a czy do polskości w ogóle – śmiem wątpić.

Solą w oku tropicieli antysemityzmu na kartach arcydzieł literatury polskiej są rozmaite „Żydzięta", „Żydki", „Żydowiny". Trafimy na nie u Kossak, są i u Konopnickiej („Nasza szkapa"!), a nawet swego czasu ze zgrozą odkryto je w „Dziennikach" uchodzącej za postępową Marii Dąbrowskiej.

Rzekomy antysemityzm tej ostatniej mógł jednak kłuć w oczy jedynie obdarzonych słabą pamięcią czytelników albo niedouków. Nie mogli pogodzić się z tym, że w „Dziennikach" pisarka ujawniała prawdziwe nazwiska tych, którzy je zmienili, niekiedy w nawiasach dodawała (Żyd), a ktoś tam u niej był „Żydkiem". A niby inaczej pisali przed wojną np. Józef Mackiewicz czy sam Jerzy Giedroyc! Dąbrowska jednak popełniła w 1936 r. artykuł „Doroczny wstyd", biorąc w obronę studentów pochodzenia żydowskiego, którym fundowano getto ławkowe, a w czasie okupacji pomagała Żydom. To znaczy znacznie więcej niż wywodzące się z tradycji nieco lekceważące określenia ludzi nazywanych niegdyś starozakonnymi.

Solą w oku tropicieli antysemityzmu na kartach arcydzieł literatury polskiej są rozmaite „Żydzięta", „Żydki", „Żydowiny"

Obraz przedwojennej dzielnicy żydowskiej w Warszawie: Franciszkańskiej, Świętojerskiej, Gęsiej, Miłej, Nalewek i jej mieszkańców ukazał Stefan Żeromski w „Przedwiośniu": „Był tam nadmiar nędzarzy-łachmaniarzy, który zużywał ruchliwość przyrodzoną rasy żydowskiej na oszukiwanie się wzajemne, na pracowitą kłótnię o ochłapy jadła, o śledzie, o skrawki mięsa, a nic, literalnie nic nie czynił dla zarobku godziwego, stałego i dobrze płatnego w fabrykach i warsztatach. Wielu, oczywiście, pracowało w tych ulicach nad siły jako tragarze, woźnice, pomocnicy, subiekci, i ci mieli nawet zewnętrzny wyraz inny, normalny, ludzki. Przeciętny jednak typ – to była karykatura ludzkiej postaci. Zgarbieni, pokrzywieni, obrośli, brodaci, niechlujni, śmieszni bezgranicznie w swych płytkich czapeczkach i długich, brudnych chałatach do pięt, wałęsali się i zalewali ulice, brodzili, wchodzili i wychodzili, gadali, kłócili się, nic właściwie nie robiąc. Cezary przyszedł do przeświadczenia ogólnego, iż Żydzi zamieszkujący dzielnicę, w której mu przebywać wypadło, są zbiorowiskiem ruchliwych i gadatliwych próżniaków".

To naprawdę zdumiewające, że „Przedwiośnie" przetrwało jako lektura, i to obowiązkowa, przez lata PRL i ćwierćwiecze Polski wolnej, jednak nie od ścigania najcięższej zbrodni, czyli antysemityzmu – prawdziwego i rzekomego. Gdyby w bliżej nieokreślonej, acz wiele wskazuje na to, że nieodległej przyszłości miało dojść do rzeczywiście rewolucyjnych zmian w szkolnej nauce języka polskiego i literatury polskiej, to z pewnością poza „Przedwiośniem" poległaby i „Wierna rzeka" tegoż Żeromskiego. No bo jak panna Brynicka mogła opowiadać o tym, że w odległej o ćwierć wiorsty od dworu karczmie „siedzą Żydy. Dawniej brali wódkę, z niezdolskiego dworu, jak gorzelnia szła. Teraz ją biorą skądinąd, a trudnią się, czym można, a głównie przemycaniem w dalekie strony kradzionych koni. […] Jest ich tam dużo, tych Żydów w karczmie. Ale między nimi jest jedno Żydzię, ma chyba ze czternaście czy piętnaście lat. Na imię temu Ryfka. Warto zobaczyć przy świetle dziennym to czupiradło. Nie myła się już ze cztery lata, włosy w strąkach, obdarte, brudne".

PO ANGIELSKU, NIE PO POLSKU

Ale co tam Żeromski! Jedynie na śmietnik historii i literatury nadają się nasi dawni nobliści – Reymont i Sienkiewicz, o Prusie nawet nie ma co mówić, Konopnicka – won, a i z Mickiewiczem nie ma co się cackać. Mamił tylko czytelników publicystycznym „Składem zasad" i koncertem Jankiela w „Panu Tadeuszu", a przecież w tej samej epopei Zosia krzyczy: „Sędziego objąwszy rękami / Jako dziecko od Żydów kłute igiełkami". A po co kłute? Na macę, na żydowską macę!

A co z „Noclegiem", nieprzypadkowo pod korcem chowanym przez miłośników poezji antysemity z Nowogródka, w którym to wierszu powstańczym powieszony na drzewie szpieg żydowski „pejsami zamiata po ziemi".

Nie ma przebacz!

Prawem kaduka za najwybitniejszą powieść literatury polskiej od lat uchodzi skrajnie antysemicka „Lalka". Z Henrysiem Szlangbaumem, rzekomym socjalistą Kleinem („my wiemy, do czego oni są zdolni, gdyby mieli siłę"), subiektem Lisieckim („tu niedługo zostaną tylko Żydzi, a reszta zżydzieje"), a i udającym poczciwca Rzeckim („u nich wszystko stoi na bladze, szacherce i tandecie").

Cała publicystyka pana Głowackiego, który przezwał się Prusem, przesiąknięta jest niechęcią do Żydów, ale mniejsza o nią. Gorzej, że i w jego „Faraonie" Fenicjanie mówią językiem z Nalewek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

Przekraczanie granic

Rafał A. Ziemkiewicz

Przekaz lewicowo-liberalnych mediów, podchwytywany przez polityków i „autorytety" opozycji, uzupełniający operację „Śluza" prowadzoną przez białoruską KGB przeciwko Polsce, Litwie i Łotwie, w niczym nie odbiega od starych, wielokrotnie sprawdzonych wzorców

Zasadniczą różnicą między dziennikarstwem a propagandą jest posługiwanie się przez tę drugą emocjonalną manipulacją. Przekaz propagandowy zawsze obliczony jest na pobudzenie emocji, szczególnie takich, które uchodzą za szlachetne, a więc ulegamy im chętnie – współczucia, potrzeby opowiedzenia się za sprawiedliwością, wspierania słabszych przeciwko silniejszym. Na starych propagandowych plakatach wrogowie zawsze przedstawiani są jako potwory znęcające się nad bezbronnymi kobietami i dziećmi. Współcześnie robi się to nieco bardziej subtelnie, ale zasada manipulacji pozostaje ta sama. Z kolei żeby wzbudzić odruch emocjonalny, trzeba z reguły posłużyć się kłamstwem. Dlatego w przekazie propagandowym kłamstwo i gra na emocjach związane są nierozerwalnie.

Przekaz lewicowo-liberalnych mediów, podchwytywany przez polityków i „autorytety" opozycji, uzupełniający operację „Śluza" prowadzoną przez białoruską KGB przeciwko Polsce, Litwie i Łotwie, w niczym nie odbiega od starych, wielokrotnie sprawdzonych wzorców.

„Jest człowiek. Ucieka przed czymś, czegoś się boi. Jest głodny. Zmarznięty. Niewyspany. Chory. I nie znajduję ani jednego powodu, żeby Mu nie pomóc – dać jeść, schronienie, możliwość umycia się i wtedy dopiero zająć się formalnościami" – takimi słowy, przypisywanymi Mai Komorowskiej, komentuje celebryta opozycji, Maciej Stuhr, informację o znalezieniu w trzech miejscach granicy polsko-białoruskiej zwłok imigrantów, którzy próbowali nielegalnie przedostać się do Polski. „Stąd płynie moje – i pewnie nie tylko moje – przytłaczające poczucie bezsilności, jakiego do tej pory nie znałam. Nie rozumiem, nie mieści się w moim pojęciu człowieczeństwa, pań-

eprasa.pl 4ac3c5591e

Lewicowo-liberalne media celowo nie mówią prawdy o tym, co się dzieje na granicy polsko-białoruskiej

FOT. LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

stwowości, już nie mówiąc chrześcijaństwa – pozostawianie ludzi szukających pomocy na łasce, a raczej nie-łasce losu. Nawet jeńcom wojennym przysługuje ochrona".

JAK Z TYM ŻYĆ!

Ileż tu potężnych znaków emocjonalnych! Człowiek, który ucieka, zaszczuty, potrzebujący pomocy – i źli Polacy, którzy sprzeniewierzyli się chrześcijańskiemu obowiązkowi, a także własnej historii. A w pełnym tekście takich znaków jest jeszcze więcej. „Nie wiem, jak z tym żyć!" – pointuje od siebie cytujący sędziwą aktorkę Stuhr. Jest i o naszych powstaniach, i o emigracji, i – obowiązkowo – o wierze katolickiej, i wszystko zbiega się w jednym punkcie: poniżenia Polaków jako ludzi podłych, a ochrony polskiej granicy jako niewyobrażalnej zbrodni przeciwko elementarnym ludzkim powinnościom.

Inna reakcja w tej samej sprawie, wpis w mediach społecznościowych Sylwii Abram-Gregorczyk, adwokat, jednej z liderek rokoszu prawników przeciwko podjętej przez PiS reformie wymiaru sprawiedliwości: „Nikt, niezależnie od tego, w jakich okolicznościach przedostał się do Polski, nie zasługuje na śmierć z zimna, głodu i wyczerpania. Kraj, który żywi się martyrologią, upaja historią o bohaterskich czynach, odwadze i niezłomności narodu, odwraca oczy od ludzkiego cierpienia. Wstyd". Te same znaki emocjonalne, jakby z tego samego „przekazu dnia".

Jeszcze jeden charakterystyczny przekaz, wpis z twitterowego konta portalu jewish.pl znanego z wystąpień szczególnie prowokacyjnych, ewidentnie obliczonych na jątrzenie w stosunkach polsko-żydowskich i prowokowanie w Polakach emocji antyżydowskich. Tym razem pani Katarzyna Markusz (bo przeważnie to ona jest autorką jątrzących komunikatów) pisze: „W oficjalnych rządowych dokumentach Polska pomaga uchodźcom i ratuje ich przed śmiercią. Pamiętajcie o tym, jak będą wam wciskać jakieś dokumenty o ratowaniu Żydów w czasie wojny".

Poprzestańmy na tych trzech charakterystycznych wypowiedziach. Nie są to głosy internetowych trolli ani ludzi nikomu nieznanych. Wybitna aktorka starszego pokolenia, jej młodszy kolega, nie tak może szanowany, ale bardzo popularny dzięki „komediom romantycznym" i innej popkulturowej konfekcji, prawnik, uważana w środowisku lewicowo-liberalnym za bohaterkę, i w końcu żydowski portal, co prawda o małym zasięgu w Polsce (przywołane wyżej konto ma poniżej tysiąca obserwujących), ale regularnie cytowany i traktowany jako źródło wiedzy o Polsce w kilkudziesięciu różnojęzycznych mediach żydowskich w Izraelu, USA i na całym świecie.

Wszystkich ich łączy agregowanie zasadniczego kłamstwa, stworzonego i upowszechnianego przez media białoruskie, a za nimi przez lewicowo-liberalne media polskojęzyczne w III RP. Sytuacja na naszej wschodniej granicy przedstawiona jest tak, jakby imigranci zwracali się o pomoc do Polaków i ginęli z głodu i zimna, bo jej im odmówiliśmy i kazaliśmy wracać do siebie. Cytowani tu ludzie, wszyscy wykształceni i inteligentni, nie mogą nie wiedzieć, że faktycznie jest zupełnie inaczej. Wszyscy imigranci, których zwłoki znaleziono, zginęli dlatego, że – podobnie zresztą jak inni, których kilkuset dziennie polskiemu wojsku i Straży Granicznej udaje się schwytać, co oznacza właśnie nakarmienie ich, okrycie i odprowadzenie w bezpieczne miejsca – starali się ominąć z dala polskie patrole i w ogóle Polaków (wyjąwszy umówionych, mafijnych przewodników, mających poprowadzić ich dalej). Właśnie z tego powodu błądzili po lesie czy bagnach, gdzie spotkało ich nieszczęście.

Pomińmy tu kwestię, czy śmierć jednego z Irakijczyków nie była skutkiem morderstwa służb białoruskich. Bo czymże innym byłoby zaopatrzenie przerzucanego przez granicę w trującą pigułkę z informacją, że pomoże ona „na głód i zimno" (jeśli oczywiście wstępne ustalenia w tej sprawie zostaną potwierdzone)? Nie jest to wykluczone, zważywszyna na to, jak wielką korzyść czerpie z tej śmierci propaganda inicjatora granicznej wojny. Dla istoty sprawy nie ma to jednak większego znaczenia.

Aby rzecz ująć obrazowo, używam takiego porównania. Jeśli jakiś żebrak zapuka do moich drzwi, prosząc o jałmużnę, ja go odprawię z kwitkiem (jestem przecież znanym potworem) i żebrak ten umrze z głodu na moim progu, to można mówić, że ciąży na mnie jakaś moralna odpowiedzialność za jego zgon. Ale jeśli włamywacz, usiłując się dostać cichcem do mojego domu przez strych, spadnie z dachu i skręci sobie kark, to przypisywać mi winę może tylko albo cyniczny kłamca i manipulator, albo skrajny dureń, powodowany odbierającą rozsądek nienawiścią.

Cały przekaz opozycji opiera się na celowym pomyleniu tych dwóch sytuacji. Niewątpliwie mamy na granicy do czynienia z sytuacją drugą, z włamywaczem. Rzekomi „uciekinierzy wojenni" – tu zresztą mamy do czynienia z kolejnym kłamstwem, wśród zatrzymywanych przez Straż Graniczną są Egipcjanie, Turcy, Irakijczycy, obywatele Jordanii, Konga, Beninu, a nawet Nowej Gwinei, ale Afgańczyków niewielu – nie są zainteresowani z naszej strony żadną pomocą, niczego od nas nie chcą poza tym, żebyśmy im nie przeszkadzali. Jesteśmy dla nich tylko etapem w wielkiej wyprawie do Niemiec lub innych bogatych krajów europejskich, częścią „treku" zorganizowanego przez mafię przemytniczą i współpracujące z nią

eprasa.pl 4ac3c5591e

wschodnie służby, za który zapłacili po kilkanaście tysięcy euro. Kontakt z polską Strażą Graniczną lub zwrócenie się do polskich instytucji o pomoc dla każdego z tych ludzi oznacza kres marzeń, zmarnowanie całego dotychczasowego wysiłku i wydanych pieniędzy. Dlatego wolą ukrywać się przed Polakami choćby nawet na bagnach, w zimnie i o głodzie.

Tymczasem wszystkie informacje i komentarze lewicowo-liberalnych mediów i autorytetów konstruowane są tak, jakbyśmy mieli do czynienia z pierwszą z powyższych przykładowych sytuacji. Jakby „uchodźcy" (kolejne z propagandowych kłamstw – „uchodźca" to pojęcie zdefiniowane w prawie międzynarodowym i użycie go w odniesieniu do „żywych pocisków" Łukaszenki jest całkowicie nieuprawnione) stawili się na przejściach granicznych, zwracając się o pomoc, a „państwo PiS" im tej pomocy odmawiało.

KŁAMSTWO IMPLIKOWANE

Cechą wytrawnych propagandystów jest to, że nie dają się oni łatwo złapać za rękę. Charakterystyczne jest to, że fundamentalne dla całego przekazu kłamstwo nie jest nigdzie formułowane wprost. Jest tylko implikowane. Widz, czytelnik bądź użytkownik mediów społecznościowych nie dostaje fake newsa, że tu czy tam, wtedy i wtedy odmówiono konkretnemu uchodźcy konkretnej pomocy – ale nie dostaje też rzetelnej informacji, co naprawdę na granicy się dzieje. Podaje mu się tylko komentarze osób znanych lub obdarzonych tzw. autorytetem instytucjonalnym, z których on sam podświadomie rekonstruuje sobie obraz błagających o pomoc afgańskich uciekinierów i bezdusznych Polaków, którzy im tej pomocy odmawiają. A przy okazji dostają także przekaz mający ich immunizować na fakty, nawet jeśli zostaną przedstawione niezbite ich dowody: „Nie wierzcie w żadne dokumenty" – nawołuje przecież jewish.pl

Proszę zobaczyć, jak sprytnie formułuje swój wpis inicjatorka i działaczka „Wolnych Sądów". Sformułowanie „nikt nie zasłużył na śmierć" w zasadzie uniemożliwia polemikę, a jednocześnie pozwala, nie rzucając oskarżenia wprost, w połączeniu ze słowem „wstyd" insynuować winę za tę „niezasłużoną" śmierć Polakom. Pani Gregorczyk-Abram jest przecież prawnikiem, i to wziętym, więc trudno podejrzewać, żeby manipulacja nie była świadoma.

Spróbujmy wyobrazić sobie jeszcze jeden, przykładowy „kazus". Złodziej kradnie samochód, ściga go policja, uciekający traci panowanie nad kierownicą, ginie. Czy ktoś powie, że „zasłużył na śmierć"? Nie, choć też każdy rozsądny człowiek przyzna, że to sam zabity ponosi za swą śmierć winę. Gdyby otwarcie wygłosić tezę, że winni tej śmierci są ustawodawcy, którzy zakazali kradzieży samochodów, i policja, która czuwa, by nie łamano prawa, skuteczność takiej propagandy byłaby ograniczona, bo takie wprost rzucone oskarżenia pobudzają zdroworozsądkową reakcję odbiorcy. Dużo skuteczniejsze jest skupienie się na emocjach: nikt nie zasługuje na śmierć, złodziej – taki młody, tyle jeszcze mógł w życiu osiągnąć, biedny, a znowu policjanci – „odwracający się od ludzkiego cierpienia", a minister spraw wewnętrznych w tym czasie sobie jak gdyby nigdy nic urzędował czy może nawet balował… Wstyd!

Lewicowo-liberalne elity ogarnięte amokiem nienawiści do polskiego rządu i polskiej demokracji przekraczają granicę między krytycyzmem wobec własnego kraju a zwykłą zdradą

Mogę uwierzyć, że podeszła w latach aktorka czy jej młodszy kolega z „komedii romantycznych" powtarzają bezmyślnie i w dobrej wierze to, czym sami nasiąkli, otwierając się z nienawiści do obecnej władzy na każdy wrogi jej przekaz – a więc także i na przekazy komponowane, z wykorzystaniem całej wiedzy fachowej, przez propagandystów Putina i Łukaszenki. Co do aktywistki „Wolnych Sądów" czy znanej z judzenia przeciwko Polakom działaczki żydowskiej mam już wątpliwości, czy mamy do czynienia tylko z leninowskimi „pożytecznymi idiotami" czy ze świadomym wysługiwaniem się Łukaszence i Putinowi. Nie sądzę, by Bartosz Kramek i jego fundacja Otwarty Dialog, o których agenturalnych powiązaniach ze służbami Putina informowały polskie władze otwarcie, byli – jeśli zarzuty te są słuszne – jedynymi putinowskimi inwestycjami w polskojęzyczną agenturę wpływu. A gdzie lokować takie inwestycje, jeśli nie w organizacjach otwarcie dążących do anarchizacji życia publicznego, szczególnie w tak ważnym obszarze państwa jak sądownictwo albo w traktowanych przez wszystkie zachodnie media bezkrytycznie środowiskach żydowskich? Szczególnie takich, których działalność zdradza przedziwną równoległość wobec aktywności Mosze Kantora, pełniącego w tych środowiskach zupełnie otwarcie rolę eksponenta interesów Kremla?

„Po owocach ich poznacie" – powiada Pismo, a nie mając żadnych narzędzi śledczych, możemy tylko obserwować i poddawać testowi zdrowego rozsądku przekazy płynące z mediów Discovery, Ringier Axel Springer czy Agory. Niepokojąco przypominają one sytuację, do której doszło w USA za czasów wojny w Wietnamie – bardzo podobne, jakby spod tej samej sztancy, są zachowania współczesnej antypisowskiej opozycji do ówczesnych zachowań amerykańskich środowisk liberalnych. Nienawiść do własnego kraju („Amerika" – pisownia kojarząca się Amerykanom z językiem niemieckim, a więc z Hitlerem), nazywanie żołnierzy „baby killers", mordercami dzieci, wiernopoddańcze pielgrzymki celebrytów do komunistycznej Hanoi – dziś wiemy, choćby z dokumentów wyrwanych z moskiewskich archiwów przez Władimira Bukowskiego, że wszystko to nie narodziło się na hipisujących kampusach spontanicznie, że emocje pielęgnowało i agregowało aż do szaleńczej histerii grono specjalistów, którzy dziś są wprawdzie na emeryturach, ale zdobyte przez nich doświadczenia nie zginęły wraz z upadkiem „przodującego ustroju".

Wielu wkręconych w tę emocjonalną propagandę Amerykanów przyznawało później, po latach, że dali się zmanipulować i że popkulturowo-medialny obłęd „antywojenny" doprowadził ich do przekroczenia granicy między krytycyzmem wobec własnego kraju a zwykłą zdradą. Ta granica jest dziś przekraczana także w Polsce przez lewicowo-liberalne elity ogarnięte amokiem nienawiści do polskiego rządu i polskiej demokracji, która już dwukrotnie wyniosła PiS do władzy. I to jest znacznie groźniejsze niż przekraczanie granicy państwa przez nielegalnych imigrantów.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

PGNiG
PGNiG Mecenasem Teatru
...w Twoim domu
To ważne, żeby dbać o tradycję, kulturę i sztukę.
Dlatego bycie mecenasem, obecnego od lat
w Waszych domach Teatru Telewizji,
to dla nas zaszczyt.

Z Bartłomiejem Wróblewskim, posłem PiS, członkiem sejmowego zespołu ds. reformy systemu wyborczego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Operacja wysokiego ryzyka

FOT. GRZEGORZ KRZYŻEWSKI/FOTONEWS/FORUM

RYSZARD GROMADZKI: Czy polska demokracja jest „przedstawicielska" tylko z nazwy? Rzeczywiście doszliśmy do momentu, jak przekonuje Paweł Kukiz, w którym konieczna jest reforma systemu wyborczego?

BARTŁOMIEJ WRÓBLEWSKI: Nie uważam, żeby zmiany w systemie wyborczym należały do najbardziej potrzebnych zmian w Polsce. Chociaż oczywiście ciągła refleksja, monitoring rozwiązań wyborczych są wskazane. Nie ma powodów jednak, żeby w granicach tego, co jest określone w konstytucji, nie mogły toczyć się dyskusje na temat silniejszego spersonalizowania tego systemu. Bo taka jest idea Pawła Kukiza i jego środowiska politycznego.

To spersonalizowanie, o którym pan mówi, ma polegać na umożliwieniu biernego prawa wyborczego wszystkim dorosłym Polakom, bez żadnej legitymacji partyjnej. To właśnie taki model od lat promuje Kukiz...

Tak. Jest to postulat, który można uzasadniać regulacjami konstytucyjnymi, tymi, o których pan mówi, czyli biernym prawem wyborczym. Trzeba jednak pamiętać, że konstytucja mówi także, że wybory do Sejmu mają charakter proporcjonalny. Zakładając, że nie dochodzi do żadnych zmian w konstytucji, musimy się poruszać w określonych w niej ramach. Konstytucja pozostawia pewną możliwość w ramach proporcjonalnego systemu wyborczego, spersonalizowania go, czyli przyjęcia takiego rozwiązania, w którym parlamentarzyści są wybierani w jednomandatowych okręgach wyborczych, a przynajmniej część parlamentarzystów jest wybierana w jednomandatowych okręgach wyborczych, przy jednoczesnym założeniu, że ostatecznie skład parlamentu musi być proporcjonalny. Musi odpowiadać woli społeczeństwa wyrażonej w wyborach.

Znamy takie systemy, np. system niemiecki, które są spersonalizowane, a jednocześnie proporcjonalne. W dyskusjach toczonych w Polsce na ten temat mówi się o systemie mieszanym, ale jest to o tyle nieporozumienie, że ściśle rzecz biorąc, system mieszany prowadziłby do sytuacji, w której część mandatów obsadzona jest przez osoby wybrane w ramach systemu większościowego, a część proporcjonalnego. My o takim rozwiązaniu nie mówimy. Mówimy o sytuacji, w której część osób wybierana jest w okręgach jednomandatowych, ale ostateczny skład parlamentu powinien być proporcjonalny. Odpowiadać w proporcjach temu, o czym zdecydowało społeczeństwo w wyborach.

Czy po takiej operacji bliżej nam będzie do realnej demokracji przedstawicielskiej, czy to tylko rodzaj politycznej kosmetyki systemu, który w swej istocie pozostanie taki sam?

Nie nazwałbym tego kosmetyką. Tego rodzaju możliwość urealnia bierne prawo wyborcze każdego obywatela, w większym stopniu personalizuje politykę. Można powiedzieć, że każdy wyborca ma swojego posła.

Czy ogranicza także partyjną dominantę systemu wyborczego. Idée fixe Pawła Kukiza jest przecież odpartyjnienie naszego życia publicznego, w tym wyborów...

Na razie mówię o korzyściach płynących z takiego rozwiązania. W tym sensie nie jest to tylko zabieg kosmetyczny. Jednocześnie trzeba powiedzieć, że jest to operacja sporego ryzyka. Po pierwsze, dlatego że paradoksalnie może się okazać, iż wzmacnia to upartyjnienie, o którym mówi Paweł Kukiz. Widzieliśmy to po zmianach ordynacji wyborczej do Senatu. Wcześniej senatorowie byli wybierani w niejednomandatowych okręgach wyborczych i udział senatorów niezależnych był wówczas większy w Senacie niż obecnie. Jednym słowem – ta zmiana niekoniecznie musi prowadzić do tego, czego chciałby Paweł Kukiz. Po drugie, wprowadzenie tej zmiany może mieć bardzo poważne konsekwencje dla geografii parlamentarnej. Jeśli ostatecznie liczba parlamentarzystów będzie się zgadzać, to znaczy będzie odpowiadać proporcjom wyrażonym przez społeczeństwo, to może się okazać, że

eprasa.pl 4ac3c5591e

w Polsce stanie się to, co widzimy w Stanach Zjednoczonych. Polska może zostać podzielona na połowę, z czego wszyscy parlamentarzyści prawicy będą pochodzić ze wschodniej Polski, a w zachodniej Polsce będą wyłącznie posłowie liberalni i lewicowi.

Czyli niezamierzonym skutkiem reformy systemu wyborczego może być wylanie dziecka z kąpielą...

Dlatego dobrym pomysłem jest to, że najpierw powstaje zespół, który ma te zmiany gruntownie przemyśleć, a dopiero później przełoży się to na konkretne propozycje. Powtórzę: jest to operacja wysokiego ryzyka, z której konsekwencji, jak myślę, nie wszyscy zdają sobie sprawę. Może się okazać, że zalety postulowanych zmian są iluzoryczne. Z drugiej strony jednak może wyjść na to, że obawy z nimi związane są przesadzone, bo można znaleźć mechanizmy, które ograniczają to ryzyko.

Czy te mechanizmy, które pozwoliłyby skutecznie wdrożyć zmiany w systemie wyborczym, sprawić, że będzie on bardziej przyjazny obywatelom, mogą wejść w życie jeszcze przed kolejnymi wyborami? Oczywiście zakładając, że odbędą się one w konstytucyjnym terminie, czyli jesienią 2023 r.

Wydaje mi się, że nie. Z dwóch powodów. Po pierwsze, każda zmiana prawa wyborczego będzie wiązała się z zarzutem części opozycji, że ma ona służyć rządzącym. Między innymi z tego powodu należałoby myśleć o tym, że jeśli takie rozwiązania miałyby być przyjęte, to powinny być zastosowane nie przed nadchodzącymi, ale przed kolejnymi wyborami. Po drugie, powodem powściągliwości co do wprowadzania zmian jest to, co powiedziałem wcześniej. Ta propozycja ma swoje zalety, ale łączy się też z ryzykiem. Sprawa musi być dobrze przemyślana. Czasu do wyborów jest na tle dużo, żeby takie prace przeprowadzić, ale za mało na gruntowną analizę i dokonanie zmian w ustawie, tak żeby ta znalazła zastosowanie już w 2023 r.

Czy Paweł Kukiz z całą swoją chimerycznością i temperamentem jest w stanie zaakceptować taką długofalową perspektywę dla kluczowego dla siebie projektu? Czy nie trzaśnie kiedyś drzwiami i nie zostawi PiS z kłopotem w postaci ciułania większości do każdej istotniejszej ustawy?

Myślę, że Paweł Kukiz rozumie, iż nie jest to sprawa, którą da się szybko przeprowadzić. Od dawna byłem orędownikiem tego, żeby środowiska Kukiza, myślę zarówno o centrali, jak i lokalnie o Wielkopolsce, integrować z obozem Zjednoczonej Prawicy. Myśleć w kategoriach Zjednoczonej Prawicy Plus.

Mówimy o sytuacji, w której część osób wybierana jest w okręgach jednomandatowych, ale ostateczny skład parlamentu powinien być proporcjonalny

Nie mam żadnych wątpliwości, że sam Paweł Kukiz i ludzie tworzący Kukiz'15 to niepodległościowcy i wolnościowcy. Osoby, z którymi podzielamy bardzo wiele przekonań wzbogacających Zjednoczoną Prawicę o ciekawe propozycje antykorupcyjne, JOW-ów czy propozycję dotyczącą sędziów pokoju. To dzięki ich inspiracji otwieramy dyskusję na temat pewnego spersonalizowania systemu wyborczego. Myślę, że to jedna z dwóch ważnych propozycji Pawła Kukiza, które wiążą się z największym ryzykiem. Dlatego ta sprawa powinna być gruntownie przemyślana.

A ta druga obarczona dużym ryzykiem propozycja Kukiza to...

Mam na myśli pomysł dnia referendalnego. Jest bardzo duża liczba spraw, które nie nadają się do tego, żeby rozstrzygać je w referendum.

Trudno rozstrzygać w referendach o kategoriach stricte moralnych...

Powiedziałbym, że nie tyle o referendach dotyczących kwestii moralnych, ile o referendach, w których decydujemy o podstawowych prawach człowieka. Trudno w referendum decydować, kto jest człowiekiem. Trudno decydować, czy komuś należy się prawo własności. Trudno dyskutować o wolności sumienia. W wypadku tego postulatu nie wykluczałbym jakiejś formy zwiększenia udziału referendów w procesie stanowienia prawa. Wydaje mi się jednak, że praktyczne urzeczywistnienie tej pięknej idei jest po prostu trudne. W całym szeregu kwestii społecznych instytucja referendum musi być stosowana z całą ostrożnością. Weźmy na przykład kwestię COVID-19. Biorąc pod uwagę zmienność danych i informacji naukowych na ten temat, wiarygodność tych informacji, zmienność nastrojów społecznych, widzimy, że jest to obszar, który jeśli byłby poddany referendum, to mógłby przynosić bardzo różne decyzje.

Potencjalnie bardzo niebezpieczne na przykład dla swobód obywatelskich...

Myślę nie tylko o kwestiach swobód obywatelskich, lecz także o racjonalnej polityce. W tym wypadku mamy do czynienia z wysokim poziomem emocji społecznych, które mógłyby powodować, że decyzje referendalne byłyby zupełnie niespodziewane. To jest ta zasadnicza wątpliwość, która jest wskazywana od dziesięcioleci, jeśli chodzi o sprawę instrumentów demokracji bezpośredniej.

Inną sztandarową propozycją Kukiza, która była podstawą porozumienia programowego z PiS, jest wprowadzenie instytucji sędziów pokoju. Czy lepszym rozwiązaniem nie byłoby przywrócenie do naszego systemu sądowniczego innej instytucji znanej z czasów II RP? Myślę o przysięgłych. Czy przysięgli nie przydaliby waloru sprawiedliwości naszemu sądownictwu?

Myślę, że ta tradycja jest w Polsce martwa. Znamy ją raczej z filmów.

Najczęściej amerykańskich...

Dokładnie. Wiem, że jest pokusa recepcji takich rozwiązań. Jednak dzisiaj trzeba powiedzieć, że byłaby to instytucja niejako sztucznie wprowadzona, bo nie ma u nas żywej tradycji sądów przysięgłych. Dlatego ten pomysł wydaje mi się trudny do zrealizowania. Widzimy to choćby na przykładzie ławników. Idea była dobra, chodziło o uspołecznienie wymiaru sprawiedliwości, ale w praktyce jest to trudne także dlatego, że brakuje chętnych. I na ogół nie odgrywają oni istotnej roli w składach sędziowskich, w których zasiadają. Przewagą instytucji sędziów pokoju jest przejęcie przez nich prostych spraw i tym samym odciążenie systemu sądowniczego, sprawa jego uspołecznienia jest tu wtórna. Moja intuicja jest taka, że sędziami pokoju powinni być raczej prawnicy, sędziowie. Co więcej, wbrew narzucanej logice powinni to być raczej sędziowie z dużym doświadczeniem. Danie władzy szybkiego rozpatrywania nawet prostych spraw oznacza przekazanie dużej odpowiedzialności. Nie powinny tego robić osoby zaraz po studiach prawniczych, aplikacji czy nominacji sędziowskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI/REPORTER

To już było

Kamila Baranowska

Ataki na Przemysława Czarnka do złudzenia przypominają hasła wykrzykiwane pod adresem Romana Giertycha, gdy ten był ministrem edukacji w rządzie PiS. Bo nie o edukację tu chodzi, lecz o czystą politykę

Giertych do wora, wór do jeziora" – to najbardziej znane i zapamiętane hasło, wykrzykiwane pod adresem Romana Giertycha, ministra edukacji w rządzie PiS-Samoobrona-LPR w latach 2006–2007. Był on wówczas bez wątpienia jednym z najbardziej znienawidzonych i najmocniej atakowanych przez ówczesną opozycję i elity opiniotwórcze polityków. Dzisiaj ten sam Giertych jest w tych samych kręgach postacią cenioną i poważaną. Co więcej, niektórzy nawet po latach przyznają, że jego pomysły na edukację wcale nie były takie złe, jak się wydawało. Co się zmieniło? Miejsce Giertycha w politycznej układance. I tylko to. Giertych jest dziś adwokatem współpracującym z politykami Platformy, zwolennikiem opozycji i jednym z czołowych krytyków obecnej władzy, otwarcie zwalczającym PiS. To wystarczyło, by z czarnego luda, którym „Gazeta Wyborcza" regularnie straszyła dzieci (a konkretnie uczniów i ich rodziców), stał się poważnym prawnikiem, którego głos się liczy i którego warto słuchać.

„Po latach szef ZNP Sławomir Broniarz w wywiadzie popiera pomysł mundurków oraz wspomina, że walczyłem z agresją w szkołach oraz poprawiłem finanse nauczycieli. Mówi też o błędach, ale po latach takie słowa uznania smakują szczególnie" – napisał ostatnio na Twitterze Giertych, nie kryjąc satysfakcji.

Dlatego też patrząc na to, jak dziś jest traktowany przez te same środowiska nowy minister edukacji i nauki prof. Przemysław Czarnek, słuchając tych samych niemal argumentów, trudno oprzeć się wrażeniu, że edukacja jest po prostu kolejną pałką, której można użyć do uderzania w nielubiany rząd. Tym bardziej że poszczególni ministrowie edukacji w kolejnych rządach PiS są łatwym celem. Bo albo jak Anna Zalewska przeprowadzają w szkolnictwie rewolucję, która nie wszystkim się podoba (likwidacja gimnazjów) i przy której ze względu choćby na skalę zmian nie dało się uniknąć błędów. Albo jak Przemysław Czarnek mają cięty język i publicystyczne zapędy, co przy pełnieniu tak ważnej funkcji nie zawsze wychodzi na dobre.

Mechanizm polega jednak na tym, by wychodząc od jednej czy drugiej wypowiedzi ministra, zanegować całą jego działalność jako głupią, szkodliwą, niepotrzebną czy wręcz niebezpieczną. Dokładnie tak samo było w przypadku Giertycha. „Za Giertycha szkoła zdycha" – pisał tygodnik „Przegląd". „Dostaliśmy w twarz" – pisał portal OKO.press, gdy Przemysław Czarnek zostawał ministrem, zanim zdążył jeszcze cokolwiek zrobić. „Czarnek, czyli zamach na szkoły" – to już późniejszy tytuł z tego samego portalu.

„HOMOFOB, CHAM, NIEUK, ŚWIR"

Czarnek był już publicznie nazywany homofobem, chamem, nieukiem, świrem. Liczba kierowanych pod jego adresem inwektyw przebija sytuację z Giertychem, co niestety pokazuje jedynie, jak bardzo przesunęły nam się granice debaty publicznej. Generalnie jednak, czytając opinie na temat Czarnka i jego pomysłów, ma się déjà vu. Jakby ktoś wziął teksty z 2006 r. i podmienił nazwisko, zamiast Giertych wstawiając Czarnek. Najbardziej w tym wszystkim zabawne jest to, że z racji miejsca, w którym jest dzisiaj Roman Giertych, on sam także krytykuje większość poczynań ministra Czarnka (z małymi wyjątkami).

Krytycy Czarnka zarzucają mu upolitycznienie szkół poprzez zwiększenie władzy kuratorów, którzy będą mogli m.in. decydować o tym, jakie zajęcia mogą poprowadzić w szkołach organi-

eprasa.pl 4ac3c5591e

zacje społeczne, a jakich nie. „Zmiana ustroju szkolnego uderza w wartości i interesy rodziców i dzieci, nauczycielek i dyrektorów, samorządów, organizacji społecznych. Łamie zasadę pomocniczości, wprowadza cenzurę. Oznacza złote czasy dla fanatyczek i karierowiczów. Bije w szkoły społeczne" – czytamy we wspomnianym tekście.

Czarnek jest także krytykowany za zmiany w liście lektur, a konkretnie za dodanie do niej książek poświęconych postaci Jana Pawła II, książek Zofii Kossak-Szczuckiej czy „Raportu Witolda" Pileckiego. „Na listę lektur minister Czarnek wpisał aż pięć pozycji Zofii Kossak-Szczuckiej, katolickiej pisarki antysemitki, która w czasie wojny ratowała Żydów" – alarmował portal OKO.press, który jest chyba najbardziej zajadłym krytykiem ministra. Autor tak bardzo chciał ministra skrytykować, że nie dostrzegł chyba nawet absurdu zawartego w tym zdaniu. Dowiadujemy się też, że na liście lektur przybyło pozycji „nacjonalistyczno-katolicko-bogoojczyźnianych". Brzmi znajomo, prawda? „Minął rok urzędowania ministra edukacji z Ligi Polskich Rodzin. Jaką szkołę zdążył nam przez ten czas zafundować? Narodową, wyznaniową, nietolerancyjną, homofobiczną, zacofaną, z zastraszonymi nauczycielami i uczniami" – to podsumowanie działalności Romana Giertycha w tygodniku „Przegląd".

„Minister edukacji podpisał rozporządzenie z nowym kanonem lektur szkolnych. Nie ma w nim Gombrowicza. Minister kultury oburzony. Opozycja: Giertych przed trybunał głupoty" – to z kolei cytat z „Gazety Wyborczej" po tym, jak Roman Giertych zaprezentował nową listę lektur. „Minister edukacji wyrzuca ze szkół wielkich pisarzy. Protestują intelektualiści, pisarze i księgarze" – to kolejny tytuł tekstu, bo w pewnym momencie nie było tygodnia, by „Wyborcza" nie zajmowała się edukacją i Giertychem.

Jeśli jednak chodzi o samą listę lektur, to jednak Giertych poszedł dalej niż Czarnek, usuwając z niej Gombrowicza, Witkacego, Goethego, a także m.in. „Proces" Kafki czy dzieła Conrada, w zamian dodając m.in. powieści endeka Jana Dobraczyńskiego, co najmocniej chyba rozwścieczyło jego krytyków ze środowisk liberalnych. Z perspektywy czasu przyznał w wywiadzie, że Dobraczyński „w sensie PR-owskim to był błąd". Reszty decyzji jednak bronił. – Generalnie uważam, że w dobrym kierunku zmieniałem kanon. Wprowadziłem „Pamięć i tożsamość" Jana Pawła II – mówił „Gazecie Wyborczej" w 2012 r. Zapytany, czy musiał wycinać Gombrowicza, odpowiedział, że „nie można dzieciom dawać do czytania tysiąca książek". – Książka Dobraczyńskiego jest bardzo dobra, a z tym, że pani minister Hall zdjęła Jana Pawła II, się nie zgadzam. Gdy słusznie uznajemy Jana Pawła II za największego, najbardziej znanego Polaka, a nie ma żadnej książki jego autorstwa w spisie lektur, to jest skandal. Jan Paweł II jest ważniejszy niż Gombrowicz – stwierdził.

Podczas wprowadzania swoich zmian w kanonie lektur obaj ministrowie tłumaczyli je bardzo podobnie – potrzebą zwiększenia treści patriotycznych w szkołach. Temu ma też służyć zainicjowany przez ministra Czarnka projekt „Poznaj Polskę", w ramach którego szkoły mogą otrzymać środki na dofinansowanie wyjazdu do znajdujących się w Polsce muzeów, miejsc pamięci, obiektów kultury, instytucji popularyzujących osiągnięcia nauki. Giertych z kolei chciał w tym samym celu wprowadzić nowy przedmiot „wychowanie patriotyczne", dzięki któremu młodzież – jak wyjaśniał sam minister – „uczyłaby się nie tylko historii Polski, lecz także byłaby wychowywana w duchu patriotycznym".

Gdy Przemysław Czarnek wpadł na pomysł wprowadzenia amnestii maturalnej dla maturzystów, którzy oblali egzamin ustny, by w ten sposób zrekompensować słabsze przygotowanie do egzaminów ze względu na pandemię i zdalną formę nauczania, natychmiast przypomniano, że był już kiedyś minister, który wpadł na taki sam pomysł. I jak to się skończyło. To Roman Giertych, który wprowadził jako pierwszy amnestię w 2006 r. Ostatecznie została ona uznana przez Trybunał Konstytucyjny za niezgodną z ustawą zasadniczą, ale Trybunał, by nie komplikować sytuacji, zdecydował o zachowaniu ważności ponad 50 tys. świadectw maturalnych przyznanych w warunkach „amnestii" w latach 2006 i 2007.

PROBLEM JĘZYKOWY

Obu ministrów poza podobnym kierunkiem proponowanych w edukacji zmian łączy jeszcze jedna cecha – kontrowersyjne wypowiedzi, które jeszcze mocniej podkręcają i tak dosyć gęstą atmosferę wokół nich. Giertych z perspektywy czasu przyznał zresztą, że niektórych wypowiedzi żałuje, a niektóre decyzje z czasów szefowania MEN były PR-owskim błędem.

W jednym z wywiadów dziennikarze „Gazety Wyborczej" wytknęli mu wypowiedź o Paradzie Równości z 2007 r., gdy mówił, że „popiera rodzinę i uważa, że trzeba przeciwstawiać się temu, że wstrętni pederaści przyjechali z wielu krajów i próbowali narzucić nam swoją propagandę". – Dziś bym tak nie powiedział – odparł Giertych. – Dojrzałem. Jako adwokat stykam się z różnymi ludzkimi problemami, słabościami. Gdybym zaczął oceniać moich klientów, to bym zwariował. Człowiek uczy się nie oceniać. Zrobiłem wiele błędów w polityce, szczególnie w warstwie werbalnej. Za często za ostro się wypowiadałem – przyznał.

Przemysław Czarnek mógłby wyciągnąć wnioski ze słów swojego poprzednika, bo ostre i nie zawsze przemyślane wypowiedzi to jego największy problem. I podobnie jak w przypadku Giertycha najmocniej oberwało mu się za te pod adresem LGBT. – Brońmy rodziny przed tego rodzaju zepsuciem, deprawacją, absolutnie niemoralnym postępowaniem. Brońmy nas przed ideologią LGBT i skończmy słuchać tych idiotyzmów o jakichś prawach człowieka czy jakiejś równości. Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym i skończmy wreszcie z tą dyskusją – mówił w TVP Info rok temu. Za te słowa dostał naganę od komisji etyki poselskiej, choć sam do końca twierdził, że zostały wyrwane z kontekstu.

Ostatnio zaś wywołał lawinę oburzenia stwierdzeniem, że „rodzic to ten, który zradza potomstwo". – Zrodzić potomstwo może tylko kobieta z mężczyzną. To są oczywiste sprawy, znane ludziom od miliardów lat – powiedział w TVP Info. Pomijając kpiny z „miliardów lat", natychmiast pojawiły się komentarze, w których pytano: co z ludźmi adoptującymi dzieci, czy oni nie mają prawa nazywać się rodzicami itd.?

Kiedy równo rok temu pisaliśmy w „Do Rzeczy" o prof. Czarnku, w PiS dominowała opinia, że w superresorcie, który objął, jest tyle do zrobienia, że jako minister Przemysław Czarnek nie będzie miał czasu na komentowanie polityki i wizyty w mediach. Byli jednak i tacy, którzy twierdzili, że nie ma mowy, by zrezygnował z dalszego budowania swojego wizerunku jako „młota na lewactwo", bo raz, że ma takie poglądy, a dwa, że kierownictwo PiS dało mu ciche przyzwolenie na medialny radykalizm. Ciekawe, czy z biegiem lat minister też będzie żałował. Tak jak Roman Giertych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

Drugi oddech

Piotr Semka

Lider Platformy Obywatelskiej znów przypomniał swoim podwładnym, że w politycznej kuchni uwielbia gotować na ostro

Dwaj wiceprzewodniczący Platformy – Borys Budka i Tomasz Siemoniak – oddali się do dyspozycji lidera. O ich przyszłych losach formalnie zadecydować ma prezydium partii, ale nikt nie ma wątpliwości, że jedynym decydentem będzie szef PO.

„Jeśli Donald może tak, z marszu, wysadzić z siodła dwóch wiceprzewodniczących, to znaczy, że każdy w naszej partii może wylecieć z powodu zmrużenia brwi przez lidera" – tymi słowy jeden z platformersów z wyraźnym zaniepokojeniem skomentował kuluarowo polityczną eliminację zastępców Tuska. To zaniepokojenie wynika z faktu, że podstawą do bardzo daleko idącej restrykcji była stosunkowo błaha sprawa obecności Budki i Siemoniaka na 50. urodzinach dziennikarza Roberta Mazurka.

Przypomniało to o dwóch cechach Donalda Tuska. Dogmacie o wojnie totalnej między PiS a PO oraz o charakterystycznej cesze znanego gdańszczanina: korzystanie z najmniejszego nawet potknięcia rywali do wypchnięcia ich na boczny tor. Charakterystyczny jest tu przykład Borysa Budki. W momencie przejmowania władzy przez Tuska zgodził się na dobrowolne odejście z funkcji przewodniczącego w zamian za miejsce wiceszefa partii i szefa klubu sejmowego KO. Teraz zostaje przy pierwszej okazji zawieszony.

Nie wiadomo, czy obaj działacze Platformy wrócą na swoje stanowiska, czy też pożegnają się z nimi na dobre. Jedno jest widoczne – Tusk wprowadza zasadę rządów absolutnych i nikt nie może być pewny niczego. Czyli to, co szef PO lubi najbardziej.

Warto zauważyć też, że lider partii wysyłał na tyle wyraziste sygnały do Grzegorza Schetyny, że ten zrezygnował z ponownego ubiegania się o szefostwo dolnośląskiej Platformy. Z kolei Rafał Trzaskowski został upchnięty w trakcie ostatniej konwencji PO w Płońsku na ostatnią pozycję wśród przemawiających. Zarówno Schetyna, jak i obecny

eprasa.pl 4ac3c5591e

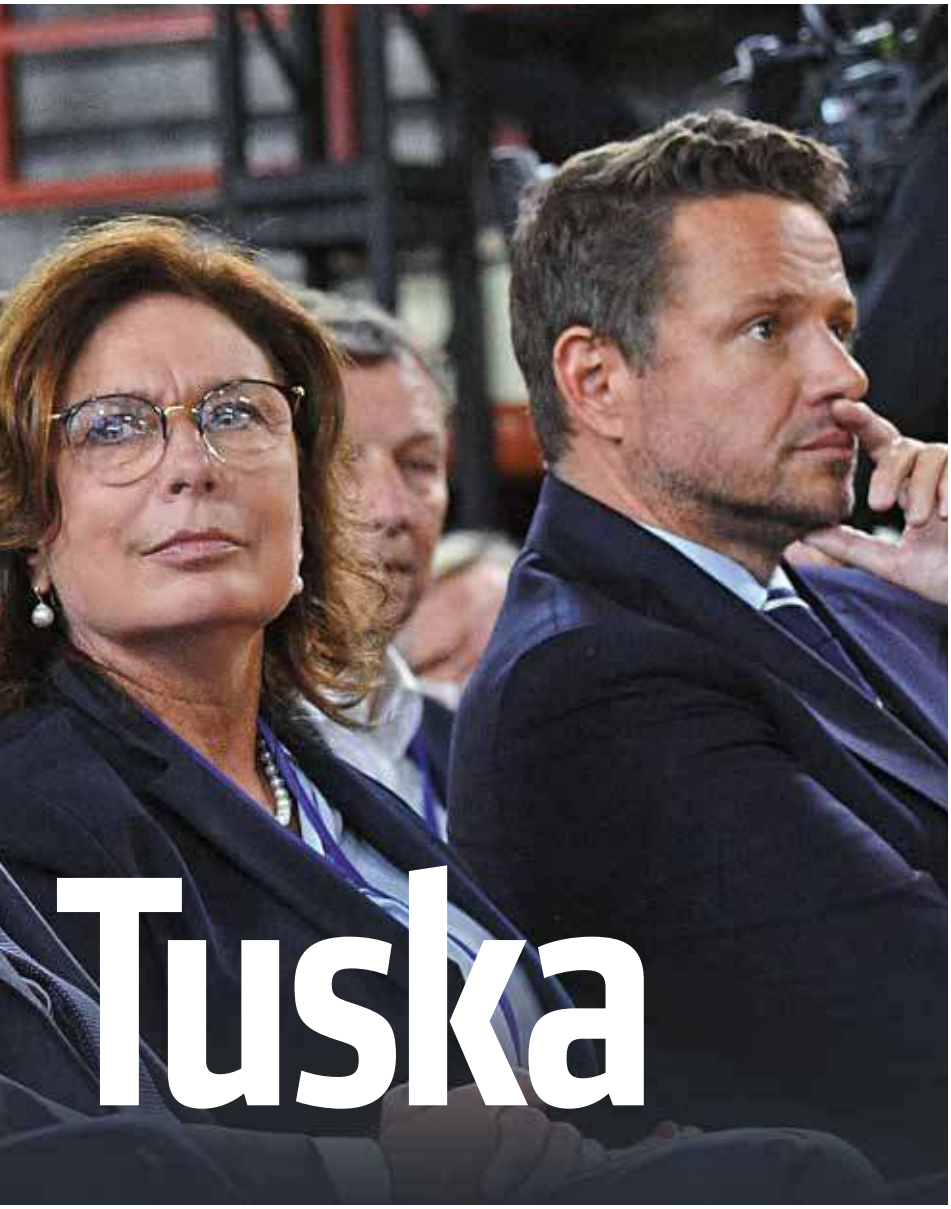

Tuska

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

prezydent Warszawy najwyraźniej uznali, że teraz nie mają żadnych szans z dyktatorsko rządzącym partią liderem. Obaj jednak postawili na cierpliwość i poczekanie na moment, w którym Donald Tusk zacznie stąpać po kruchszym lodzie.

TUSKU, MUSISZ!

Onet.pl, zazwyczaj życzliwy głównej partii opozycyjnej, ogłosił niedawno: „Koniec efektu Tuska". Czytamy tam: „Donald Tusk po powrocie do krajowej polityki zyskał zaufanie Polaków, ale w najnowszym badaniu IBRiS dla Onetu zalicza spadek notowań". Donald Tusk uzyskał 30,5 proc. wskazań pozytywnych, ale aż 54,9 proc. negatywnych. W tym samym sondażu Andrzej Duda i Mateusz Morawiecki poprawili swój wynik, uzyskując jeden z najlepszych bilansów zaufania. Tę tendencję zauważył już 12 września publicysta „Gazety Wyborczej" Witold Gadomski, który napisał: „Poza »efektem Tuska«, czyli przepływem części wyborców od Hołowni do KO, nic pozytywnego dla opozycji na razie się nie wydarzyło. Donald Tusk nie potrafi określić jasnego i jednolitego dla całej opozycji stanowiska w sprawie wypadków na granicy z Białorusią, nie wykorzystał oczywistych błędów PiS w polityce zagranicznej, nie narzucił w debacie publicznej własnych tematów i własnego języka, nie pokazał, że kieruje ugrupowaniem odpowiedzialnym, zdolnym przejąć władzę, a nie gromadą sympatycznych happenerów".

Niedługo potem na alarm zaczął bić Mariusz Janicki – czołowy publicysta „Polityki", który wezwał do wykreowania „nowego początku Tuska". Szef Platformy zalecenie przyjął, ale już jego wykonanie nie było godne wirtuoza. Na konwencji w Płońsku lider PO przedstawił się jako rzecznik interesu małych miasteczek oraz gorliwy katolik. Postanowił też zaszachować PiS politycznym żądaniem: albo rządząca partia przeprowadzi zmianę w konstytucji tak, aby decyzję o wyjściu z Unii mogła podjąć dopiero większość dwóch trzecich posłów, albo będzie głosił, że PiS chce polexitu. Cóż z tego, gdy w obu sprawach poniósł porażkę?

Dwa dni po konwencji w Płońsku Radek Sikorski w swoim tweecie zaatakował abp. Marka Jędrzejowskiego, używając w stosunku do niego określenia „dziad". Jeszcze gorzej poszło z żądaniem wobec PiS. Co prawda, Mateusz Morawiecki walczący z kliszą antyeuropejskiej partii zadeklarował, że można na ten temat porozmawiać, ale główny cios inicjatywie Tuska zadali dwaj domniemani partnerzy z opozycji. Politycy lewicy odrzucili ten pomysł jako niebezpieczne grzebanie w konstytucji. Z kolei Szymon Hołownia orzekł, że pomysł Tuska „jest niebezpieczny". Dodał, że po prostu lider PO potrzebował jakiegoś konkretu w przemówieniu i „ten konkret rozejdzie się po kościach". Zaatakował też Tuska za to, że przedstawił wizję poprawiania konstytucji razem z PiS.

Kolejny bolesny prztyczek Tusk otrzymał od Lewicy w związku z obecnością polityków PO na urodzinach Roberta Mazurka. Politycy lewicy złośliwie przypomnieli, jak Platforma atakowała Włodzimierza Czarzastego za rozmowy z PiS przed przyjęciem w Sejmie funduszu pomocowego z Brukseli.

Wszystko to pokazuje, że na razie Donald nie jest akceptowany jako lider opozycji, a jego propozycje polityczne istotnie wynikające z bieżącej taktyki są natychmiast rozszyfrowywane jako polityczne kuglarstwo.

WYMUSZONY POWRÓT

Zupełnie bez echa przeszła podana przez „Rzeczpospolitą" niezwykle ciekawa informacja: według niej Donald Tusk bardzo chciał pozostać na stanowisku szefa Europejskiej Partii Ludowej do grudnia 2022 r. Zdaniem dziennika musiał pożegnać się z tymi planami wskutek agresywnej kuluarowej kampanii niemieckiego chadeka Manfreda Webera, który chce przejąć dawne stanowiska Tuska już w kwietniu 2022 r. Oznacza to, że Tusk musiał wrócić do Polski w lipcu,

eprasa.pl 4ac3c5591e

aby ratować twarz. Mógł więc nie mieć zbyt wiele czasu na staranne przemyślenie politycznego planu swego powrotu.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji sięgnął po hasła, którymi obracał na Twitterze przez poprzednie pięć lat. To hasła konfrontacji i manicheistyczna wizja walki obozu ciemności z obozem jasności pod jego przewodnictwem. Gdy ta taktyka okazała się bezużyteczna w czasie konfliktu granicznego z Białorusią, a na dodatek Campus w Olsztynie zakończył się paroma katastrofalnymi dla Platformy wypowiedziami Sławomira Nitrasa i marszałka Tomasza Grodzkiego, Tusk zareagował zwrotem przez rufę. Dość niezdarnym, jak się okazało. Na dodatek wiarygodności jego rzekomego powrotu do wizerunku dobrego katolika zaszkodziły plany sprzyjających mu publicystów, którzy bez ogródek zdefiniowali to jako sprawny manewr taktyczny, a nie żaden powrót do wizerunku posiadacza domowego ołtarzyka w sopockim mieszkaniu. Dominika Wielowieyska pisała: „Platformy zwrot przez sztag [określenie ostrego zwrotu w żeglarstwie – przyp. P.S.]. I kilka niezbyt wymyślnych tricków. Ale zapytałam kiedyś eksperta, dlaczego przed świętami wszystkie reklamy mają św. Mikołaja, przecież tego banału nie można już znieść. Odpowiedział: – Bo to skuteczne".

Jeszcze bardziej szczery był Sławomir Sierakowski, który komplementował Tuska. „Choć to Tuskowe »my katolicy« z konwencji grubymi nićmi szyte, to może być skuteczne. Gra idzie przecież nie o zabranie PiS całego poparcia, ale tych kilku procent rozstrzygających wybory. Nie sposób polubić takich gierek u polityków, ale nie da się bez nich uprawiać polityki w Polsce i nie tylko tu. Jeśli podlizywanie się Kościołowi ma być ceną, którą trzeba zapłacić za pokonanie PiS, to trzeba ją zapłacić" – ogłosił Sierakowski w portalu Onet. Wydaje się, że twórca „Krytyki Politycznej" uważa katolików za wyborców o pamięci rybki akwariowej. Liczy, że zapomną o deklaracjach Tuska, o nieklękaniu przed księdzem i jego paradowaniu w maseczce z błyskawicą strajku kobiet.

WŚRÓD LICZNYCH PRZYJACIÓŁ...

Z publicystycznych jeremiad Witolda Gadomskiego, Mariusza Janickiego czy Sławomira Sierakowskiego przebija jedna teza, którą można zdefiniować słowami: Tusku, rób co chcesz, bylebyś tylko wygrał. Zorganizuj swoje „drugie wejście smoka", podlizuj się Kościołowi i rządź partią jak najtwardszą ręką, bylebyś tylko wysadził z siodła Kaczyńskiego. A jednocześnie niektórzy z tych autorów jasno przyznają, że wszystko to jest picem i fotomontażem.

W otoczeniu Donalda Tuska – jak się zdaje – nie widać partnerów do dyskutowania o przyszłej taktyce

Wbrew powtarzanym deklaracjom taka taktyka nie jest wcale skuteczna. Jak Tusk może przeprowadzać – nawet załóżmy, że skrajnie cyniczne – operacje zaprezentowania się jako katolik w sytuacji, gdy media wspierające go pełne są dziennikarzy szczerze niecierpiących Kościoła? Jak udać się może inicjatywa Tuska i postawienie PiS pod ścianą w sprawie polexitu, gdy wielki Donald nie ma zwyczaju konsultować się z resztą opozycji przed takim manewrem? I wreszcie, jak Tusk może stworzyć mocny zespół zastanawiający się nad celowością rozmaitych inicjatyw, gdy przy byle okazji zmusza do zawieszenia swojej funkcji dwóch wiceprzewodniczących Platformy?

Trudno orzec, czy Tusk dobrze rozumie swoją sytuację wobec mediów liberalnych. Owszem, popierają one go jako jutrzenkę nadziei, że „wszystko będzie tak jak kiedyś", ale niespecjalnie interesują ich rachuby Tuska na utrzymanie się Platformy w szeroko rozumianym centrum. Dla dziennikarzy liberalnych utrzymywanie dziurawej granicy z Białorusią jest akceptowalną ceną za komfort uchodźców z Iraku czy Afganistanu. Dla redaktorek „Newsweeka" czy TVN szybkie opiłowanie katolików z rzekomych przywilejów jest czymś o wiele bardziej pożądanym niż troska o kolejny manewr na rzecz centrum w wykonaniu Donalda Tuska. Jeśli nawet tak, jak to czyni Sierakowski, akceptują zasadę, że cel uświęca środki, to nie potrafią powstrzymać się od przyznania, że to wszystko odbywa się na niby. A to przecież media są głównym oparciem Tuska. Nie ma żadnej gazety, która by prezentowała jego przemyślane zygzaki polityczne, za to są media takie jak „Gazeta Wyborcza", które właśnie wzywają do analizy życia seksualnego Jana Pawła II.

PARTIA FAJNA, ALE LUDZIE...

I jeszcze jeden mało sympatyczny dla Donalda Tuska cytat. Oto Karolina Wigura, współtwórczyni portalu Kultura Liberalna, przy okazji końca epoki kanclerz Niemiec wygłosiła w wywiadzie następującą myśl: „Angela Merkel popełniła jeden zasadniczy błąd, podobnie jak wcześniej Donald Tusk. Mianowicie w taki czy inny sposób wyeliminowała ze swego otoczenia, a niektórzy twierdzą, że z niemieckiej polityki, wszelkie osoby wyróżniające się. Coraz głośniej mówi się dzisiaj, jak wielką pomyłką było wystawienie na kanclerza Armina Lascheta. Gdyby wygrał, mógłby być Ewą Kopacz Angeli Merkel, ale raczej nie ma na to szans". Choć Wigura podaje uwagę w sprawie Tuska tylko przy okazji swojej oceny niemieckiej kanclerz, trafia w punkt. Donald Tusk nie potrafi rządzić inaczej jak samotny dyktator, na którego dworze nikt nie jest pewny kolejnego dnia. Na jego krytykę mogą pozwolić sobie tylko ludzie, którzy są na politycznym oucie. Ostatnio w tej roli wystąpił były prezydent Bronisław Komorowski, który dość trzeźwo zauważył, że „Tusk nie ma możliwości odebrania wyborców PiS". Była głowa państwa ma jednak po pierwsze solidną emeryturę, a po drugie już specjalnie na nic w Platformie nie liczy. Ci, którzy jeszcze na coś liczą mimo taktycznego wycofania, nadal deklarują pełne poparcie dla jednowładcy z Gdańska. W otoczeniu Tuska – jak się zdaje – nie widać partnerów do dyskutowania o przyszłej taktyce.

Przez lata rozmaite antypisowskie ekscesy Sławomira Nitrasa wywoływały u Donalda Tuska życzliwy uśmiech. Teraz, gdy zachodniopomorski polityk powiedział, co myśli o katolikach, nagle jego patron strofuje go publicznie w Płońsku. Czy można dziwić się rozgoryczeniu Nitrasa?

Taktyka zamordystycznego kierowania Platformą wywołuje jeszcze więcej problemów w relacjach z innymi partiami opozycji. Pomińmy trwający spór – czy należy iść do kolejnych wyborów sejmowych w jednym bloku czy w paru. O wiele bardziej dotkliwy dla Tuska jest zwykły brak zaufania Zandberga, Hołowni czy nawet Kosiniaka-Kamysza do szczerości jego publicznych deklaracji. A to powoduje, że błyskotliwe pomysły Tuska na polityczne ofensywy zawisają w próżni, bo dystansują się od nich lewica czy Hołownia.

Doświadczeni estradowcy mawiają, że nigdy nie ma drugiej okazji, aby zrobić dobre pierwsze wrażenie. Ciekawe, czy Donald Tusk już przypomniał sobie tę sentencję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

www.dorzeczy.pl/dodatki

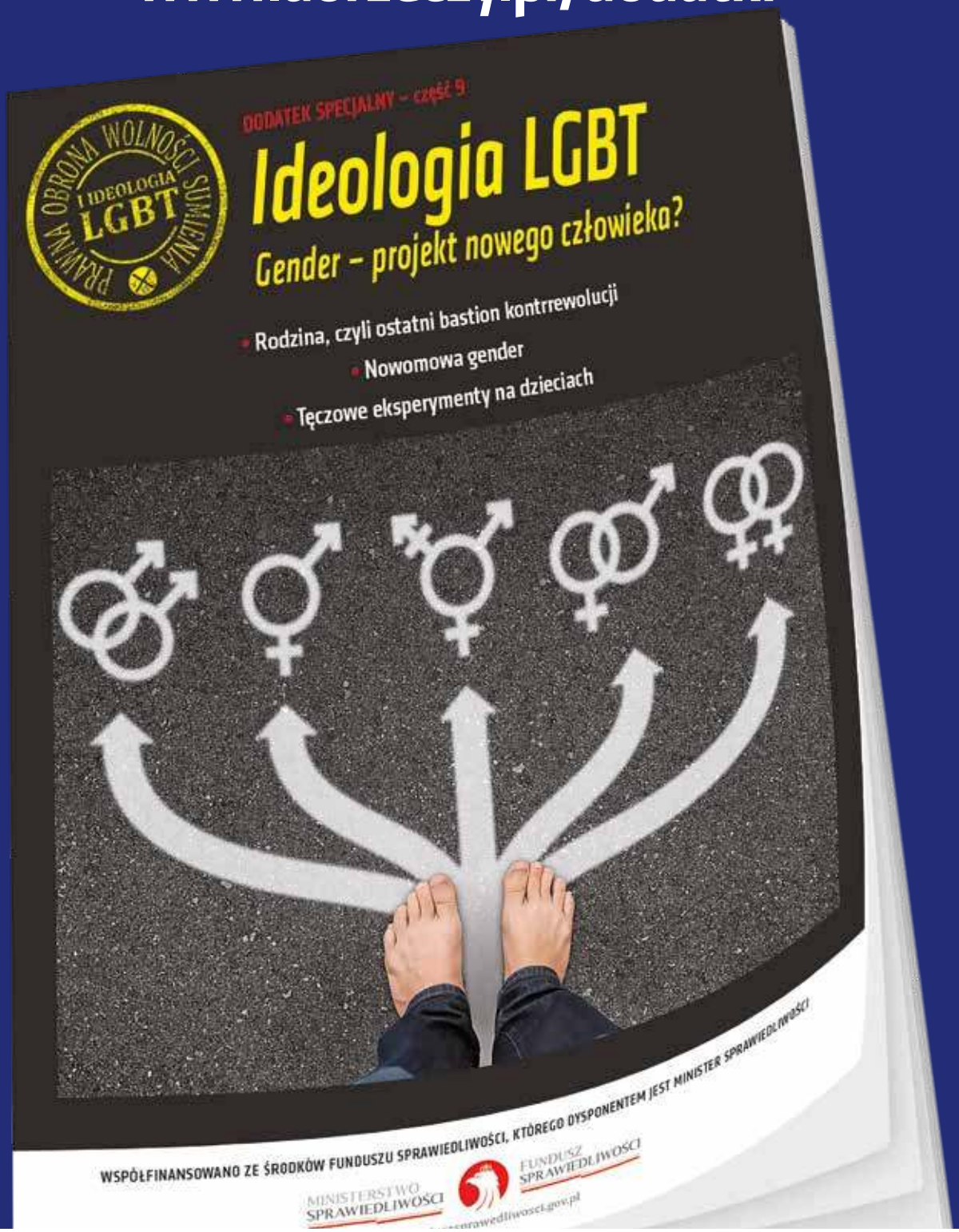

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 4ac3c5591e

Trup w dominikańskiej

Tomasz Rowiński

Po raporcie o seksualnym drapieżniku Pawle M. trzeba stawiać pytanie: Dlaczego dominikanie przez tyle lat nie poradzili sobie z niebezpiecznym współbratem? I czy dokument przyniesie oczyszczenie?

W połowie września raport komisji Tomasza P. Terlikowskiego pokazał kulisy sprawy Pawła M. – dominikanina, który w latach 90. za pomocą metod charakterystycznych dla sekt wykorzystywał studentów. Swojej władzy duchowego lidera używał do psychomanipulacji, zniewalania psychicznego młodych ludzi, ale przede wszystkim do praktyk seksualnych i bicia. Zachowania te uzasadniał potrzebą przeciwdziałania grzechowi nieczystości, który – jak mówią świadkowie – był w grupie rozszerzany daleko poza sprawy związane z seksualnością.

UWIEDZIONA ZAKONNICA

Ta sprawa budzi emocje, bo historia Pawła M. nie zakończyła się wcale razem z odsunięciem go w roku 2000 od kierowania duszpasterstwem akademickim we Wrocławiu. Dopiero wtedy zaczął się trwający 20 lat okres niezdolności zakonu dominikańskiego do poradzenia sobie z niebezpiecznym współbratem. Paradoksalnie, praktyki wykorzystywania seksualnego, które ma na swoim koncie Paweł M., być może pozostałyby dalej w ukryciu, gdyby nie zaniedbania kolejnych prowincjałów. Jednocześnie gdyby nie te zaniedbania, nie doszłoby do kolejnego dramatu, którym okazało się trwające przez wiele lat uwiedzenie zakonnicy, której Paweł M. miał duchowo towarzyszyć. Relacja ta zaczęła się w roku 2010, czyli w czasie, gdy było już oczywiste, że zakonnik powinien być odsunięty od wszelkich posług. Dawniej, gdy władza kościelna i zakonna rzeczywiście coś znaczyły, siedziałby on w klasztornym więzieniu lub w ośrodku dla demerytów, czyli występnych kapłanów. A on w 2018 r. zaczął pełnić posługę rekolekcjonisty w klasztorze uwiedzionej zakonnicy. W końcu jej psychologiczna tama pękła. Także dzięki terapii i pomocy spowiednika na początku marca tego roku skrzywdzona zakonnica zgłosiła do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa.

Jeszcze w tym samym miesiącu w „Gazecie Wyborczej" ukazał się wywiad o sprawie Pawła M. z prowincjałem dominikanów o. Pawłem Kozackim oraz z o. Marcinem Mogielskim, próbującym skłonić władze zakonu do reakcji od razu, gdy w 2000 r. zapoznał się ze sprawą. Wywiad trudno było odebrać inaczej niż jako – przynajmniej do pewnego stopnia – wizerunkowy ruch wyprzedzający. Właściwie całą winę za brak rozwiązania problemu o. Pawła M. zrzucono na Macieja Ziębę, prowincjała dominikanów w latach 1998–2006. Komentowano to zresztą właśnie w ten sposób – że władze zakonu próbują zrzucić odpowiedzialność na zmarłego i w ten sposób ponownie temat zamieść pod dywan.

W kwietniu media poinformowały, że o. Paweł M. został tymczasowo aresztowany. Dzień przed tą informacją o. Kozacki wydał dekret o powołaniu komisji, której celem miało być – jak pisano na portalu info.dominikanie.pl: „opisanie działania br. Pawła M., reakcji i zaniedbań władz Prowincji [Dominikanów] oraz mechanizmów, jakie w tej sprawie zadziałały".

Od początku wobec tej komisji formułowano zastrzeżenia. Piotr Chrzanowski na portalu DoRzeczy.pl 30 marca zwracał uwagę, że dr Sebastian Duda, teolog i członek komisji, który cztery dni wcześniej opublikował artykuł-świadectwo pt. „Duchowa i psychiczna transgresja Pawła M.", właściwie powinien być uznany za ofiarę dominikanina. Nie była to dobra rekomendacja do zajmowania się skandalem. Także Tomasz P. Terlikowski opiniował sprawę jako publicysta, zanim został ogłoszony szefem komisji ukonstytuowanej przez prowincjała dominikanów. Również to, że instytucję służącą wyjaśnianiu sprawy powołał o. Paweł Kozacki, który od początku znajdował się w kręgu osób podejrzanych o zaniedbania, stwarzało niebezpieczeństwo, że raport stanie się narzędziem gry wizerunkowej władz zakonu. Paweł Bartosik z „Więzi" wymownie zatytułował jeden ze swoich tekstów: „Jeśli w sprawie nadużyć u dominikanów usłyszymy:

eprasa.pl 4ac3c5591e

W kwietniu tego roku dominikanie powołali komisję, która miała wyjaśnić sprawę Pawła M. Ta przedstawiła już raport FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

szafie

»Winni są tylko M. i Zięba«, będzie to jedynie fałszywy PR". Mimo że po części przynajmniej tak właśnie się stało, jak przewidywał publicysta, nie należy pracy zespołu Tomasza P. Terlikowskiego dyskredytować. Raport daje dużo materiału do analizy, naświetla przebieg zdarzeń i umożliwia stawianie kolejnych pytań.

LEKCEWAŻENIE OFIAR

Zarzuty wobec o. Macieja Zięby są klarowne – najpierw przez dwa lata (1998–2000) nie reagował na alerty, które trafiały do niego w sprawie działalności duszpasterskiej Pawła M. Być może uważał, że są one spowodowane jakiegoś rodzaju nadwrażliwością czy niechęcią wobec zakonnika o charyzmatycznej osobowości, który przyciągał do Kościoła ludzi. Powinien jednak te zarzuty sprawdzić. Dopiero, gdy w roku 2000 otrzymał od o. Marcina Mogielskiego kilka spisanych świadectw, zdecydował się w Wielki Wtorek odsunąć Pawła M. od duszpasterstwa.

„Już wiosną tamtego roku o. Maciej Zięba OP dowiedział się również o wykorzystaniu seksualnym przez Pawła M. w ramach prowadzonego przez dominikanina »kierownictwa duchowego« czterech kobiet. Dostał też na piśmie informację o wielokrotnym zgwałceniu jednej z nich. Nie zlecił jednak w tej sprawie postępowania kanonicznego ani nie zgłosił zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa do prokuratury" – to kluczowy, jak sądzę, fragment dotyczący o. Zięby, pojawiający się już w streszczeniu raportu przygotowanego przez zespół Terlikowskiego. Przebieg spraw jest szczegółowo przedstawiony w dalszej części dokumentu. Problematyczne jest ostatnie zacytowane wyżej zdanie. Do roku 2017 sprawy o charakterze wykorzystania seksualnego czy po prostu gwałtu musiały być zgłaszane przez osoby pokrzywdzone. Można jednak sądzić, że gdyby doszło do zainicjowania przez władze zakonne procesu kanonicznego, któraś z ofiar zdecydowałaby się także na pójście do prokuratury, a tak sprawa pozostawała przez lata pod przykryciem.

Ojciec Maciej Zięba zlecił tylko kary pokutne i ograniczenia w posłudze, a ofiary Pawła M. potraktowano w sposób odebrany przez nie jako lekceważący. Złe od samego początku przeprowadzenie sprawy doprowadziło zdaniem autorów raportu do ukształtowania się niejasnej sytuacji prawnej funkcjonującego w zakonie drapieżnika seksualnego. Według raportu prowincjałowie byli „utrzymywani w przekonaniu, że nie mają prawa do nałożenia kar prawnokanonicznych na Pawła M.". Ten fragment raportu – który rzutuje na wymowę całości – budzi zastrzeżenia sformułowane przez Pawła Grada na portalu pisma „Christianitas": „Dlaczego o. Zięba jest rozliczany jako samodzielny i suwerenny, choć niesprawiedliwy władca prowincji, a dwaj kolejni prowincjałowie rozgrzeszani jako ofiary nieprofesjonalnych doradców prawnych? [...] Czy prowincją rządzi jej prawnik, a prowincjał jedynie podpisuje podsunięte mu przez niego rozwiązania?".

Niestety, wydaje się, że w zakonie po prostu nie było woli, by sprawę naprawdę rozwikłać i wyciągnąć brudy na wierzch. Zrobiono to dopiero, gdy nie było już wyjścia, ponieważ pojawiło się doniesienie do prokuratury. Od roku 2006 było wiele czasu, by przyjrzeć się dokładnie sprawie Pawła M. Jeśli dobrze rozumiem tekst raportu, to wszystkie potrzebne dane były pod ręką władz polskiej prowincji dominikanów. „Akta w części tajnej prowincjała zawierały wszystkie istotne informacje wskazujące na poważne zaburzenia osobowości Pawła M. oraz stopień pokrzywdzenia członków Wspólnoty św. Dominika we Wrocławiu" – czytamy w tekście sygnowanym przez zespół Tomasza P. Terlikowskiego.

Ojciec Kozacki mówi w raporcie, że o ile pamięta, poprzedni prowincjał przekazał mu „historię swojego postępowania z Pawłem. Powiedział, że gdyby to samo stało się za jego czasów, to byłby wydalony. Ale ponieważ nie można karać dwa razy za to samo, to jedyne, co mógł zrobić, to wydać zakazy". Czy nie powinno wtedy paść pytanie, o jakiego typu kary chodzi? Gdyby ono padło, być może szybko okazałoby się, że kar w sensie ścisłym nie było, ponieważ żaden proces kanoniczny nie został przeprowadzony. Jest też inne pytanie: Czy w roku 2017 – gdy zmieniło się prawo – nie należało pójść ze sprawą Pawła M. do organów ścigania?

CZY BĘDZIE OCZYSZCZENIE?

Bardzo ostro o raporcie i sytuacji w zakonie dominikanów wypowiedział się w mediach społecznościowych jeden z nich, o. Marcin Lisak, nazywając pracę komisji wzorcową akcją odbudowywania dobrego samopoczucia w polskim Kościele. „W zakonnej strukturze prowincjałowie nie biorą się znikąd, a już na pewno nie spadają jako dar z niebios. Przez ponad ćwierć wieku nauczyłem się, że u polskich dominikanów władzę zdobywają (wedle chronologii): bezwzględny manipulator, bezkręgowiec (bez kręgosłupa), miernota – czyli emanacje nas wszystkich, bo tacy jesteśmy. [...] Obecny kryzys przynosi początki wyczekiwanej metanoi. Rozpada się bowiem domek z kart ułożony przez cynicznego Ziębę. Jego mierni gwardziści schodzą ze sceny pokonani przez samych siebie. Nie byli w stanie wcześniej, póki żył, skonfrontować się z zapijaczonym guru i zadośćuczynić ofiarom ani zapobiec dalszej toksycznej działalności i przestępstwom Ziębowego pupilka-maskotki, czyli Pawła M." – pisze gorzko dominikanin.

Na ocenę roli, którą będzie pełnił dominikański raport, jest jednak moim zdaniem jeszcze za wcześnie. To, czy będzie miał on jakieś znaczenie dla oczyszczenia zakonu, rozstrzygnie się dopiero w przyszłości i zależy od samych dominikanów. Pojawia się jednak pytanie: Czy zakon nie ma więcej trupów w szafie? Czy nie powinna powstać komisja, która pochyliłaby się np. nad sprawą o. Adama Wyszyńskiego, który oskarżył niektórych współbraci o molestowanie i homoseksualizm, w efekcie czego znalazł się poza zakonem? Nie wiem, jak było w tym przypadku, ale nie mam powodu, by ufać na słowo, że dominikanie grają czysto. Podpisuję się na dziś pod wymownym zdaniem, które przesłał mi pewien znajomy w prywatnym czacie: „Czekam, co dalej".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

Łukasz Zboralski

Schowani przed petentem

W pandemii urzędnicy zamknęli się przed petentami. I w wielu miejscach nie otworzyli do dziś. Wciąż trzeba się zapisywać na godziny, czekać w kolejkach albo składać wnioski przez Internet. Kiedy wróci normalna obsługa interesantów?

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Na początku pandemii przed ludźmi zamknęli się wszyscy. Trudno to sobie dziś wyobrazić, ale na oczy ludzi nie chcieli widzieć nawet lekarze. W Tarnobrzegu w jednej z przychodni NFZ przez siedem miesięcy schemat postępowania dla pacjentów wyjęty był rodem z surrealistycznych komedii. Chory mógł tylko zadzwonić do lekarza i uzyskać „teleporadę". Gdy przez telefon udało się wytłumaczyć, że problem jest poważniejszy, otrzymywał skierowanie do specjalisty. Następnie pacjent udawał się osobiście do przychodni, ale nie mógł wejść do środka. Obchodził budynek dookoła. Z tyłu oparty o ścianę stał długi kij. Tym kijem pacjent musiał walić w parapet. Tak przywoływana pielęgniarka otwierała okno i wydawała papierowe skierowanie.

W urzędach nie było lepiej. Petenci natychmiast zostali z nich wypchnięci. Sugerowano, że najlepiej, jeśli załatwią sprawę przez Internet. Na przykład Urząd Dzielnicy Ursynów w marcu ubiegłego roku pozwalał osobiście załatwić ludziom sprawy tylko w czterech przypadkach: odbiór aktów urodzenia lub zgonu, odbiór dowodów osobistych, rejestracja pojazdów i udzielanie ślubów. Jednak nawet tam, gdzie można było dotrzeć osobiście, piętrzyły się problemy. Na warszawskim Bemowie w kasie urzędu pojawiła się naklejka, że ze względów epidemiologicznych wpłat nie przyjmuje się w gotówce. Ci, którzy przyszli z banknotami, musieli odejść z kwitkiem. Płatność tylko kartą. W tym czasie w Gorzowie w starostwie ludzie nie mogli z kolei płacić kartami, bo trwała wielka wymiana terminali. Kolejki do rejestracji aut ustawiały się tam już przed świtem.

Wszędzie wymagano oczywiście zmniejszonej liczby petentów obecnych w pomieszczeniach urzędu i obowiązkowego wyposażenia w środki ochrony osobistej. Choć i tu można było trafić na postawę dokładnie odwrotną. W kwietniu ubiegłego roku jedna z klientek warszawskiej Poczty Polskiej opowiedziała w mediach o tym, że nie mogła odebrać awizowanego listu w maseczce. Urzędniczka kazała jej zsunąć maskę, by porównać twarz ze zdjęciem z dowodu osobistego.

Prawdziwy urzędowy armagedon czekał tych, którzy chcieli zarejestrować samochody. To nigdy w Polsce nie działało szybko i sprawnie, ale w pandemii stało się prawdziwym koszmarem. W ursynowskim urzędzie w ubiegłym roku najpierw ograniczono możliwość do rejestrowania tylko nowych pojazdów, potem trzeba było umawiać się na rejestrację telefonicznie. – Od ponad tygodnia próbuję się bezskutecznie umówić. Dzwoniłem, to pani kazała próbować, ponoć każdego dnia zwalniają się kolejne terminy za 30 dni. Tylko że ja sprawdzam po północy, w nocy, po 6, po 7, po 8 i jeszcze kilkadziesiąt razy w ciągu dnia i nie pojawiają się żadne

eprasa.pl 4ac3c5591e

wolne terminy – żalił się portalowi Haloursynów.pl jeden z warszawian.

RENESANS STANISŁAWÓW ANIOŁÓW

Wszystkie te ubiegłoroczne problemy można jednak trochę zrozumieć – to był dopiero początek. Nikt nie wiedział, jak sponiewiera nas nowa choroba, która za granicą zbierała śmiertelne żniwo. Trudno, żeby urzędnicy też nie odczuwali strachu.

Jednak dziś, gdy wszystko w zasadzie wróciło do normalności (prawie), nie we wszystkich urzędach postanowiono wrócić do sprawniejszej obsługi ludzi. Nie brakuje też wciąż wymogów kuriozalnych. Nagle w Polsce, po ponad 30 latach od upadku PRL, znów o ważnych sprawach decydują… stróże i ochroniarze. Przykłady? W podwarszawskiej Lesznowoli na rejestrację pojazdów trzeba umówić się przez Internet na konkretny dzień i godzinę. Przy drzwiach do urzędu stanowisko ma ochroniarz, który zarządza ruchem petentów. Na głos, często przy innych petentach, trzeba się mu wyspowiadać – imię, nazwisko i do jakiego wydziału w jakiej sprawie. Trzeba też oczywiście mieć maseczkę i zdezynfekować ręce. Potem do tych zdezynfekowanych rąk ochroniarz wciska petentowi przechodni numerek, z którym dopiero można wejść do środka. Numerek ten przez cały dzień przechodzi z rąk do rąk wszystkich petentów.

Umawianie się przez Internet może mieć zalety. W wydziałach komunikacji trzeba było „po staremu" zjawić się rano, złapać numerek i koczować czasem nawet godzinami. Jednak nie wszyscy, zwłaszcza starsi, radzą sobie z takim systemem samodzielnie.

– Nie jest też w sumie to sprawna obsługa – relacjonuje pani Mariola z Nowej Iwicznej. – Miałam prostą sprawę przed wyjazdem wakacyjnym. Musiałam wymienić dowód osobisty. A to potrzebne, żeby podróżować przez granice UE. Urząd poinformował, że dokument jest już do odbioru. Kiedy jednak zadzwoniłam, żeby się umówić na wizytę, zaproponowano mi kilkudniowy termin. Tylko dlatego, że byłam uparta, okazało się jednak, że mogę dowód odebrać tego dnia, w którym dzwoniłam.

Ludziom czasem z tego powodu puszczają już nerwy. W urzędzie w Opolu, gdzie wprowadzono system „przepustek" dla klientów, przed budynkiem ustawiały się w marcu długie kolejki. Systemem kolejkowym zarządzali ochroniarze, którzy wpuszczali ludzi partiami. Jeden z petentów nie wytrzymał i – jak informował na Facebooku sam prezydent miasta Arkadiusz Wiśniewski – „wtargnął poza kolejnością i wbrew ograniczeniom". Jak relacjonował świadek wydarzenia, jeden z młodych ludzi będący jako pierwszy w kolejce zorientował się, że kilka osób opuściło budynek, i bez zgody ochroniarza wszedł do środka. Ten pognał za petentem, złapał go za pasek od spodni. Potem było już tylko gorzej, bo obaj zwalili się na ziemię, dobiegł drugi ochroniarz i wywiązała się bijatyka.

POSŁOWIE INTERPELUJĄ

Problemy urzędowe Polaków nabrzmiały do tego stopnia, że pod koniec sierpnia w tej sprawie interpelowała do ministra infrastruktury posłanka PO Agnieszka Hanajczyk. Posłanka wskazała, że z początkiem tego roku zniesiono dłuższe limity czasowe na zarejestrowanie samochodów z rynku wtórnego i kierowcy mają na to znów zaledwie 30 dni, by ustrzec się kary. Tymczasem w wielu wydziałach komunikacji utrudnienia dla petentów pozostały.

„Tak jest na przykład w Kutnie – pisze w interpelacji posłanka. – Mieszkańcy są mocno zbulwersowani sposobem obsługiwania petentów przez wydział komunikacji. Długie kolejki przed wydziałem to już niestety standardowy widok. Rejestracja przez Internet jest praktycznie niemożliwa, ponieważ liczba miejsc jest znikoma. Według mieszkańców, żeby móc załatwić swoją sprawę w danym dniu, trzeba od 5 rano stać w kolejce po jeden z numerków lub wziąć dzień urlopu w pracy, by dokonać formalności".

To tym trudniejsze, że tak krótki czas zmusił do rejestrowania na siebie pojazdów importerów używanych aut, zanim sprzedadzą je klientom. Ci więc robią to masowo. Hanajczyk podała szacunki Stowarzyszenia Komisów. Przed wejściem w życie takiego wymogu 40 proc. importerów rejestrowało na siebie takie auta. „Obecnie większość z 800 tys. sprowadzanych pojazdów podlega rejestracji przez importera" – pisze posłanka.

Hanajczyk zapytała resort, czy usprawni Polakom system nabywania i zbywania pojazdów. Pytała też o to, czy naprawdę musimy najpierw czasowo rejestrować samochody, by petent drugi raz musiał stawiać się w urzędzie już po odbiór właściwego, stałego dowodu rejestracyjnego.

Wiceminister Rafał Weber odpisał długo, ale da się to streścić krótko: to nie nasz problem, tym się zajmują starostwa powiatowe, czyli samorządy. Dodał też, że od stycznia 2022 r. nie trzeba będzie zmieniać tablic rejestracyjnych przy zakupie używanego auta, będzie można pozostawić dotychczasowe.

Wygląda więc na to, że urzędnicy, będą siedzieć zamknięci przed petentami tak długo, jak będą mogli. A na zdalnym siedzieć lubią. Jak podawała „Rzeczpospolita", zatrudnieni w instytucjach publicznych dwa razy częściej niż inni świadczą pracę zdalną. W zeszłym roku najczęściej pracowali tak w ministerstwach (59 proc.) i KPRM (73 proc.). W administracji terenowej z domu pracował co czwarty urzędnik (26 proc.).

Jedyna korzyść z tej sytuacji to ta, że cyfryzacja nie wygląda w Polsce już tak źle i naprawdę wiele urzędowych rzeczy dostępnych jest on-line przez platformę ePUAP. Sporo osób przekonało się, że można kontaktować się z urzędem przez Internet i to działa. „Wiele rzeczy załatwiłem, wraz z rejestracją dziecka – muszę przyznać, że chociażby ePUAP jest całkiem intuicyjny" – napisał jeden z moich znajomych na Facebooku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

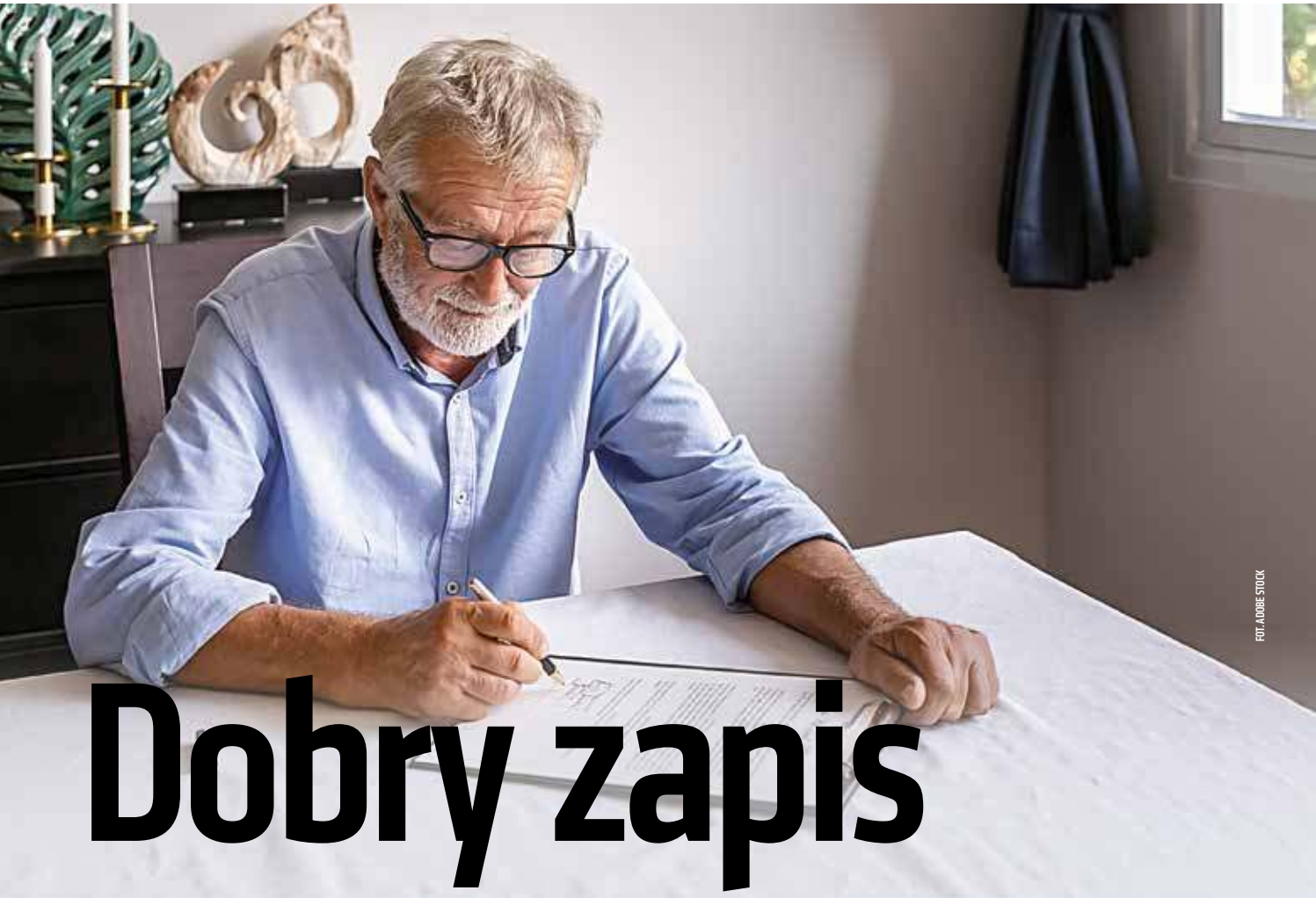

FOT. ADOBE STOCK

Dobry zapis

Agnieszka Niewińska

Spisanie testamentu to coś, co większość z nas odkłada na później. O tym, że warto zabezpieczyć bliskich zawczasu i wspomóc zapisem organizacje dobroczynne, będą przekonywać organizatorzy Międzynarodowego Tygodnia Pisania Testamentów od 27 września do 1 października

Testament sporządza jedynie 8 proc. Polaków w wieku powyżej 45 lat – wynika z badania przeprowadzonego przez Kantar na zlecenie kancelarii prawno-podatkowej GWW we współpracy z Fundacją Otwarte Forum prowadzącą kampanię „Napisz Testament". 44 proc. ankietowanych nawet nie zastanawiało się nad napisaniem testamentu, 23 proc. twierdzi, że nie ma nic cennego, co mogłoby zostawić po sobie. 21 proc. uznało, że na decyzję o tym, co stanie się ze zgromadzonym majątkiem po ich śmierci, jest jeszcze za wcześnie. Spośród tych, którzy przyznali, że sporządzili testament, 21 proc. to osoby w wieku 70+.

PROBLEMY ZE WSPÓLNĄ WŁASNOŚCIĄ

– Odsetek Polaków, którzy sporządzają testament, jest niewielki. W krajach zachodnich jest ich wielokrotnie więcej. Testamenty ma 46 proc. Brytyjczyków i 40 proc. Niemców. Polacy boją się sporządzania testamentu. Uważają, że mają na niego czas, postrzegają go jako akt ostatniej woli – mówi Ewelina Szeratics, menedżer kampanii „Napisz Testament".

– Nie chcemy wywoływać wilka z lasu. Śmierć jest tematem tabu, o tym się nie rozmawia. Ale innym powodem jest pokutujące u nas przekonanie, że dziedziczenie ustawowe jest tym właściwym. Tymczasem wynika z niego wiele problemów – mówi Łukasz Martyniec, prawnik i doradca sukcesyjny. Wyjaśnia jedną z trudności: spadkobiercy stają się współwłaścicielami majątku, który pozostawiła po sobie osoba zmarła. – Wyobraźmy sobie, że mąż umiera, z żoną mieli wspólne mieszkanie. W wyniku dziedziczenia ustawowego współwłaścicielami tego mieszkania stają się dzieci pary. A gdyby dziecko zmarło – a życie przynosi przecież różne scenariusze – we współwłasność wchodzą synowa lub zięć oraz wnuki. Jak się porozumieć w takiej sytuacji? Kto ma ponosić koszty remontów, ubezpieczenia domu? W wypadku, gdyby wdowa chciała mieszkanie sprzedać, muszą zgodzić się na to współwłaściciele. Jeśli są wśród nich małoletnie dzieci, to zgodę na to musi wyrazić sąd rodzinny. A przecież bywają bardziej skomplikowane sytuacje, kiedy zmarły zostawia po sobie nie tylko mieszkanie, lecz także np. przedsiębiorstwo czy niespłacony kredyt – tłumaczy Łukasz Martyniec.

eprasa.pl 4ac3c5591e

Jeśli w rodzinie nie ma sporu, to dziedziczący z ustawy mogą przystąpić do działu spadku. – U notariusza może się to okazać kosztowne, bo taksa jest uzależniona od wartości majątku. Podzielić majątek można również w sądzie, ale to z kolei będzie trwało dużo dłużej. Przy testamencie nie będzie takich problemów. Zorganizowałem już szkolenia i konferencje na temat sukcesji dla przeszło 20 tys. osób. Ci, którzy dowiadują się, na czym polega dziedziczenie ustawowe, wychodzą z przekonaniem, że testament jest niezbędny – mówi doradca sukcesyjny. Lepiej spisać go u notariusza niż ręcznie w domowym zaciszu, bo notarialny testament trudniej podważyć. Opłata nie jest wysoka. Nawet przy bardziej skomplikowanym testamencie nie powinna przekroczyć 200 zł.

Zanim jednak stawimy się w kancelarii notarialnej, warto przemyśleć, jak chcemy rozdysponować majątek. – Zachęcam do sięgnięcia do porad zamieszczonych na stronie kampanii „Napisz Testament" – doradza Łukasz Martyniec. – Testament piszemy dla tych, którzy zostają. Nigdy nie wiadomo, kto odejdzie pierwszy, dlatego żona pisze testament dla męża, mąż dla żony i oboje dla dzieci – bo choć to rzadkie przypadki, to mogą przecież zginąć razem, np. w wypadku. Trzeba przemyśleć, jak chcielibyśmy zabezpieczyć małżonka po naszej śmierci, zastanowić się, jakie skutki dla niego wywoła współwłasność z innymi członkami rodziny. Jeśli składników majątku jest więcej – np. drugie mieszkanie czy działka – to warto porozmawiać z członkami rodziny, zapytać o ich wolę w tej sprawie. Dopiero gdy zapadną te ustalenia, wybieramy się do notariusza. Małżonkowie powinni sporządzić dwa testamenty, które w sytuacji śmierci obojga małżonków na skutek tego samego zdarzenia powinny być odczytywane razem. Pamiętajmy jednak, że notariusz nie jest doradcą w dziedzinie spadkobrania, nie podpowie nam, jak najlepiej rozporządzić majątkiem. Jego zdaniem jest przygotowanie zgodnego z prawem dokumentu potwierdzającego naszą wolę.

Okazją do tego, by zasięgnąć wiedzy na temat przygotowania testamentu, będzie Międzynarodowy Tydzień Pisania Testamentów, który w tym roku rozpocznie się 27 września. – Prowadząc kampanię „Napisz Testament" i organizując doroczny Międzynarodowy Tydzień Pisania Testamentów, próbujemy wyjaśniać, że spisanie testamentu to element naszego życia. Możemy wyrazić naszą wolę i w ten sposób zabezpieczyć bliskich, zamknąć sprawę i nie martwić się tym, co będzie z majątkiem po naszej śmierci – mówi Ewelina Szeratics.

Organizatorzy wydarzenia będą też promować ideę robienia zapisów testamentowych na rzecz organizacji pozarządowych. Z badań wynika, że niewielu z nas się na to decyduje. W testamencie uwzględniamy rodzinę (94 proc.) i przyjaciół (4 proc.). Jedynie 2 proc. ankietowanych odpowiedziało, że dokonało zapisu części majątku na rzecz zaprzyjaźnionych instytucji, takich jak np. szpital, dom dziecka czy biblioteka.

– Poza zapisami testamentowymi na Kościół, które obecne są u nas od setek lat, przekazywanie majątku organizacjom z trzeciego sektora jest rzadkością. Opowiadając o testamentach, podkreślamy, że przygotowując go, w pierwszej kolejności powinniśmy pomyśleć o rodzinie i przyjaciołach. Chcemy jednak również rozpowszechniać ideę wspierania działań organizacji pozarządowych choćby niewielkimi zapisami testamentowymi. Warto dołożyć swoją cegiełkę na rzecz działań prowadzonych przez organizacje, z którymi byliśmy związani, z których pomocy korzystaliśmy czy z których celami się identyfikujemy – mówi Ewelina Szeratics.

Łukasz Martyniec zaznacza, że błędem jest myślenie, iż cenionej przez nas organizacji trzeba od razu zapisać mieszkanie czy dom. – Tu chodzi raczej o ułamkowe części naszych oszczędności dla organizacji i instytucji, które wspieraliśmy za życia albo z których pomocy skorzystaliśmy. Jeśli zdecydujemy się na taki zapis, to dobrze poinformować o tym organizację, przekazać jej egzemplarz testamentu – mówi.

Ewelina Szeratics przypomina natomiast, że majątek osób, które nie mają spadkobierców i nie zostawiły testamentu, przechodzi na gminę ich ostatniego miejsca zamieszkania. – Cele, na które nasz majątek zostanie wykorzystany, w takim wypadku mogą być niezgodne z naszą wolą czy przekonaniami. Czy w takim wypadku nie lepiej byłoby sporządzić testament i zapisać majątek bliskiej naszemu sercu fundacji czy stowarzyszeniu?

ZOSTAWIĆ COŚ PO SOBIE

W koalicji promującej kampanię „Napisz Testament" obok takich organizacji jak Stowarzyszenie Mali Bracia Ubogich, Fundacja Dorastaj z Nami, SOS Wioski Dziecięce znalazło się także Stowarzyszenie SPES, o którego działalności pisaliśmy wielokrotnie na łamach „Do Rzeczy". SPES m.in. wspiera dzieci w ciężkim stanie klinicznym, prowadzi ośrodek terapii dla osób z niepełnosprawnością intelektualną. Organizacja udziela bezpłatnej pomocy w postaci poradnictwa obywatelskiego, rodzinnego i socjalnego. Prowadzi też Dom św. Józefa, w którym po śmierci rodziców swoje miejsce znajdują osoby z niepełnosprawnością intelektualną.

– Z informacją o tym, że w testamencie można coś zapisać organizacjom pozarządowym, chcemy dotrzeć do jak największej liczby osób. Wielu ludzi w ogóle nie zdaje sobie sprawy z takiej możliwości. Tymczasem taki zapis to z jednej strony wymierne wsparcie dla organizacji, a z drugiej dla sporządzającego testament możliwość zostawienia czegoś po sobie, wzięcia odpowiedzialności za ludzi wokół, za przyrodę. Od lat szerzymy ideę zapisów testamentowych wśród rodziców, których niepełnosprawne dzieci korzystają z pomocy SPES. Zdarzają się sytuacje, kiedy rodzic niepełnosprawnego intelektualnie dziecka umiera i nie uregulował spraw majątkowych. Po majątek zgłasza się dalsza rodzina, a dorosłe dziecko trafia do DPS często z dala od znanego mu środowiska. Zachęcamy rodziców, aby za życia regulowali kwestie spadkowe, bo wtedy mają realny wpływ na przyszłość dziecka. Zapisy testamentowe pozwalają nam np. na to, by z wyprzedzeniem zaplanować, jakie placówki możemy stworzyć, by nasi podopieczni znaleźli dom po śmierci rodziców – mówi Monika Pinkowska ze Stowarzyszenia SPES. Dodaje, że poziom zaufania Polaków do NGO wciąż jest niski. – Organizacje promujące kampanię „Napisz Testament" zostały zweryfikowane pod względem rzetelności, więc testatorzy mogą być spokojni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

W Międzynarodowym Tygodniu Pisania Testamentów od 27 września do 1 października codziennie działa infolinia testamentowa. Każdy, kto chciałby skonsultować swoją sprawę testamentową, może zadzwonić pod numer 500 857 074. Pod nim dyżurują prawnicy specjalizujący się w prawie spadkowym. Więcej informacji o godzinach pracy infolinii można znaleźć na stronie: www.napisztestament.org.pl.

eprasa.pl 4ac3c5591e

Człowiek instytucja w trudnych czasach

Jerzy Miziołek

14 września minęło 200 lat od odejścia do wieczności jednego z największych ludzi polskiego oświecenia. Był pierwszym ministrem kultury w dziejach Polski, jednym z twórców Uniwersytetu Warszawskiego i jednocześnie ojcem polskiej archeologii i historii sztuki. Jego wielka kariera zakończyła się dymisją

Eustachy Marylski, jeden z pierwszych absolwentów Uniwersytetu Warszawskiego, pisze: „Stanisław Potocki opuścił ster oświecenia w roku 1820. Śmierć tego zacnego męża powszechną obudziła żałobę, a żal w nas wielki. Z radością też dowiedzieliśmy się, że nam wolno będzie dać publiczny dowód wdzięczności przez zasadzenie drzew w Służewie w dn. 11 grudnia 1823 r., które dziś przedstawiają widok lasu zwartego". Marylski przywołuje też mało wyrafinowany, ale serdeczny w tonacji wiersz niejakiego Szymona Kasjanowicza, napisany z tej okazji, który takie oto ma zakończenie:

Uczci ten gaik święty nasz prawnuk daleki,
W nim pamięć Potockiego będzie żyć na wieki.

Jak to było możliwe, że człowiek niecieszący się w czasach Królestwa Kongresowego sympatią elit stolicy osiem miesięcy po dymisji ze stanowiska ministra (9 grudnia 1820 r.), spowodowanej opublikowaniem książki „Podróż do Ciemnogrodu", doczekał się uroczystego pogrzebu (we wrześniu 1821 r.) i „dowodu wdzięczności" ze strony młodzieży niespełna dwa lata później? Czy tym powodem była jego dymisja, przedwczesna śmierć czy jego zasługi w dziedzinie edukacji i kultury?

Sięgnijmy raz jeszcze do wspomnień Marylskiego, który tak zapamiętał ministra z czasów, gdy był uczniem Liceum Warszawskiego: „Zakończenie nauk szkolnych corocznie odbywało się z wielką uroczystością. Zwykle sam Stanisław Potocki i Julian Ursyn Niemcewicz, Staszic lub [Kajetan] Koźmian znajdowali się. Potocki przemawiał sam do młodzieży, Niemcewicz zadawał pytania z geografii dawnej Polski. […] Gdy [minister] opuścił ster oświecenia, miejsce jego zajął Stanisław Grabowski. I ten znajdował się na publicznych popisach w liceum, także przemawiał do uczniów, ale, choć niezmiernie ugrzeczniony, już nie wzbudzał tej czci, jaką sobie był pozyskał Potocki".

Z czasem jednak coraz bardziej o nim zapominano, a gdy powrócił na karty historii i literatury, niezwykle surowej krytyce poddano jego duży dorobek pisarski. Konsekwentnie, choć bez większego rozgłosu doceniali go archeologowie i historycy sztuki: w 1955 r. (w 200-lecie urodzin), w 1971 r. (w 150-lecie śmierci), w 2005 r. (w 200-lecie otwarcia dla publiczności Muzeum w Wilanowie) i w kolejne, ważne działania realizowane w Wilanowie.

OD WYKOPALISK DO POLITYKI

W jednym ze swoich tekstów skreślonych pod koniec życia Potocki pisał: „w pół wieku – wieki żyłem". Rzeczywiście wielka była wartkość jego życia i dramaturgia wydarzeń, w których przyszło mu uczestniczyć. Generalnie jednak sprzyjało mu szczęście, mimo że jako dziecko stracił rodziców. Zaopiekowała się nim bogata ciotka, Katarzyna Kossakowska, zapewniając mu dobre wykształcenie – najpierw w Collegium Nobilium w Warszawie, a potem w Akademii Królewskiej w Turynie. Pod koniec 1774 r. udał się na zwiedzanie Italii, kraju, do którego wielokrotnie powracał. „Pod wpływem kilkakrotnych włoskich podróży – pisano o Potockim – rozwinęło się w nim owo szlachetne umiłowanie piękna, którego natura udziela tak skąpo, a które jest w człowieku jak gdyby jednym więcej zmysłem". W Italii portretowali go najwybitniejsi malarze tamtych czasów – J.L. David i Angelika Kaufman. W drodze powrotnej do Polski nieledwie 20-letni zakochał się z wzajemnością w Aleksandrze Lubomirskiej; nie tylko wniosła mu w wianie wielki posag, lecz także okazała się doskonałą towarzyszką życia i entuzjastką wypraw do Italii. Z czasem odziedziczył wraz z nią m.in. pałac na Krakowskim Przedmieściu i pałac w Wilanowie.

Zaledwie 23-letni Potocki mógł sobie pozwolić na unikatowy w skali światowej projekt rekonstrukcji willi Pliniusza Młodszego pod Rzymem (1777–1778) i prowadzenie wykopalisk archeologicznych w Nola pod Neapolem (1786). Pozyskane w ich wyniku wazy antyczne trafiły z czasem do spektakularnego Gabinetu Etruskiego w Wilanowie. W jednym z listów do żony, z początku 1786 r., Potocki pisał: „Otwieranie grobów to urocze zajęcie… biegając, kopiąc, zamieniając się i znów wymieniając, odszukuję skarby, moja kolekcja liczy co najmniej 100 wyborowych sztuk". Tak rodziła się polska archeologia klasyczna, której prawdziwym fundamentem jest trzytomowe dzieło „O sztuce u dawnych, czyli Winkelman polski", opublikowane w 1815 r.

Stanisław Kostka, idąc śladami starszego o pięć lat brata Ignacego, wszedł do polityki i stał się niezwykle aktywnym posłem, zwłaszcza w czasach Sejmu Czteroletniego. Jego silny związek z obozem reform i patriotyczna aura w czasie uchwalania konstytucji wzbogaciły jego zainteresowania sztuką i kulturą o cechy patriotyczne i społeczne, a upadek ojczyzny ten proces jeszcze pogłębił. To pod wpływem tego dziejowego dramatu

eprasa.pl 4ac3c5591e

Stanisław Kostka Potocki

FOT. Z. RESZKA/MUZEUM PAŁACU KRÓLA JANA III W WILANOWIE

kosmopolita i hedonista odczuł potrzebę działania na rzecz ogółu. Brał też udział, ale bez większych aktów heroizmu, w wojnie rosyjsko-polskiej, za co zapłacił długim uwięzieniem. Upadek Rzeczypospolitej spowolnił jego karierę, ale jej nie zatrzymał – będąc architektem, teoretykiem sztuki i miłośnikiem antyku, skierował się w sferę kultury. Stał się jedną z najważniejszych postaci czasów Księstwa Warszawskiego, a potem (mimo że Aleksander I w przeciwieństwie do Napoleona za nim nie przepadał) Królestwa Kongresowego. Był to czas ogromnej aktywności i politycznego znaczenia Potockiego. Stanisław Staszic określił go jako człowieka instytucję, inni – pomni na jego serwilistyczne gesty – mówili, że „przywiązał się do władzy".

CZŁOWIEK PIÓRA I TWÓRCA UNIWERSYTETU

Pomimo pełnienia funkcji prezesa rządu i ministra oświaty znajdował czas na uczestnictwo w pracach Towarzystwa Przyjaciół Nauk i wielką aktywność pisarską. Szczególne zasługi położył w dziedzinie organizacji i rozwoju szkolnictwa. Nie zdołał utworzyć w czasach Księstwa Warszawskiego uniwersytetu w Warszawie, ale powstałe wówczas Szkoła Prawa i Szkoła Lekarska pomyślane były tak, by w sprzyjających okolicznościach można je było bez większego trudu przekształcić w uniwersytet. Ten ambitny cel zrealizował w latach 1815–1818. Potrafił wykorzystać okres liberalnego nastawienia Aleksandra I; uzyskał zgodę na ufundowanie uczelni w 1816 r. na podstawie „Projektu do urządzenia hierarchii akademickiej w krajach Księstwa Warszawskiego" (1815).

Wkład Potockiego w utworzenie uczelni, która była jednocześnie rodzajem Akademii Sztuk Pięknych, był ogromny. Zamówione przez niego już w latach 1811–1815 projekty wskazują, że pomysł na ukształtowanie campusu przy Krakowskim Przedmieściu w takiej formie, w jakiej przetrwał do dziś, jest w pełni jego dziełem i współpracujących z nim architektów. Między innymi świetnie do dziś zachowana Sala Kolumnowa w gmachu Instytutu Historycznego i piękna fasada Pałacu Kazimierzowskiego dają wyobrażenie o klasycystycznej dbałości o estetykę i poetykę symetrii.

Już od 1809 r. Potocki zabiegał o zakup na potrzeby uczelni rycin, rysunków i odlewów gipsowych z kolekcji króla Stanisława Augusta. W sumie zakupiono bez mała 80 tys. obiektów z dawnego królewskiego Gabinetu Rycin oraz ok. 550 odlewów najsłynniejszych dzieł sztuki antycznej. Zbiór ten uzupełnił wspaniałą darowizną, na którą złożyło się kilkadziesiąt odlewów gipsowych, przeszło 5 tys. rycin i ponad 300 bezcennych rysunków najlepszych artystów europejskich. Tak oto w stolicy Królestwa Polskiego powstała instytucja szeroko krzewiąca wiedzę z zakresu sztuk pięknych (Biblioteka Uniwersytecka była instytucją publiczną). Zgromadzone dzieła miały przyczyniać się do rozwoju świadomości artystycznej kolejnych pokoleń. W tle poczynań Potockiego była myśl, która przyświecała mu też w jego rezydencji w Wilanowie, gdy tworzył w niej muzeum – swoistego odrodzenia narodowego poprzez kulturę artystyczną. Dzięki ogromnemu zbiorowi rycin i rysunków oraz imponującemu zbiorowi odlewów gipsowych, które w 1821 r. trafiły do Sali Kolumnowej, w Warszawie powstała wreszcie – wraz z Uniwersytetem – Szkoła/Akademia Sztuk Pięknych, która wykształciła wielkie grono artystów.

W tym samym czasie Potocki opublikował m.in. trzy tomy „O sztuce u dawnych, czyli Winkelman polski" (historia sztuki starożytnej), czterotomowy podręcznik retoryki „O wymowie i stylu", dwa tomy „Pochwał, mów i rozpraw". Te pionierskie w polskim piśmiennictwie publikacje były pomyślane, podobnie jak nieukończone dzieło „O sztuce u dzisiejszych" (historia sztuki nowożytnej), jako podręczniki akademickie i lektury dla szerokich rzesz społeczeństwa; miały one w zamyśle prawdziwie społeczny aspekt. Należy z całą mocą podkreślić, że książka „O sztuce u dawnych", uważana długo za rodzaj kompilacji, jest dziełem wybitnym, o europejskim wymiarze. Nie tylko stanowi podstawę polskich badań nad sztuką antyczną, lecz także zawiera omówienie sztuki średniowiecznej i losów dzieł antycznych aż do progu nowożytności. Wraz z nieukończonym „O sztuce u dzisiejszych" stanowi niemal kompletną opowieść o sztuce od czasów starożytności do wieku XVI.

Niektórzy uznani historycy nauki i literatury nie docenili pisarstwa Potockiego i jego działań w sferze polityki. Jerzy Michalski, badacz dziejów Towarzystwa Przyjaciół Nauk, pisze: „Stanisław Potocki przy małej swej kulturze literackiej i estetycznej reprezentował typ amatora, kolekcjonera bawiącego się z wielką celebracją swymi raczej nieoryginalnymi, ale pionierskimi na gruncie polskim pracami nad historią sztuki". Równie krytyczny był Ignacy Chrzanowski, a Ryszard Przybylski w swej znanej książce „Klasycyzm, czyli prawdziwy koniec Królestwa Polskiego" zlekceważył je niemal całkowicie. Argumentował to tak: Potocki nie zajmował się twórczością spełniającą kryteria artystyczne, rozrachunków z klęską nie podejmował, wizji przyszłości nie tworzył, talentu nie miał.

W interesujący sposób Potockiego i dramatyczne wydarzenia związanie z jego dymisją, po ataku na polski obskurantyzm zawartym w „Podróży do Ciemnogrodu", oraz tłumne uroczystości po śmierci (w 1821 r. i 1823 r.) zinterpretowała znakomita znawczyni epoki – Barbara Grochulska. Minister nieciesący się sympatią elit stolicy wpadł „w pułapkę, zastawioną na niego przez równie liberalnego [i niechętnego mu] władcę [Aleksandra I]". Sugeruje tym samym, że libertynizm Potockiego nie odpowiadał większej części elit: „Potocki zdążył się jednak wymknąć z tej pułapki, nim zatrzasnęła się ostatecznie. Potrafił wynieść resztki dobrej sławy, powodując – świadomie czy nieświadomie – swoją dymisję wtedy, kiedy następnym krokiem mogło być już serwilistyczne przyznanie racji przeciwnikowi wbrew własnemu przekonaniu. Decyzja ta kosztowała go karierę. Niebawem okazało się jednak, że ta sama decyzja, która pozbawiła go pozycji w elicie władzy, zapewniła mu miejsce w pamięci rodaków. Młodzież, która w 1819 roku odwróciła się od niego, dwa lata później manifestowała przywiązanie do »swego ministra«, czyniąc z jego pogrzebu patriotyczną uroczystość".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

Dziecię boże

Piotr Gociek

„Cry Macho" to zwodniczo prosty, kameralny film, w którym dawna ikona brutalnych westernów deklaruje wprost: maczyzm jest przereklamowany

Czy wierzysz w Boga?" – pyta małoletni Rafo. „Nie wiem. Chyba tak" – odpowiada stareńki kowboj Mike. „Czy wierzysz, że jesteśmy bożymi dziećmi?" – pada następne pytanie. „Cóż… wszyscy jesteśmy czyimiś dziećmi…" – mruczy kowboj.

Kowboja gra Clint Eastwood, znajdując w pokiereszowanym bohaterze doskonałe usprawiedliwienie dla własnej starości. Mike był kiedyś gwiazdą rodeo, ale podczas jednego z pokazów połamał kręgosłup. Cud, że wciąż się rusza, ale przeszedł potem przez piekło: stracił karierę, stracił przyszłość, stracił rodzinę. Zyskał w zamian zamiłowanie do pigułek i wódy, ale w chwili, gdy go poznajemy, ponury czas ma już za sobą. Ponad 90-letni Eastwood nie może się z przyczyn oczywistych poruszać na ekranie jak młodzieniaszek, ta zaś, a nie inna rola usprawiedliwia jego sztywny chód, zgarbione plecy i drżące dłonie.

POJEDNAĆ SIĘ Z WŁASNYM ŻALEM

„Cry Macho" to klasyczny „późny Eastwood" – jestem pewien, że tak kiedyś historycy kina będą pisać o tym filmie. Podobnie jak w „Gran Torino" główny bohater nawiązuje więź z dzieciakiem, który bardzo potrzebuje ojcowskiej figury i kogoś, kto nauczy go, jak być porządnym człowiekiem. Podobnie jak w „Przemytniku" (2018) odnajduje u kresu życia powód, by raz jeszcze wziąć się ze światem za bary. Tyle jesteśmy warci, ile warte są sprawy, którym się poświęcamy – podpowiadał Marek Aureliusz. W ostatnich latach grani przez Eastwooda twardziele wychodzą ze swej skorupy, by wyciągnąć rękę do drugiego człowieka i poprzez niego znaleźć drogę ku własnemu odkupieniu. Earl Stone w „Przemytniku" szukał drogi do ponownego połączenia się z własną zaniedbaną rodziną. Samotnik Mike Milo w „Cry Macho" przy okazji wypełniania zlecenia od szemranego szefa będzie miał okazję znaleźć rodzinę nową – i zakończyć dekady żałoby. Pojednać się z własnym żalem.

Milo rusza do Meksyku, by odnaleźć i przywieźć do Stanów 13-letniego syna bogatego ranczera, porzuconego niegdyś przez niego. Nasz bohater winien jest ranczerowi przysługę, bo ten przygarnął go przed laty i dał robotę, a kiedy pewnego

eprasa.pl 4ac3c5591e

Tradycyjnie Eastwood pokazuje rzemiosło na najwyższym poziomie: i jako aktor, i jako reżyser FOT. MATERIAŁY PRASOWE

dnia zwolnił, to i tak trzymał na liście płac, dzięki czemu Milo mógł dalej egzystować w nędznej chałupie gdzieś wśród prerii Teksasu. Chłopak wychowywany przez matkę jest ponoć traktowany nie najlepiej, a ojciec chce go znów u siebie. Jeździec znikąd przybędzie więc do Mexico City, by wsadzić nos w nie swoje sprawy.

POTRÓJNA ROLA

Film „Cry Macho" powstał na podstawie powieści N. Richarda Nasha pod tym samym tytułem. W Polsce nie przełożono ani jednej książki tego autora, ale kinomani zetknęli się z jego dorobkiem, bo w latach 50. i 60. był wziętym scenarzystą. „The Rainmaker", sztuka, którą napisał dla Broadwayu, została zekranizowana dwukrotnie, Nash był też autorem scenariusza kinowej adaptacji opery „Porgy i Bess" (1959). Po grubo ponad trzech dekadach udanej kariery zwrócił swą uwagę ku prozie i w roku 1975 opublikował pierwszą powieść – właśnie „Cry Macho" (jakże późny debiut – miał już wtedy 62 lata). Książka natychmiast wzbudziła zainteresowanie Hollywoodu, ale kolejne próby przeniesienia jej na ekran nie zakończyły się nigdy sukcesem. Roli milkliwego kowboja nie zagrali więc ostatecznie ani Roy Scheider, ani Arnold Schwarzenegger, a scenariusz przez kolejne lata wędrował po rozmaitych szufladach niezliczonych wytwórni. To Clint Eastwood uratował projekt, występując w potrójnej roli: aktora, reżysera i producenta.

Krótka wspólna wędrówka Mike'a i Rafy jest mocno osadzona i w literackiej, i kinowej tradycji amerykańskich opowieści o Dzikim Zachodzie. Bohaterowie stanowią parę, która pasowałaby do prozy Cormaca McCarthy'ego (raczej do „Rączych koni" niż do ponurego „Krwawego południka"), z drugiej strony toczone przez nich dyskusje na temat tego, co oznacza bycie macho i co liczy się w życiu, są ewidentnie częścią szerszego wywodu prowadzonego przez Eastwooda od czasu antywesternu „Bez przebaczenia" (1992). Przemoc rodzi tylko przemoc, pięść i rewolwer nie stanowią rozwiązania. „Bycie macho jest mocno przeceniane" – mówi kowboj do swego podopiecznego. Kilka scen w filmie bardzo przewrotnie i inteligentnie tę sugestię ilustruje. Kiedy pojawia się przemoc, widzimy ją ośmieszoną, umniejszoną, niegodną. Żadnego uwznioślenia, żadnego drżenia serca w rytm muzyki zapowiadającej pojedynek rewolwerowców.

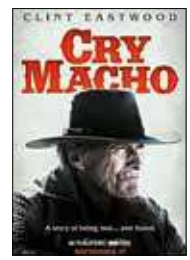

A jednocześnie „Cry Macho" pielęgnuje inne elementy mitu. Piękna jest scena, kiedy kowboj jadący drogą starym kombi ściga się z końmi. Kiedy tłumaczy młodziakowi, że zamiast spać w samochodzie, trzeba wykorzystać każdą chwilę z dala od miasta na życie pod otwartym niebem. Kiedy okazuje się, że ten niewykształcony, spędzający całe życie wokół bydła i koni prostaczek potrafi dzięki temu doświadczeniu pomóc ludziom przyprowadzającym do niego chore zwierzęta. I jakże porusza scena, kiedy na widok przyniesionego przez zrozpaczoną właścicielkę psa cicho mówi: „Nie umiem wyleczyć starości".

DUCH KAZANIA

To nie jest film efektowny, to nie jest film w dorobku Eastwooda najwybitniejszy, ale jego skromność jest zamierzona, tak samo jak duch kazania, który zaczyna przenikać opowieść w drugiej części. Jest kowboj Mike dziecięciem bożym wciąż zachwyconym światem: tym, że słońce wstaje i zachodzi, tym, jak cudne są dzikie rumaki, jak dobrze smakuje kubek kawy każdego ranka i jak wspaniale kłaść się wieczorem spać z poczuciem dobrze wykonanej roboty. Przyzwyczajony do ogierów, świń, krów i kurczaków mało pasuje do świata dwulicowych ludzi. Nic więc dziwnego, że eskortowany Rafo szybko zaczyna patrzeć w niego jak w obrazek. Mike jest jak skała pośrodku małego wszechświata wypełnionego operetkowymi bandziorami i cynicznymi ranczerami. Napotkana w Mexico City matka chłopaka przypomina postacie z filmów Davida Lyncha, meksykańscy gliniarze są przekupni.

Tradycyjnie Eastwood pokazuje rzemiosło na najwyższym poziomie: i jako aktor, i jako reżyser. Gra bardzo oszczędnie, pamięta, że dobre pauzy znaczą więcej niż najlepsze nawet zdania. Równie oszczędny, ale niezwykle efektywny jest wtedy, gdy idzie o ustawienie kamery, komponowanie ujęć. Nie ma tu żadnych zbędnych fajerwerków, żadnego zadziwiania widza na siłę. Każdy kadr służy opowiedzeniu prostej historii. Ta prostota jest zwodnicza, nawet jeśli chodzi o pozostałych aktorów, liczne są miejsca, kiedy Dwight Yoakam (gra ojca chłopaka znalezionego w Meksyku) czy Eduardo Minett (jako 13-letni Rafa) zdają się brzmieć sztucznie – ale chodzi po prostu o to, by brzmieli prawdziwie. To jeden z tych filmów, które nie zapraszają do efektownego odgrywania dramatu, lecz dramat pokazują.

Na koniec zaś liczy się nie to, ile nosów rozkwasiłeś i jak szybko wyciągasz rewolwer, nie ma znaczenia, ile koni ujeździłeś i w ilu rodeo brałeś udział. Tylko to, jak traktujesz kobietę, dziecko, sąsiada, zwierzę, czy ocaliłeś swoją godność, czy zamykając oczy wieczorem, możesz pomyśleć: „To był dobry dzień", bo świat stał się odrobinę lepszy, i wiesz, że przyłożyłeś do tego dłoń. Bardzo brakuje dziś takich prostych opowieści o najprostszych rzeczach, a Clint Eastwood potrafi je opowiadać jak mało kto.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Bunkier zły

★★★☆☆☆

SEZON 2 „KIERUNEK: NOC" („INTO THE NIGHT")
BELGIA 2021, NETFLIX

wyst. Pauline Etienne, Laurent Capelluto, Ksawery Szlenkier

W pierwszym sezonie serialu „Kierunek: Noc" samolot z garstką pasażerów uciekał przed niszczącymi promieniami słońca: w wyniku nieznanych zmian nasza najbliższa gwiazda zaczęła wypalanie wszelkiego życia na Ziemi. Aby przetrwać, trzeba się było trzymać ciemnej strony planety. W finale uciekinierzy trafili do bunkra zajmowanego przez żołnierzy NATO. Sezon drugi opowiada o konfliktach między cywilami a wojskowymi, zamieniając się jednocześnie w fantastykę surwiwalową. Jak podzielić zapasy? Skąd wziąć dodatkowe jedzenie? Kto ma rządzić małą społecznością? Czy uda się znaleźć sprawne środki transportu? Nad tym wszystkim unosi się pytanie podstawowe: Co, do cholery, dzieje się ze słońcem?

Takich historii postapo trochę już widzieliśmy, więc serialowi brak teraz tej niepokojącej drapieżności i napięcia z sezonu pierwszego. Wyzwania, z którymi mierzą się bohaterowie, zdają się być wymyślane nieco na siłę, a sposoby przezwyciężania kryzysów – mało wiarygodne. Na szczęście odcinki są krótkie, a akcja przyspiesza: czeka nas wyprawa do Norwegii po cenne cargo, czeka nas kolejna zagadka: kto odpala rakiety niszczące to, co i tak już martwe: Rosjanie? NATO? Terroryści?

Bronią się aktorzy: mamy tu międzynarodową obsadę z Polakami włącznie (Ksawery Szlenkier jako jeden z uciekinierów, Borys Szyc jako pułkownik NATO), w której charyzmą wyróżnia się Mehmet Kurtulus, turecki aktor znany choćby z filmów Fatiha Akina. „Kierunek: Noc" to wciąż kawałek dobrej rozrywki, ale niektóre pomysły zanadto zbliżają go do taniego melodramatu postapo (choćby wątek wariatki), a inne zdają mi się mało przemyślane. Tezę, że do przetrwania po apokalipsie świetnie może być przygotowany turecki mafioso, mogę przyjąć, ale ta, że najgłupsi na świecie i najmniej zrównoważeni są żołnierze NATO, jest już chyba przesadzona (do pokazania unijnych dyplomatów jako tchórzy i cymbałów zastrzeżeń nie mam).

Współproducentami serialu są nadal Tomasz Bagiński i Jacek Dukaj, pamiętajmy, że całość wysnuta została z jednego z wątków powieści „Starość aksolotla" tego ostatniego. Wygląda na to, że ich przedsięwzięcie ma ciekawe perspektywy rozwoju: za sprawą zwrotu akcji w ostatnim odcinku czekam niecierpliwie na trzeci sezon, tymczasem powstaje też turecka produkcja rozbudowująca uniwersum serialu. Polak potrafi, szkoda tylko, że w tym celu musi wyruszyć za granicę. ©℗

NOWE SERIALE: „24 TWARZE BILLY'EGO MILLIGANA"

Tę zdumiewającą historię opisał w głośnej książce Daniel Keyes, ale oczywiście budziła swego czasu niezwykłe zainteresowanie mediów. Billy Milligan, seryjny gwałciciel, zatrzymany został w 1977 r. Psychiatra rozpoznał u niego 10 rozmaitych osobowości, potem odkryto 14 kolejnych. (Chyba jasne już, czym inspirował się M. Night Shyamalan, wymyślając bohatera filmów „Split" i „Glass"). Milligan spędził kolejną dekadę w klinice psychiatrycznej. Zanim do tego doszło, miał miejsce wyjątkowy w dziejach USA proces sądowy. ©℗

Piotr Gociek

- ***„24 twarze Billy'ego Milligana", USA 2021, Netflix***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 5* ***„Sprawa idealna" („The Good Fight")****, USA 2021*
- *reż. Guy Ritchie* ***„Jeden gniewny człowiek" („Wrath of Man")****, Wielka Brytania 2021*
- *reż. Kay Cannon* ***„Kopciuszek" („Cinderella")****, USA 2021*

eprasa.pl 4ac3c5591e

Operacja „Junior”

KINO

Za późno. Ten film mógł i powinien zostać nakręcony 20–25 lat temu.

Dzisiaj, po ostatecznym umorzeniu śledztwa, śmierci Jaruzelskiego, Kiszczaka i osławionej prokurator Bardonowej smakuje gorzko, jak zbyt długo parzona herbata. Najgorsze, że to wszystko nie musiało się zdarzyć. Przemyk był przypadkową ofiarą, kilka lat starsi od niego sadyści z MO nie wiedzieli, kogo biją. Dopiero zorganizowany przez podziemną Solidarność pogrzeb maturzysty sprawił, że w oczach rządzących sprawa stała się polityczna. Ukaranie sprawców przestało wchodzić w grę, byłoby wszak objawem karygodnej słabości („musimy być jak jedna pięść”). Matuszyński wiarygodnie pokazuje obóz władzy, w ogóle opis rzeczywistości jest pozbawiony fałszywych tonów – inaczej niż w serialu „Król”. W centrum opowieści umieścił świadka zbrodni tudzież jego najbliższych. Esbecy wszelkimi sposobami próbują zmusić chłopaka do odwołania zeznań. Na domiar złego Jurek musi wybierać między lojalnością wobec przyjaciela a ojca (Jacek Braciak znowu w znakomitej formie). To tajemnica poliszynela, że o względnej stabilności PRL nie decydowała sprawność służb, lecz powszechny oportunizm. Tata Jurka tak bardzo chciał uratować wszystko, co w życiu osiągnął, że przegapił moment, w którym znalazł się po ciemnej stronie mocy. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★★☆

REŻ. JAN P. MATUSZYŃSKI
„ŻEBY NIE BYŁO ŚLADÓW”
POLSKA/CZECHY/FRANCJA 2021

wyst. Tomasz Ziętek, Sandra Korzeniak, Jacek Braciak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KOSMOS 2063

Jak uczcić rok Stanisława Lema? Na przykład oglądając czarno-białą, czechosłowacką ekranizację „Obłoku Magellana”. Polák i Juráček stępili nieco antykapitalistyczne ostrze oryginału, przenieśli akcję z XXXII do XXI w., lecz zachowali krzepiące przesłanie. Tak, tak, nasz zgryźliwy geniusz za młodu grzeszył optymizmem. Założył, że największym zmartwieniem poszukującej życia w kosmosie międzynarodowej załogi będzie nuda. Wielomiesięczne podróże w towarzystwie obcych ludzi są tym bardziej męczące, gdy zabiera się w bagażu słabą psychikę, urazy i kompleksy („nasz system słoneczny jest mało atrakcyjny, jesteśmy prowincją wszechświata”) tudzież wstyd za haniebne czyny przodków. Na szczęście do startu „Ikarii” zostały 42 lata, mamy więc jeszcze szansę, by lepiej przygotować pionierski lot ku gwiazdom. Sąsiedzi z układu Alfa Centauri czekają, nie możemy im przecież sprawić zawodu.

★★★★☆☆

REŻ. JINDŘICH POLÁK
„IKARIA XB-1” („IKARIE XB-1”)
CZECHOSŁOWACJA 1963

wyst. Zdeněk Štěpánek, Dana Medřická, Radovan Lukavský

GRA W BOGA

„W jaki sposób można się dowiedzieć o istnieniu świadomości w maszynie?” – zastanawiał się Lem w roku 1964. Film Garlanda odpowiada na to pytanie w sposób, który pisarz, znany z malkontenctwa, uznałby zapewne za trywialny. Oto młody programista dostaje od szefa propozycję zweryfikowania samoświadomości kobiety-androida. Poczciwy Caleb z zapałem poddaje ją testom, nie podejrzewając, że on sam też jest obiektem eksperymentu. Gdyby twórca Avy był mniej arogancki i rzadziej się upijał, może zdałby sobie sprawę, jak ryzykowna to gra. Cóż, ludzka pycha jest niezmierzona. Futuryzm w wersji ascetycznej sprawdził się kolejny raz, Vikander wykorzystała zaś okazję, by zamknąć usta zawistnikom twierdzącym, że ma więcej urody niż aktorskiego talentu. Jeśli sztuczna inteligencja rzeczywiście zostanie ulepiona z internetowego szlamu, to niech Bóg ma nas w swojej opiece. ©℗ ***recenzuje Wiesław Chełminiak***

★★★★☆☆

REŻ. ALEX GARLAND
„EX MACHINA”
WIELKA BRYTANIA 2015

wyst. Domhnall Gleeson, Oscar Isaac, Alicia Vikander

GRA TYGODNIA: „DEATHLOOP”

★★★★★☆

Ta niewielka rubryka nosi nazwę „Gra Tygodnia”, ale w tym wydaniu mogłaby ją zmienić na „Gra Roku”. No może z niewielkim znakiem zapytania, ale tak czy owak mamy do czynienia z dziełem niemal idealnym. Zarówno treść, jak i klimat głównej opowieści wciągają po uszy, dochodzą do tego wyraziste, dobrze nakreślone postaci i dający satysfakcję system walki. Trzeba się postarać, by wskazać wady, choć zapewne jakieś się znajdą. Szkoda, że w grę wydaną przez Bethesdę nie zagrają na razie „zieloni”, ale kwestie „Deathloopa” ważyły się, zanim Bethesda weszła do rodziny Microsoftu. Jednak co się odwlecze... ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Akcja, FPP*
- ***Platforma:*** *PC, PS5*
- ***Producent, wydawca:*** *Arkane Studios, Bethesda Softworks*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4ac3c5591e

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pomnik Baczyńskiego

Wiesław Budzyński jest autorem wyjątkowym, przez ostatnie dziesięciolecia chyba z nikim w Polsce nieporównywalnym. Sądząc po publikacjach, interesował się jedynie Krzysztofem Kamilem Baczyńskim oraz Brunonem Schulzem, o których wie wszystko, a nawet jeszcze więcej. Ponadto w przypadku Budzyńskiego mamy do czynienia z biografem, który w dużym stopniu czuje się depozytariuszem swoich bohaterów, ich życia, idei, twórczości.

Nic dziwnego, że w Roku Baczyńskiego – a 2021 r. jest Rokiem Baczyńskiego, nie tylko Lema, jak można by sądzić – Wiesław Budzyński wydał kolejną, siódmą książkę traktującą o autorze „Śpiewu z pożogi": „Baczyński uszlachetnia". Czytelnicy będą jednak zaskoczeni. Otóż przypomnieniu poety, prostowaniu błędów narosłych wokół niego, polemizowaniu z tymi, którzy albo go nie doceniali, albo – co częstsze – wypaczali sens jego utworów, towarzyszą tu rozważania historiozoficzne, historyczne, polityczne, także te całkiem współczesne. Dowodzą one, poza wszystkim innym, niebywałego temperamentu autora, pewnego racji – swoich, ale przede wszystkim swego ukochanego poety. Poety celnie porównanego tuż po wojnie przez Jerzego Zagórskiego do Juliusza Słowackiego. Dwa lata temu Budzyński apelując o ustanowienie roku 2021 Rokiem Baczyńskiego na konferencji w Senacie, powiedział pięknie: „Taki poeta rodzi się raz na 150 lat. […] Poezja Baczyńskiego jest naszym skarbem, który należy pielęgnować i zachować dla przyszłych pokoleń. Każdy naród tworzy swoje ziemskie Niebo, swój panteon ludzi wyjątkowych, stanowiących owe kamienie milowe, drogowskazy dla następców. I Baczyński jest w tym panteonie. Ta poezja uszlachetnia. Baczyński uszlachetnia".

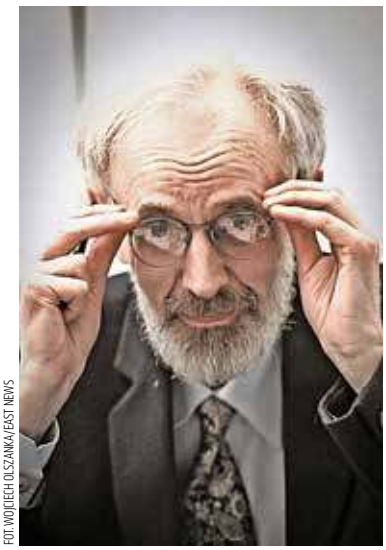

FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

Poezja Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, od lat 60. zeszłego wieku, gdy wreszcie zaczęto ją wydawać, ukazała się w łącznym nakładzie ok. pół miliona egzemplarzy. Żaden inny poeta nie cieszył się w naszym kraju takim wzięciem. Poznawaliśmy jego wiersze, wbijały się nam w pamięć, recytowane i śpiewane (Ewa Demarczyk!), szkoły obierały sobie Baczyńskiego za patrona, powstawały filmy mniej lub bardziej wiernie oddające prawdę o jego życiu, miłości, walce i śmierci.

Zachęcam do lektury książki „Baczyński uszlachetnia", zaręczając, że nie oderwą się od niej Państwo, nie doczytawszy do końca. Ona jest pisana samymi emocjami, samymi uczuciami, sercem wypełnionym miłością do – tak, tak – najsławniejszego warszawiaka poległego w Powstaniu Warszawskim. W swoim krótkim, przerwanym kulą niemieckiego strzelca życiu napisał 500 (!) wierszy, więcej niż wielu bardziej w świecie znanych poetów przez całe życie. Wśród nich jest cała masa utworów wcale nielirycznych, osobistych, przeciwnie, zagrzewających do walki, męskich, arcypolskich. Tym bardziej przykre jest, że – jak pisze Budzyński – próbowano zrobić z niego – żołnierza Armii Krajowej – „pacyfistę, innym razem lewicowca, to znów Żyda, którym dawno nie był. Był polskim patriotą, polskim żołnierzem, polskim poetą i poległ dla Polski. Dla stalinowców był nawet, jak wszyscy AK-owcy, faszystą. Wiemy, że ubecy przyszli po Baczyńskiego, gdy już nie żył – pięć lat po śmierci – by go aresztować!".

A dlaczego ten jakże warszawski poeta nie ma w stolicy swego pomnika? Bo nie spełniamy ani obowiązków, które na nas ciążą, ani powinności, a upamiętnienie tego twórcy jest jednym i drugim. Stuprocentowo zgadzam się z Budzyńskim: ten pomnik winien stanąć w naszym mieście, najlepiej na placu Zbawiciela, przed kościołem, w którym był chrzczony. „Nie gdzieś pokątnie, »w krzakach« – czytamy – jak to ma miejsce w ostatnich dekadach, ale na środku placu, w miejscu owej tęczy, która w końcu znikła i przestała swoim kiczem szpecić architekturę tego jednego z nielicznych w nowej Warszawie prawdziwych placów". Da Bóg, doczekamy się i tego, a na razie dziękuję autorowi za jego nową książkę, za mocne słowa, których używa w stosunku do uznanych nawet autorytetów z noblistami Szymborską i Miłoszem na czele, do krytyków w rodzaju Artura Sandauera, zawsze wiedzących więcej i lepiej, do polityków wreszcie – i tych dzisiejszych, i wczorajszych. Nie tylko polskich: o Schröderze, byłym kanclerzu na moskiewskim żołdzie, powiada, że „gdzie indziej traktowany byłby jak zdrajca, tu jak gdyby nic jest zbawcą niemieckiej ojczyzny", a Churchill był „współuczestnikiem zbrodni" dokonanej przez „pospolitego bandytę" Stalina.

Budzyński nie certoli się, nie obcyndala, jak powiedziałby Tadeusz Konwicki, tylko wali prosto z mostu. I ma rację, bo czas taki, że – jak pisze – „trzeba bić w werble". ©℗

★★★★★☆

WIESŁAW BUDZYŃSKI „BACZYŃSKI USZLACHETNIA" WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, NARODOWE CENTRUM KULTURY, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 4ac3c5591e

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wsiadać, drzwi zamykać!

Psioczenie na kolej jest – obok narzekania na reprezentację futbolową tudzież polityków – ulubionym sportem Polaków, choć trzeba zauważyć, że rozwijającym się na wątlejszych podstawach niż niegdyś. Chodzi jednak o to, by plusy nie przesłaniały nam minusów. Marcin Antosz, autor książki o podtytule „Fascynujący świat pociągów oczami maszynisty", nie popada w branżowe samozadowolenie. Rozumie doskonale, kiedy i dlaczego pasażerowie mają prawo sarkać na przewoźnika. I zamiast się obrażać – objaśnia po prostu, co się dzieje.

Dowiemy się więc z tej uroczej książeczki nie tylko, jak wyglądają wnętrza przestarzałych lokomotyw w porównaniu z nowymi składami, lecz także dlaczego czasem nasz skład ma opóźnienie już w chwili, gdy wjeżdża na peron stacji początkowej. Zrozumiemy, czemu wzdłuż każdego pociągu musi przejść gość walący młotkiem w metal, a także jak działa system kierowania pociągiem – wbrew pozorom to nie maszynista odgrywa tu główną rolę.

Dla mnie największym zaskoczeniem było odkrycie, że zawody kolejarskie zamknięte są niemal tak samo jak inne branże klanowe – prawnicy czy aktorzy. Antosz, realizując swe dziecięce marzenie o pracy maszynisty, musiał wykazać się nie lada uporem, przetrwać sporo upokorzeń i kawał pracy za psie pieniądze. Nie było mu łatwo także dlatego, że nie miał ani taty, ani dziadka, ani wujka maszynisty, co – jak się okazuje – jest normą dla nowych adeptów sztuki. Czy to rodzinne „klonowanie" jest przyczyną, dla której typowy polski maszynista to 50-letni brzuchacz z wąsem? Być może, na zdjęciach z książki outsider Marcin Antosz wygląda zupełnie inaczej.

Ale dość żartów. „Opóźnienie może ulec zmianie" ujęło mnie swoją bezpretensjonalnością: to ciekawa opowieść kogoś, kto kocha swoją robotę i chce się tą miłością z innymi podzielić. Uwielbiam podróże pociągami, więc rozmaite szczegóły wielce mnie zainteresowały. No i poza tym to chyba jeden z ostatnich obrazków, na których widzimy jeszcze polską kolej częściowo taką, jaka była jeszcze w PRL. Dziś dworce, szlaki kolejowe, tabor – wszystko szybko się zmienia, a budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego i wielkie inwestycje prowadzące ku niemu komunikacyjne szprychy ostatecznie wprowadzą polskie pociągi w XXI w. Antosz w powodzenie tej akurat inwestycji nie wierzy – ja wierzę, że to jedyna sprawa, w której się myli. ©℗

★★★★☆☆
MARCIN ANTOSZ „OPÓŹNIENIE MOŻE ULEC ZMIANIE" MUZA 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jeden z kanonicznych zbiorów prozy Borgesa w nowym przekładzie (autorką poprzedniego była Zofia Chądzyńska). Andrzej Sobol-Jurczykowski nie tylko przetłumaczył, lecz także opatrzył teksty kilkudziesięcioma stronami przypisów.

JORGE LUIS BORGES „RAPORT BRODIEGO" PIW

„Interpretacja jest permanentna i nieunikniona" – pisze znakomity francuski teoretyk filmu, a jego arcyciekawa książka to nie podręcznik, lecz wielka refleksja nad sposobami odbioru dzieła filmowego. Dla zaawansowanych.

JACQUES AUMONT „INTERPRETACJA FILMÓW" PIW

Ciąg dalszy reportażu historycznego o prawdziwym świecie podziemia kryminalnego Wysp Brytyjskich międzywojnia. Fani znajdą tu pierwowzory bohaterów serialu, pozostali – opowieść o mrocznej stronie lat 20 XX w.

CARL CHINN „PEAKY BLINDERS. SPUŚCIZNA" ZYSK I S-KA

Grecja nieznana turystom – opowieść ponura, gdy mówi o przestępczej działalności radykałów z partii Złoty Świt; ciekawa, gdy mowa o absurdach biurokracji; naiwna, kiedy rozważa politykę walki z nielegalną imigracją. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

DIONISIOS STURIS „ZACHÓD SŁOŃCA NA SANTORINI" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

KOMIKS TYGODNIA: „LUCKY LUKE"

Wyluzowany kowboj Lucky Luke był jednym z pierwszych komiksowych importów w PRL – fani wycinali kiedyś paski z jego przygodami z tygodnika „Przekrój". Chociaż od wymyślenia tej postaci przez belgijskiego rysownika Morrisa minęło ponad siedem dekad, to nowe albumy wciąż się ukazują. „O.K. Corral" miał premierę oryginalnie w roku 1997, kiedy za serię odpowiadali Xavier Fauche i Éric Adam. Jednocześnie ukazuje się zbiór „Pod niebem zachodu" z trzema historyjkami stworzonymi w latach 50. przez Morrisa. Jak dotąd seria liczy ponad 80 albumów. ©℗

XAVIER FAUCHE, ÉRIC ADAM „LUCKY LUKE. O.K. CORRAL" EGMONT 2021

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 4ac3c5591e

Kozak gra

FOT. SAMOKHIN BAND/FACEBOOK

„Wyobraźcie sobie kilka gramofonów. Z każdego wydobywają się podobne dźwięki, ale każdy czerpie swoje źródło z innego stylu. Pierwszy to definitywnie Swing – to od niego wszystko się zaczęło. Kolejne grają: Latino, Funk i Rock & Roll. Na deser dodajcie Folk. Jeśli udało się Wam spleść to wszystko w jeden wątek, to usłyszycie wcześniej nieznany styl. Logika absurdu doprowadziła do cudownych narodzin – oto jest: Samokhin Band!" – w taki sposób wita się na swojej stronie internetowej zespół Samokhin Band i jest to rzeczywiście opis oddający mieszankę, którą grupa ta serwuje. Jest skocznie, energetycznie, z dużą dozą improwizacji i wpływów wschodniego folku.

Założyciel grupy, Paweł Samokhin, pochodzi z Rostowa nad Cichym Donem. – Jako kozak mam dużo krwi tatarskiej, węgierskiej i ukraińskiej. Czuję się jednak też Polakiem, bo tu spotkałem swoją miłość i mieszkam tu od 20 lat – opowiadał w Czwórce. Od dziecka gra na trąbce, a także śpiewa, tworzy teksty, muzykę i aranże do piosenek zespołu. Frontman z krwi i kości, kształtujący charakter grupy. Oprócz niego założony w Łodzi Samokhin Band tworzą: Adam Brzęczek, Piotr Kolasa, Jarosław Kuna, Kuba Matusiak, Kuba Niedziałek, Wojtek Stępniak. – Łódź jest miastem bogatym w świetnych muzyków, a także we wspaniałe i ciekawe zespoły. Przez nasz zespół także przeszło wielu muzyków, ale to naturalny proces – mówił lider grupy w Czwórce.

Zespół koncertuje i nagrywa od 2008 r. Na koncie ma występy na polskich i zagranicznych scenach oraz cztery albumy długogrające: „Samokhin Band" (2008), „Habibi" (2009), „Perestroika" (2013) i najnowszy „Życie bez snu" (2018). ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Siła głosu

Trzydziestolatka urodzona w Dallas poraża możliwościami wokalnymi, interpretacyjnymi i swobodą, z jaką podchodzi do tradycji bigbandowego śpiewania. Uwielbiając Betty Carter czy Dee Dee Bridgewater, Jazzmeia jednocześnie wpuszcza świeży oddech do nieco już zmurszałej stylistyki.

Jej pierwsze dwa albumy uzyskały nominacje do nagrody Grammy. Na trzeciej, tętniącej emocjami płycie nie tylko stanęła na czele 15-osobowego big-bandu Noble Force, lecz także zaaranżowała wszystkie utwory. Jej balladowa wersja „Money Can't Buy Me Love" jest odległa o lata świetlne od beatlesowskiego oryginału, co zresztą wokalistka tłumaczy w mówionej części utworu.

Horn ma władczy, soulowy wokal. W jednej sekundzie z łatwością zatapia się w ciemnej melodii, by w następnym momencie wznieść się ku niebiosom, śpiewając wibrującym falsetem. Na płycie oprócz standardów jest kilka jej kompozycji, w których podejmuje kwestie zmian klimatycznych i rozrostu więziennictwa, a także potrzebę uwolnienia się każdego z nas od standardowego postrzegania otoczenia. Wśród tych utworów na wyróżnienie zasługują: leniwy „Let Us (Take Our Time)" i 11-minutowy afrokubański „Strive (To Be)".

„Dear Love" jest czymś więcej niż tylko jazzowym albumem wokalnym. To mocny głos współczesnej, świadomej Amerykanki. ©℗

★★★★★★
JAZZMEIA HORN & HER NOBLE FORCE
„DEAR LOVE"
EMPRESS LEGACY

★★★★★☆
LINDSEY BUCKINGHAM
„LINDSEY BUCKINGHAM"
RHINO

Siódmy album gitarzysty jest bliski najlepszym dokonaniom Fleetwood Mac – zespołu, z którego został wyrzucony trzy lata temu. Produkcja mieni się ciepłem zachodzącego słońca, a świetne piosenki stworzone przez biegłego rzemieślnika pocieszają bez ulegania nostalgii.

★★★★★☆
PAT METHENY
„SIDE-EYE NYC (V1.IV)"

Na koncertowej płycie gitarzysta wspierany przez dwóch młodych muzyków gra premierowy materiał i unowocześnione „klasyki". Przepływamy przez błogi labirynt dźwięków, zahaczając o post-bop, afrolatynoskie groove'y, folk czy modalny jazz. Idealna płyta zarówno dla fanów, jak i młodych odkrywców. ©℗

eprasa.pl 4ac3c5591e

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Teatr stanu wojennego

Grzegorz Kondrasiuk

Warszawski teatr Ateneum ma nowego dyrektora. Został nim Artur Tyszkiewicz, który zadeklarował chęć uprawiania na tej scenie „teatru aktora i autora" – a więc dokładnie takiej tradycji, na której Ateneum zbudowało swoją legendę

Trzymam kciuki. Ta zasłużona scena, z zespołem pełnym wielkich nazwisk, nie ma zbyt dobrej passy. Częste zmiany dyrekcji, nadchodzący remont budynku przy ulicy Jaracza, konieczność przenosin do tymczasowej siedziby (Scena 200, tuż obok, na Wybrzeżu Kościuszkowskim) nie ułatwiają sprawy. Jednak najnowsza premiera, odziedziczona po poprzedniku (krótka dyrekcja Wojciecha Adamczyka), świadczy o tym, że łatwo nie będzie. Na razie w Ateneum mamy, owszem, teatr aktora, ale z dodatkiem teatru stanu wojennego. Tak właśnie nazywam, na własny użytek, serię sztuk produkcyjnych z ostatnich lat, charakteryzujących się politycznym wzmożeniem. Teatry tzw. postępowe wolą bardziej styl ośmiu gwiazdek, natomiast te tzw. konserwatywne, jak Ateneum, raczej klimaty marszów KOD. Efekt, niezależnie od odmienności stylistycznych, jednakowy. Obsesja na punkcie znienawidzonego reżimu i przywiązanie do poprawiającego samopoczucie artystów oraz widowni rytualnego manifestowania wspólnoty przekonań to dla teatru mikstura zabójcza. Teatr tamtego stanu wojennego był teatrem zepsutym przez politykę. Dziś powraca, a właściwie na dobre powrócił, ze swoim zabawnym i karykaturalnym urokiem, na który składają się manifestowanie słusznych poglądów, pseudoanaliza socjologiczna oraz wisząca nad sceną jedna wielka, nazbyt oczywista Aluzja.

Oto „Ława przysięgłych", zapomniany dramat z lat 60. czeskiego autora Ivana Klímy. Wziął go na warsztat grasujący w Ateneum dream team – Janusz Nyczek (tu jako „dramaturg") i Janusz Anderman (tłumaczenie). Zawezwany czeski reżyser Jakub Krofta starał się nie przeszkadzać ani aktorom, ani realizatorom w osiągnięciu z góry założonej – jak myślę – satysfakcji. Nie przeszkadzał im też tekst dramatu, w oryginale – jak się wydaje – traktującego o morderstwie sądowym w bliżej nieokreślonym totalitarnym państwie. To satyra, a właściwie groteska polityczna, z elementami komediowymi i efektem absurdu.

Tytułowa ława przysięgłych, złożona ze zwykłych obywateli, podlega naciskom, aby skazać na śmierć prawdopodobnie niewinnego człowieka. W trakcie procesu okazuje się, że delikwenta, na wszelki wypadek, i tak już uśmiercono. Ale i na martwego trzeba wydać wyrok… Na nic więc zdają się straceńcze, buntownicze gesty wykonywane przez dwójkę zbuntowanych, niepokornych obywateli. O czym jest ten źródłowy tekst? Nietrudno zgadnąć, pamiętając o kontekście komunistycznej Czechosłowacji, choć sama, dość prosta sytuacja opresji to zaledwie jeden poziom znaczeń dramatu Klímy, a znacznie ciekawsze są tu wątki społecznego konformizmu, problem kary śmierci oraz niepokojący, przewrotny finał (o tem – potem, dla uniknięcia spojlerów proszę nie czytać zakończenia recenzji).

Ale o czem jest spektakl w Ateneum? Również nietrudno się domyślić – to sztuka o Julii Przyłębskiej (wypisz wymaluj Przewodnicząca – Maria Ciunelis), Trybunale Konstytucyjnym, złym PiS-ie, co staje się oczywiste już po pięciu minutach spektaklu i do końca się nie zmieni. Jest to wręcz modelowy przykład teatru stanu wojennego, przykład na to, jak bardzo można w teatrze nie przeczytać nieoczywistego dramatu.

Bo wszystko jest przecież jasne jak przy wigilijnym stole w polskiej, podzielonej politycznie rodzinie. Prosty chłop, fryzjer (Bartłomiej Nowosielski), prosta babka, sklepikarka (Katarzyna Łochowska) – wyborcy PiS. Lobbysta, taki człowiek znikąd, enigma, prawdopodobnie ubek (Grzegorz Damięcki) – polityk PiS. Skład sędziowski (Ciunelis, Przemysław Bluszcz, Tomasz Kozłowicz) – wiadomo. Intelektualista Powrócony (Janusz Łagodziński), Bizneswoman (Magdalena Schejbal) – szlachetna opozycja.

Klaskałem aktorom, bo jakoś wyszli z tego obronną ręką. Klaskałem przede wszystkim Katarzynie Łochowskiej, bo ona jedyna dostała tutaj szansę na nieoczywistość – wychodząc od farsy, doszła do malutkiego, bolesnego tragizmu. I tak ocaliła swoją postać, dała tej swojej kobiecinie rys prawdziwości, pokazała nasz ludzki, wewnętrzny spór, nie polityczny przecież, lecz egzystencjalny. Ale ten niespodziewany twist nie jest w stanie obronić całości. Wystarczy, by dziwacznie przerysowany, właściwie nawet autentycznie śmieszny (rola z pomysłem „na Obajtka"?) Damięcki wywrzasnął z pasją: „Nie po to walczyłem o prawo i sprawiedliwość, żeby jakieś dzieciaki biegały po ulicach i krzyczały, że mają za mało wolności!" – i już oklaski, śmiechy, łatwy, zbyt łatwy teatrzyk polityczny. A co z zakończeniem? Jedyny, który się postawił, Powrócony, słyszy od Przewodniczącej, że jego bunt był częścią planu, miał przykryć większą machloję. To puenta niespodziewana i gorzka, może nawet anarchistyczna i antysystemowa.

Na premierze były owacje i znakomity nastrój.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REŻ. JAKUB KROFTA
IVAN KLÍMA „ŁAWA PRZYSIĘGŁYCH"
TEATR ATENEUM,
PREMIERA:
19 GRUDNIA 2020 R. (ON-LINE);
11 WRZEŚNIA 2021 R. (NA ŻYWO)

eprasa.pl 4ac3c5591e

Z prof. dr. hab. Tomaszem Grzegorzem Grossem z Uniwersytetu Warszawskiego
rozmawia Karol Gac

UE przynosi korzyści gospodarce Niemiec

KAROL GAC: Unię Europejską próbuje się przedstawiać jako krainę mlekiem i miodem płynącą. Tymczasem z raportu, którego jest pan współautorem, wynika, że Polska w latach 2004–2020 straciła na członkostwie aż 535 mld zł.

PROF. DR HAB. TOMASZ GRZEGORZ GROSSE: Nie określiłbym tego jako straty, ale różnicę pomiędzy korzyściami, które uzyskują kraje Europy Zachodniej, a tymi, które z członkostwa ma Polska. Zyskujemy przede wszystkim na obecności na rynku wewnętrznym UE, ale w jeszcze większym stopniu na polskim członkostwie w UE zyskują korporacje zachodnioeuropejskie, które poczyniły u nas wiele inwestycji. To tworzy poczucie nierównowagi między naszymi korzyściami a korzyściami podmiotów zachodnioeuropejskich, które od samego początku miało być niwelowane przez dotacje i fundusze z UE. One w założeniu nie tylko mają nas rozwijać, lecz także to forma rekompensaty za dostęp do rynku zbytu w Polsce, z którego pełnymi garściami korzystają kraje Europy Zachodniej. Naszym celem nie było pokazanie straty lub wskazywanie na powody, dla których należałoby opuścić UE, ale pokazanie, że polskie członkostwo jest przede wszystkim korzystne dla naszych partnerów. Jeżeli ktoś mówi, że fundusze należy Polsce ograniczać, to pokazujemy liczby, które wskazują, że takie działanie jest nieuprawnione, bo i tak ta rekompensata jest niewystarczająca w stosunku do tego, jak na polskim członkostwie korzysta Europa Zachodnia.

Fundusze unijne, które otrzymujemy, to tylko jedna strona medalu. Jakie procesy są jednak w cieniu? Na czym Polska traciła najwięcej?

Nierównowaga jest związana z kilkoma czynnikami. Naszą największą korzyścią z członkostwa w UE jest dostęp do rynku wewnętrznego. W związku z tym działania, które w ostatnich miesiącach podejmuje Bruksela, mające ograniczyć konkurencyjność polskich przedsiębiorstw na rynku usług, są także nieuprawnione, bo

eprasa.pl 4ac3c5591e

FOT. ADOBE STOCK

nie biorą pod uwagę tego bilansu, który i tak jest korzystny dla państw zachodnich. Zastanawiamy się również, w jaki sposób można tę nierównowagę zniwelować. Jedną z przyczyn, o której mówiło się w ostatnich latach, jest uprzywilejowany dostęp podmiotów zagranicznych do polskiego rynku. Bardzo często jest on dużo korzystniejszy, niż mają krajowe podmioty. Chodzi przede wszystkim o ulgi podatkowe i różnego rodzaju preferencje. Być może należałoby tę politykę zmienić, by doprowadzić do równowagi.

Główną hipotezą raportu jest stwierdzenie, że nierównowaga w przepływach finansowych jest prawdopodobnie istotnym czynnikiem utrzymującego się dystansu w potencjale ekonomicznym pomiędzy Polską a krajami zachodniej części UE. Z kolei zrównoważenie przepływów pomiędzy Polską a EU da szansę na dogonienie przez Polskę tych państw w perspektywie od 12 do 18 lat. Udało się potwierdzić hipotezy?

W dużym stopniu tak. W dodatku doszliśmy do jeszcze jednej, niezwykle ważnej konkluzji – że Unia Europejska jest niezrównoważona pod względem makroekonomicznym i przepływów finansowych. To widać np. po sytuacji w strefie euro. Ekonomiści wskazują, że jest to Unia asymetryczna, która przynosi znacznie większe korzyści gospodarce niemieckiej, a jednocześnie kraje Europy Południowej i Francja rozwijają się w dużo słabszym stopniu. Podstawowy wniosek jest taki, że jeśli te nierównowagi będą się utrzymywać bądź wzrastać, to Europa jako całość będzie rozwijać się słabiej. To nie jest model optymalny również z punktu widzenia Europy Zachodniej i przyszłości projektu integracyjnego. O tym, do czego prowadzą nierównowagi makroekonomiczne w strefie euro, przekonaliśmy się bardzo wyraźnie w czasie kryzysu ekonomicznego.

Czytając raport, można też odnieść wrażenie, że wejście do UE w rzeczywistości wzmocniło wcześniejsze negatywne trendy wynikające z przemian ustrojowych po roku 1989 w Europie Środkowo-Wschodniej.

Wydaje się, że tak. Mieliśmy bardzo liberalną ścieżkę transformacji ustrojowej, która polegała na tym, że im szybciej i więcej sprywatyzujemy, a zwłaszcza oddamy podmiotom zagranicznym, tym szybciej wejdziemy na ścieżkę rozwoju gospodarczego. Polska zaczęła rozwijać się dynamicznie, napędzana poprzez ogromny napływ kapitału zewnętrznego, ale ekonomiści zwracają uwagę, że to rozwój egzogeniczny, który nie jest do końca optymalny z punktu widzenia naszych interesów narodowych, bo oddaliśmy kontrolę nad naszą gospodarką podmiotom zewnętrznym. To od zewnętrznego kapitału, technologii i decyzji zależą losy tysięcy polskich pracowników i podwykonawców.

Podstawowym wyzwaniem dla polityki krajowej jest więc odpowiedź, jak zmienić model egzogenicznego rozwoju na tzw. model endogeniczny, czyli opierający się w większym stopniu na krajowym kapitale, technologiach, a jednocześnie uchronić się przed wadami, jak np. pułapką średniego dochodu. Celem jest więc zmiana modelu gospodarczego, a tym samym podstawowych czynników, na których opiera się konkurencyjność polskiej gospodarki. Integracja europejska do pewnego stopnia utrwaliła model egzogeniczny, który zapoczątkowała transformacja ustrojowa. Fundusze europejskie miały być nie tylko elementem rekompensaty, lecz także modernizacji gospodarki. Tyle tylko że same fundusze nie są wystarczające do tego, by zmienić model. Mało tego, pieniądze unijne mogą uśpić decydentów, którzy będą mieli złudne poczucie stabilności, a tymczasem potrzeba zmian istnieje.

eprasa.pl 4ac3c5591e

Wskazuje pan, że ekonomiści różnią się w zakresie oceny rozszerzenia UE na wschód, jeśli chodzi o skalę korzyści dla „nowych" i „starych" państw członkowskich. Niemniej są dużo bardziej zgodni, jeśli chodzi o ocenę skutków funkcjonowania rynku wewnętrznego dla tych dwóch grup państw. Może po prostu proces rozszerzania UE od początku był tak pomyślany?

Zdecydowanie tak. To nie jest przypadek, że transformacja przebiegała w taki sposób. Warunkiem akcesji Polski była zgoda ówczesnych władz, by jak najbardziej zliberalizować dostęp do polskiego rynku dla zachodnich korporacji. Powstały nawet specjalne programy pomocowe ze strony Komisji Europejskiej, które miały ułatwiać prywatyzację polskich przedsiębiorstw i ich przejmowanie. Od samego początku było widać chęć otwarcia polskiego rynku dla zachodnich inwestorów. Było również widać niechęć wobec działań o charakterze protekcyjnym, które miały chronić polskie przedsiębiorstwa i pracowników przed restrukturyzacją, która często oznaczała likwidację całych branż. Mało tego, fundusze europejskie były tak zaprogramowane, by budować infrastrukturę komunikacyjną, która ułatwiała transport między Europą Zachodnią a Polską, a niewielka ich część była adresowana, by wzmacniać technologiczny potencjał gospodarki. Nasza rola w podziale pracy na rynku wewnętrznym miała polegać na tym, by być zasobem taniej siły roboczej dla zachodnich korporacji.

Przez wiele lat ten model był korzystny dla obu stron, ale asymetrycznie. Budował w dużo większym stopniu siłę Europy Zachodniej. Z kolei pod względem strukturalnym ten model należało zmieniać, bo nie ma możliwości, byśmy dogonili średnią UE, jeśli będziemy utrzymywać model rozwoju egzogenicznego. Komisja Europejska przewiduje, że dotychczasowe trendy doprowadzą do konwergencji na poziomie 85 proc. średniej europejskiej, później zaś będzie szklany sufit. Musimy wybiegać więc do przodu i zastanawiać się, co będzie z naszą gospodarką za 10 lat.

Sporo jest też o odpowiedzialności polskiej elity, która poświęciła własną autonomię w polityce gospodarczej i nie miała wizji w zakresie budowania krajowych przewag. Tylko jak duża była tu przestrzeń do negocjacji? Na przestrzeni lat wyraźnie widać, jak Europa Zachodnia dba o swoje wpływy.

W dużym stopniu ma pan rację, ale to jednocześnie oznaczałoby, że do końca nie odzyskaliśmy naszej suwerenności, ponieważ byliśmy zakładnikiem mocarstw, jeśli chodzi o nasz los. Zarówno reakcja na nasz raport, jak i sygnały, które pojawiały się przez ostatnie lata, wskazują wyraźnie na to, że bardzo duże siły polityczne i ekonomiczne bronią obecnego status quo, bo jest on dla nich niezwykle korzystny. Tyle tylko że to wszystko jest na krótką metę, bo w dłuższej perspektywie ten model będzie się wyczerpywać także z punktu widzenia zachodnich inwestorów i optymalnego rozwoju gospodarczego Europy. Utrzymywanie go nie jest dobre nie tylko dla Polski, lecz także dla Europy Zachodniej.

Wielu naukowców podkreśla, że model rozwoju został faktycznie narzucony Europie Środkowej przez największe państwa zachodnie. W literaturze funkcjonuje opinia o „złotej klatce europeizacji". Co to tak naprawdę oznacza?

„Złota klatka europeizacji" polega na tym, że oddajemy kierowanie naszym losem w gestię Unii Europejskiej, a de facto największym państwom członkowskim, w zamian zaś otrzymujemy ciepłą wodę w kranie, czyli „opiekują" się one nami, zapewniając bezpieczeństwo ekonomiczne. Ten model zaczyna jednak coraz bardziej uwierać. Okazuje się bowiem, że ta „złota klatka" przestaje być taka złota. Przyczyny tego są zarówno wewnętrzne, np. procesy doganiania średniej UE, jak i zewnętrzne, jak choćby kryzysy trawiące Europę Zachodnią, które są przenoszone rykoszetem do Polski. Jeżeli ta diagnoza jest trafna, to należałoby pomyśleć o tym, jak to zmienić. Nie da się dłużej być pasywnym i liczyć wyłącznie na to, że Bruksela nas wybawi. Musimy być bardziej aktywni i troszczyć się sami o nasz los. To nie oznacza, że mamy wychodzić z UE, ale kształtować ją w taki sposób, by było to korzystne zarówno dla nas, jak i dla całej UE.

Jakie mogą być konsekwencje wyczerpania się obecnego modelu? Czy to w dłuższej perspektywie nie doprowadzi do napięć wewnętrznych, a być może i dekompozycji UE?

Istnieje takie ryzyko. Jest ono związane z kryzysami, które mają miejsce w Europie Zachodniej czy Południowej. Część spośród nich jest związana z nierównowagą procesów gospodarczych, która zachodzi na rynku wewnętrznym. Zamiast ją podtrzymywać czy eskalować, należałoby się zastanowić, jak ją można zmniejszyć. Z całą pewnością rozwiązaniem naszych problemów nie może być akcja dyscyplinowania państw członkowskich, które nie chcą przyjmować polityki lansowanej przez największe państwa, bo tego typu rozwiązania nigdy nie kończą się dobrze.

W odniesieniu do Polski szacuje się korzyści wzrostu gospodarczego w relacji do PKB w przeliczeniu na głowę mieszkańca na blisko 6 proc. w okresie pierwszych 10 lat członkostwa. Jednocześnie badania pokazały, że gdyby Polska nie wchodziła do UE, jej wzrost w tych latach byłby jeszcze szybszy. Z czego to wynika? Czy jesteśmy w stanie przewidzieć, co by było, gdyby Polska nie weszła do UE?

Szacunki ekonomiczne dotyczące korzyści wynikających z pozostawania poza strukturami UE zawsze obarczone są pewnym błędem, bo są to wyłącznie pewne estymacje, które nigdy nie mogły być zrealizowane w praktyce. Zresztą te oceny są bardzo różne. Jesteśmy w pewnym momencie historycznym i powinniśmy stać na własnych nogach. UE obiektywnie słabnie – zarówno w kontekście geopolitycznym, jak i gospodarczym. W związku z tym powinniśmy zastanowić się, jak działać w tych warunkach.

Raport ma się przyczynić do uczciwej dyskusji na temat bilansu obecności Polski w UE. Czy ta w ogóle jest możliwa? Dokument od razu został zaatakowany, a poziom emocji był tak duży, że uniemożliwia to rzetelną debatę.

Reakcje na nasz raport pokazują, jaki jest stan debaty publicznej w Polsce. Mniej one mówią o samym raporcie, ale więcej o polaryzacji w Polsce, uniemożliwiającej rzetelną dyskusję. Nasze argumenty zmierzają do wykazania, że nierównowaga procesów ekonomicznych w Europie zagraża również jej. To wyraz troski i to nie tylko o obecność Polski w UE, lecz także o przyszłość procesów integracji. Jeżeli jej zwolennicy kwestionują ten raport, to najwyraźniej nie znajdują powodów, by wysłuchać argumentów, które wypływają z troski o kształt UE. To z kolei wydaje mi się zacietrzewieniem emocjonalnym, a nie rzeczową dyskusją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. dr. hab.
Tomasz Grzegorz Grosse
– socjolog, politolog i historyk, wykładowca na Uniwersytecie Warszawskim.

CZYTAJ TAKŻE „FRANCUSKIE ZYSKI W POLSCE" NA STRONIE 84

eprasa.pl 4ac3c5591e

Z Michałem Wosiem, sekretarzem stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości
rozmawia Maciej Pieczyński

Prawo UE na pewno nie ma pierwszeństwa przed naszą konstytucją

MACIEJ PIECZYŃSKI: W UE panuje niezapisana w traktatach, ale usankcjonowana orzecznictwem TSUE zasada pierwszeństwa prawa wspólnotowego przed krajowym. Jak ocenia pan, jako prawnik, słuszność tej zasady?

MICHAŁ WOŚ: Przede wszystkim źródłem obowiązującego w Polsce prawa jest konstytucja i ona określa, jakie są inne źródła prawa i ich hierarchia. Wiele państw odrzuciło forsowaną przez instytucje europejskie wyższość prawa unijnego nad narodową tożsamością ustrojową. W tym duchu są utrzymane orzeczenia trybunałów konstytucyjnych niemieckiego, rumuńskiego czy nawet rady stanu we Francji. Eurokraci, federaliści europejscy dążą do powstania państwa europejskiego na grobach państw narodowych. Mówią oni o projekcie Stanów Zjednoczonych Europy – jak szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen w jednym z wywiadów. Historyczne doświadczenia Polaków prowadzą raczej do nazywania tego Związkiem Socjalistycznych Republik Europejskich, bo do 1989 r. decyzyjność też leżała poza Warszawą. Warunkiem koniecznym do powstania tego ponadnarodowego państwa jest wyższość prawa europejskiego, dlatego z taką mocą i wszystkimi metodami – także przez aktywizm sędziowski w orzeczeniach TSUE – próbuje się rozszerzać kompetencje unii.

Czy Polska generalnie tej zasady przestrzega? I czy powinna jej przestrzegać?

Podstawowym problemem nie jest zasada pierwszeństwa, tylko jej interpretacja: to, do czego się ta zasada ma odnosić. Bez dobrze rozumianej zasady pierwszeństwa prawa europejskiego nie byłaby możliwa chociażby harmonizacja rynku wewnętrznego. Problem pojawia się po stronie UE, kiedy pozaprawnie, bez podstawy traktatowej, próbuje rozszerzać swoje kompetencje i do tych „nowych" kompetencji stosować prymat prawa europejskiego. A tak to nie działa.

W traktatach są jasno określone kompetencje UE i jasno określone kompetencje państw narodowych oraz katalog tzw. kompetencji współdzielonych. W naszej konstytucji jest jasno określone, że konstytucja ma zawsze pierwszeństwo. Już to spotyka się z krytyką Brukseli. Prawo UE na pewno nie ma pierwszeństwa przed naszą konstytucją – o czym opozycja często zapomina. Drugie w hierarchii – upraszczając – jest prawo unijne, ale wyłącznie w obszarze, w którym Polska przekazała kompetencje unii, a później ustawy krajowe. Podstawowy spór, który toczymy, dotyczy bezprawnego roszczenia sobie przez unię prawa do działania w obszarach, które nie leżą w jej kompetencji – jak chociażby wewnętrzna organizacja sądownictwa.

Drugi problem to daleko idąca rozszerzająca wykładania traktatów – jak w przypadku kopalni Turów. Nie ma w traktatach podstawy prawnej do nakładania kar finansowych przed ostatecznym rozstrzygnięciem sporu. W przypadku Turowa nie przeszkadzał pani wiceprezes brak podstawy traktatowej, bo tę podstawę wyinterpretowała, naciągając jeden z artykułów. Dlatego UE nie powinna dostać od nas złamanego centa. Na marginesie: hiszpańskie media donoszą, że pani sędzia, była członek hiszpańskiego rządu, już będąc sędzią TSUE, wpłacała pieniądze na partię zrzeszoną w Europejskiej Partii Ludowej Donalda Tuska.

O czym świadczy wyrok w sprawie Turowa: o polskich zaniedbaniach, unijnej trosce o środowisko czy może znów o podwójnych standardach w UE?

Jeszcze raz podkreślę – orzeczenie w sprawie Turowa nie jest wyrokiem kończącym postępowanie, ale tzw. środkiem zabezpieczającym. Sędzia przed rozstrzygnięciem sprawy kazał zakończyć wydobycie węgla – z dnia na dzień! Nie biorąc pod uwagę, że oznacza to zamknięcie elektrowni odpowiadającej nawet za 7 proc. naszego zapotrzebowania na prąd. Sprawa dotyczy milionów osób, a zwłaszcza Bogatyni, która dodatkowo jest zaopatrywana z tego źródła w ciepłą wodę. Kuriozalne postanowienie. Do tego – skoro nie zostało wykonane – znów ta sama sędzia nałożyła na nas kary na podstawie przepisu dotyczącego spraw zakończonych! Nie spraw w toku, jak w przypadku Turowa, ale zakończonych. Bo taką przyjęła interpretację. I to w sytuacji, kiedy w okolicy i w Czechach, i w Niemczech kopalnie odkrywkowe działają w sposób niezakłócony. Już kiedyś był zbliżony rażący przykład podejścia do Polski – kiedy nasze stocznie upadły, bo UE zakazała udzielania pomocy publicznej, a w tym samym czasie stocznie niemieckie pełną garścią z takiej pomocy za zgodą UE korzystały.

Według orzeczenia polskiego Trybunału Konstytucyjnego z 2005 r. prawo UE ma

eprasa.pl 4ac3c5591e

pierwszeństwo przed polskim prawem krajowym, ale nie oznacza to, że ma pierwszeństwo również przed konstytucją. Skąd więc oburzenie Brukseli w momencie, gdy premier Morawiecki złożył do TK wniosek w sprawie kolizji norm prawa europejskiego z ustawą zasadniczą?

Eurokraci chcą zawłaszczać kolejne obszary i wchodzić w kompetencje, których nie mają. Celem jest zduszenie państw narodowych. Wniosek do TK sprowadza się do spraw oczywistych, przesądzanych już przez polski TK w 2005 r. (składowi przewodniczył Marek Safjan), a także w 2010 r. (w składzie m.in. Andrzej Rzepliński). W świetle tych orzeczeń dogmat bezkrytycznie przyjmowany przez opozycję i część środowiska sędziowskiego o wyższości porządku unijnego nad polskim porządkiem konstytucyjnym jest całkowicie nieuprawniony. Nawet ówczesny marszałek Sejmu Grzegorz Schetyna wskazywał na kompetencje TK jako tzw. sądu ostatniego słowa, także co do prawa europejskiego.

We wniosku premiera zakwestionowano przepisy, które w zaskarżonym rozumieniu uprawniają lub zobowiązują organ do odstąpienia od stosowania polskiej konstytucji lub nakazują stosować przepisy prawa w sposób niezgodny z nią. Czy trzeba bronić konstytucji przed TSUE?

To pokazuje absurdalność ostatnich orzeczeń TSUE. Jak zewnętrzna instytucja może nakazywać polskim organom działanie pozakonstytucyjne? Taka próba pozbawienia podstawowych kompetencji państwa polskiego – de facto zamach na suwerenność, agresja prawna – musi spotkać się z jednoznaczną reakcją. To zamach na praworządność.

Gdzie tak naprawdę jest jasna i nieprzekraczalna, zgodna z traktatami i orzecznictwem granica pomiędzy prawem polskim a unijnym?

Tę granicę wyznacza rozdział III naszej konstytucji. Prawo unijne, czyli traktaty – jako prawo pierwotne – i rozporządzenia/dyrektywy jako prawo wtórne, są częścią naszego porządku prawnego, dlatego że Sejm ratyfikując umowę międzynarodową, którą był traktat akcesyjny, zgodził się na przekazanie UE jako organizacji międzynarodowej kompetencji do stanowienia prawa, które jest stosowane bezpośrednio w przypadku kolizji z ustawami. Ale w obszarach, w których UE ma kompetencje. Problemami są rozszerzająca wykładania i orzecznictwo TSUE, a już w starożytnym Rzymie dostrzegali problem degeneracji organów interpretujących prawo. Quis custodiet ipsos custodes – kto strzegł będzie strażników?

FOT. ALEKSANDRA SZMIGIEL/REPORTER

A gdzie ta granica pańskim zdaniem powinna przebiegać?

Przede wszystkim granica – jasno określona – nie powinna być naruszana, a obecnie nieustanie się to dzieje przez tzw. aktywizm sędziowski w TSUE. Nie może być na to zgody Polski.

Według TSUE „kolejne nowelizacje ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa, które doprowadziły do zniesienia skutecznej kontroli sądowej rozstrzygnięć Rady o przedstawieniu prezydentowi wniosków o powołanie kandydatów na sędziów Sądu Najwyższego, mogą naruszać prawo UE". Naruszają?

Nie. UE nie ma kompetencji w zakresie organizacji wymiaru sprawiedliwości. Co więcej, nawet gdyby rozważać zaskarżalność uchwał KRS, to już TK lata temu rozstrzygnął, że finalnie decydującą rolę w powoływaniu sędziego ma prezydent – i nie jest zobowiązany kandydata przedstawionego przez KRS powołać. Zresztą wysuwany zarzut naruszania prawa przez rzekome upolitycznienie Krajowej Rady Sądownictwa jest najbardziej rażącym przykładem stosowania podwójnych standardów przez TSUE. Przecież polska KRS jest w większości złożona z sędziów powoływanych przez Sejm większością trzech piątych głosów (jak w modelu hiszpańskim) i później ci sędziowie przedstawiają kandydatury do powołania na urząd sędziego. W Niemczech odpowiednik naszego KRS nie jest złożony z sędziów, lecz wprost z polityków. Połowa to posłowie Bundestagu, połowa to ministrowie sprawiedliwości krajów związkowych. Wprost politycy w Niemczech powołują sędziów, ale to polski model rzekomo narusza praworządność. Jeszcze bezczelnie powołują się na „wyższą kulturę prawną". Na marginesie dodam, że sędziowie TSUE sami są wybierani przez polityków, więc czy sama konstrukcja TSUE wypełnia normy

eprasa.pl 4ac3c5591e

wyinterpretowane w ostatnich orzeczeniach? Co wolno wojewodzie…

Polska dotąd nie otrzymała pieniędzy z unijnego programu naprawy gospodarki po pandemii. Jak oświadczył komisarz ds. gospodarki UE Paolo Gentiloni, dodatkowym powodem ich wstrzymania jest kwestionowanie prymatu prawa unijnego nad krajowym. Pańska partia ustami Zbigniewa Ziobry ostrzegała, że powiązanie wypłaty środków unijnych z praworządnością może skończyć się źle. Ma pan teraz gorzką satysfakcję?

Od początku ostrzegaliśmy, że to nie jest powiązanie „pieniądze za praworządność", ale „pieniądze za suwerenność". UE zyskała potężne narzędzie wywierania wpływu na państwa członkowskie. I znów dzieje się to kruczkami prawnymi z czysto polityczną oceną. Komisja Europejska nie była w stanie przeforsować mechanizmu z art. 7, bo wymagało to jednomyślności, więc zaproponowany został inny wytrych. Błędem Polski była zgoda na ten mechanizm, podobnie jak na poprzednich szczytach zgoda na zaostrzenie polityki klimatycznej. Pierwsze oznacza możliwość odbierania środków – należnych przecież Polsce w zamian za otwarcie rynku. Drugie – gigantyczne podwyżki i drożyznę wywołaną tzw. podatkiem od powietrza. Przed zgodą na europejski Zielony Ład ceny emisji dwutlenku węgla nie przekraczały 20 euro za tonę CO_2, teraz po nieco ponad roku już jest 300 proc. drożej, a będzie gorzej. Ten podatek jest zabójczy dla polskiej gospodarki, a finalnie obciąża portfele Polaków.

Polsce grozi kara za niewykonanie wyroku TSUE w sprawie Izby Dyscyplinarnej. PiS zapowiedział co prawda jej likwidację, ale to wciąż tylko zapowiedzi. Tymczasem jest ponad 50 wyroków TSUE, niewykonanych przez różne kraje, w tym nawet przez Niemcy. Dlaczego więc to Polska jest na cenzurowanym?

Izba Dyscyplinarna to tylko preludium – celem jest Krajowa Rada Sądownictwa, a idąc dalej – o czym mówiłem – stworzenie precedensów w obszarach, w których UE kompetencji nie ma. Ta droga prowadzi w zamyśle do przebudowy UE w państwo. Jako Solidarna Polska opowiadamy się za pełną reformą sądownictwa. Obecne ustawy z 2017 r. w kształcie zaproponowanym przez pana prezydenta, mimo że były przedmiotem wielokrotnych uzgodnień i różnych kompromisów z UE, i tak spotkały się ze wściekłym atakiem. Wówczas opowiadaliśmy się za całościową reformą, stało się inaczej. Dlatego teraz zarówno największa partia na prawicy, jak i my, jako skromny koalicjant, uważamy, że zmiany – czy to w Sądzie Najwyższym, czy szeroko w sądownictwie – są bardzo potrzebne. Zwłaszcza że tam, gdzie pozwolono nam reformować, wyniki są bardzo dobre: ściganie mafii VAT-owskich, koniec z patologiami komorniczymi, ściągalność alimentów, informatyzacja sądownictwa – czy nawet reformy procedur sądowych przed pandemią. Te ostatnie spowodowały poprawę wskaźników sprawności w sądach, np. skrócenie czasu wyznaczenia pierwszej rozprawy. Szeroka reforma sądownictwa jest konieczna.

Decyzję Komisji Europejskiej w sprawie wstrzymania środków unijnych poparły Dania, Szwecja, Holandia i Austria. A kto może stanąć po naszej stronie?

W czasie negocjacji budżetowych te państwa w większości były w grupie tzw. skąpców. Nie jest dla mnie zaskoczeniem ich postawa.

Czy w UE obowiązują podwójne standardy i Polska jest karana tylko za to, jaka opcja rządzi aktualnie nad Wisłą?

To prawda, że Polska i Węgry są na celowniku eurokratów. Konserwatywne rządy są im solą w oku, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak bardzo są zaangażowani ideologicznie. Ideologia gender staje się obowiązującą wykładnią, a kto chce stać na straży rodziny, ten skończy bez pieniędzy. Kłamstwo „stref wolnych od LGBT" pokazało, że fakty nie mają dla nich znaczenia. Karty praw rodziny, afirmację małżeństwa zgodnie z naszą konstytucyjną definicją nazywają homofobią. Wielkim błędem Polski było przyznanie UE kompetencji do zawieszania środków – bo to ideologiczna pałka, używana na podstawie ocennych kryteriów politycznych, a nie twardego prawa.

Możemy się zżymać na hipokryzję eurokratów, ale faktem jest, że wojna polskiego rządu z UE trwa permanentnie od wielu lat i wiele już razy Warszawa musiała ustąpić. Być może również tym razem trzeba będzie się wycofać, żeby nie stracić miliardów euro na odbudowę po pandemii. Co Polska może i co powinna zrobić, żeby uniknąć drakońskich kar?

Po pierwsze, byłoby to działanie bezprawne, bo w ratyfikowanej przez Polskę zgodzie na zaciągnięcie przez UE gigantycznych kredytów na fundusz odbudowy nie przewidziano mechanizmu zawieszania tych środków, których Polska także jest żyrantem. Zgoda na mechanizm „pieniądze za suwerenność" dotyczy budżetu EU, a nie funduszu odbudowy. Dlatego takie „zawieszanie", przedłużanie procedury jest bezprawne. Po drugie, proszę pamiętać – a pokazał to najnowszy raport przygotowany pod kierunkiem prof. T. Grossego (UW) i prof. Z. Krysiaka (SGH) na zlecenie europosłów SP – lwia część środków przekazywanych Polsce jest elementem napędzania koniunktury wielu spółek i korporacji europejskich działających w Polsce. Później wypracowane w Polsce środki są transferowane w formie dywidend z powrotem na terytoria państwa tzw. starej Unii. Dlatego wielu podmiotom zależy na tym, żeby te środki były dostępne, jest to w ich interesie. I w końcu przypomnę, że w czasie pandemii rządowi udało się przeznaczyć dla polskich przedsiębiorców ponad 200 mld zł wygospodarowanych własnymi siłami. Czyli mniej więcej tyle, ile wynosi przeznaczona dla Polski część funduszu odbudowy.

W ostatnich tygodniach wielu politykom PiS wyrywały się wypowiedzi o „unijnej okupacji". Jarosław Kaczyński oficjalnie się od nich odciął, ale znając antyunijną retorykę Solidarnej Polski, w pańskiej partii takie nastroje są wciąż żywe. Czy powinniśmy rozpocząć debatę o polexicie?

To my dziś stajemy za silną Unią Europejską opartą na zasadzie równości państw. Do takiej UE wstępowaliśmy. W naszym interesie, przede wszystkim geopolitycznym, jest być we wspólnocie niepodległych państw narodowych opartej na solidarności. Dlatego musimy, będąc w Unii, robić wszystko, żeby zapobiec powstaniu państwa europejskiego. Na pewno czas skończyć z bezkrytycznym podejściem do UE, z naiwnym euroentuzjazmem. Unia to obecnie gra potężnych interesów. My musimy kierować się polskim interesem, mieć oczy dookoła głowy i cały czas kalkulować. Stawianie – być może dla 80 proc. Polaków – obrazoburczych pytań, wywoływanie debaty, nie jest niczym złym. Wręcz przeciwnie. Jestem za obecnością Polski w UE, ale święte oburzenie i zakaz stawiania pytań nie są w interesie Polski. Straszenie polexitem skutecznie odwraca uwagę od podstawowych pytań o to, czym unia obecnie jest.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

Sztuka

Łukasz Warzecha

Napuszczanie przez polityków jednych grup ludzi na drugie ma u nas długą tradycję. Teraz podział przebiega między zaszczepionymi i niezaszczepionymi, z których próbuje się zrobić pariasów i obywateli drugiej kategorii

W 2007 r., gdy zbliżały się przedterminowe wybory, które miały pogrzebać szanse PiS na dalszy ciąg rządów na kolejne osiem lat, po Polsce zaczęło krążyć hasło: „Zabierz babci dowód!". Powielane przez sympatyków ówczesnej (i zarazem obecnej) opozycji miało wykpiwać chęć głosowania starszych ludzi na PiS i jednocześnie przekonywać, że dla „ratowania Polski" trzeba im utrudnić oddanie głosu. A mieli to zrobić młodzi. Bo wiadomo – na PO głosowali właśnie „młodzi, wykształceni, z dużych ośrodków", a na ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego – „starsi, z wykształceniem podstawowym, z małych miasteczek i wsi".

Mało kto wie, że autorem hasła był 27-letni informatyk, który nie miał nic wspólnego z partią Donalda Tuska i sądził, że wymyśla niewinny żart. Kiedy wokół hasła zrobiła się gigantyczna awantura, a Jarosław Kaczyński zaczął grzmieć o antypolskich działaniach, nieszczęsny młody człowiek przeraził się nie na żarty. W „Życiu Warszawy" deklarował, że własnych babcię i dziadka zamierza osobiście zawieźć do lokalu wyborczego, zaś do o. Tadeusza Rydzyka i jego słuchaczy żywi wielki szacunek.

Nie była to jeszcze epoka, w której Internet odgrywałby zasadniczą rolę w mobilizacji elektoratów. Mimo to hasło rozchodziło się błyskawicznie i do dzisiaj pozostaje jednym z najbardziej znanych politycznych sloganów – niezależnie od intencji autora. Nie jest to jednak zwykły slogan, lecz taki, który ustawiał naprzeciwko siebie dwie grupy: starszych i młodszych wyborców. Metoda okazała się chwytliwa i później sięgano po nią wielokrotnie w różnych odmianach. Zresztą stereotyp „młodzi, wykształceni" kontra „starsi, niewykształceni" był wałkowany przez lata – dopóty, dopóki nie położyło mu kresu słynne badanie „Raport z Miastka" dr. Macieja Gduli, dziś posła Lewicy.

Z HISTORII NAGANIANIA

Nie był to jednak pierwszy raz, gdy politycy postanowili osiągnąć sukces poprzez naganianie na siebie dwóch grup obywateli. Prekursorem był prawdopodobnie Jarosław Kaczyński jeszcze w 2005 r., kiedy po raz pierwszy przedstawił koncepcję wojny „Polski solidarnej" z „Polską liberalną". Wówczas miało to jeszcze charakter dość teoretyczny, ale z czasem – a PiS sięgał po to przeciwstawienie jeszcze wielokrotnie – coraz wyraźniej pod te ogólne desygnaty podstawiano osoby w konkretnej sytuacji życiowej. Wielki renesans tego przeciwstawiania sobie „dwóch Polsk" nastąpił w 2015 r. Beata Szydło już jako premier niezliczoną liczbę razy sięgała po określenie „zwykli Polacy", mając na myśli tych, którym się w III RP nie powiodło. Naprzeciw nich mieli być kombinatorzy, oszuści, wyzyskiwacze, a w najlepszym przypadku „bogacze", do której to grupy właściwie automatycznie zaliczano wszystkich tych, którzy jakiś sukces, nawet bardzo względny, odnieśli.

Co ciekawe, Donald Tusk nigdy nie zastosował podobnego środka z odwrotnym biegunem. W reakcji na ofensywy PiS schodził raczej z linii strzału, nie wdając się w polemikę z partią Kaczyńskiego na temat tego, która z tych dwóch grup jest lepsza, ani nawet tego, czy one w ogóle istnieją w takiej postaci, jak chcieli to pokazywać oponenci. Być może wiedział po prostu, że w tej akurat konkurencji nie ma szans, więc nie warto zaczynać zawodów.

Na nowy poziom ta strategia dzielenia Polaków na moralnie lepszych i gorszych została podniesiona w tej kadencji przy okazji prezentacji Polskiego Ładu. Tutaj dostaliśmy nawet konkretną granicę, od której zaczynają się przedstawiciele „Polski liberalnej" – choć samo to określenie nie jest już w obiegu: 10 tys. zł brutto. To „bogacze", których majątki trzeba uszczuplić, żeby potraktować sprawiedliwie „zwykłych Polaków".

Druga strona politycznego sporu ma również swoje kryteria podziału, według których jedni są podszczuwani na drugich. Bardzo wyraźnie pobrzmiewało to w głośnej wypowiedzi Sławomira Nitrasa na Campusie Polska Przyszłości o „opiłowaniu katolików" z przywilejów, którą to wypowiedź trochę nie wprost potępił później na kongresie PO Donald Tusk. Nitras nie był tu oczywiście prekursorem, a jedynie podpiął się do nurtu istniejącego już dawno. W ekstremalnej postaci jego przedstawicielami są środowiska skrajnej lewicy, nierzadko zajmujące się prowokacjami, tak jak nieistniejący już kolektyw Stop Bzdurom.

Niestety, ta strategia okazała się wyjątkowo skuteczna, co ostatnio pokazał szeroko komentowany faceobookowy wpis ks. Bartka Rajewskiego o tym, co spotkało go na ulicach Krakowa i Łodzi w sierpniu i we wrześniu. „Miałem koloratkę, więc nie dało się ukryć (nie miałem

eprasa.pl 4ac3c5591e

FOT. ADOBE STOCK

szczucia

nawet takiego zamiaru), że jestem księdzem. Już po chwili, gdy znalazłem się na Rynku, usłyszałem młodych ludzi, którzy krzyczeli za mną: »Pedofilu! Mendo!« itp. epitety. Kilka minut później, przechodząc obok ogródka restauracyjnego, zostałem nazwany gwałcicielem. Powiedział to mężczyzna, który w restauracji był w towarzystwie kobiety i dzieci. Później jeszcze, wychodząc z Rynku, grupka młodzieży krzyczała za mną: »Ty k…o!«" – opisywał duchowny. Podobne przygody spotkały go w Łodzi. Ksiądz Rajewski nie jest niestety odosobnionym przypadkiem, a bywało, że księża byli atakowani nie tylko werbalnie, lecz także fizycznie. Ksiądz Rajewski z goryczą wspomina, że w zlaicyzowanym i wielokulturowym Londynie, gdzie mieszka na stałe, nigdy nic podobnego mu się nie przytrafiło.

Apogeum nastąpiło podczas demonstracji strajku kobiet, kiedy to dochodziło do fizycznych ataków na świątynie. Trzeba zauważyć, że kierunek emocji jest tu właściwie jeden: to napędzani złymi emocjami antyklerykałowie i wojujący ateiści walczą, czasem nawet dosłownie, z Kościołem, księżmi, wierzącymi. W drugą stronę to nie działa. Nie słyszałem o demonstracji katolików, którzy żądaliby, aby wprowadzono zakaz publicznego głoszenia ateizmu czy krytykowania Kościoła i jego hierarchów.

Strategii podszczuwania jednych na drugich czasami próbuje się też sektorowo. Widać to już – choć to na razie dopiero początek – w kwestiach klimatycznych. Klimatyści sięgają tutaj niezmiennie po stygmatyzujące sformułowanie „negacjonizm", nawiązujące do zaprzeczania Holokaustowi. Jest ono przyklejane wszystkim tym, którzy ośmielają się nie podzielać fanatycznej wizji nadchodzącego klimatycznego armagedonu lub tylko kwestionują metody, jakimi zamierza się z nim walczyć. Ten podział ma niewątpliwie potencjał, a wobec tego, że koszty klimatycznej rewolucji będą w najbliższym czasie lawinowo rosły, z pewnością się zaogni.

NA NIESZCZEPIONYCH

Wszystko to jednak blednie wobec najnowszego aktu szczucia z pandemią w tle. W tej akcji ręka w rękę idą przedstawiciele władzy i dużej części opozycji, a określenia, które pojawiają się w wypowiedziach niektórych, przebijają wszystko, co dotąd padało. Mamy więc niezaszczepionych jako „siewców śmierci", „potencjalnych zabójców", a w najlepszym przypadku „płaskoziemców" lub „foliarzy". Tę narrację podbijają bardzo chętnie media publiczne. Ofiarą tej akcji padają również lekarze, którzy ośmielają się wyrażać wątpliwości i nie przyklaskiwać obowiązującej linii, a także publicyści czy dziennikarze, którzy idą własną drogą.

Jak to zwykle bywa, nie ma tu półcieni ani żadnych subtelności, bo akcje wzajemnego podszczuwania na siebie grup ludzi w takie rozróżnienia nie brną. To proste zasady psychologii społecznej – jeśli chce się pobudzić negatywne emocje, to przekaz musi być prosty, by nie rzec: prostacki.

W tym przypadku jest jeszcze jedna różnica z wcześniejszymi taktykami naganiania na siebie dwóch grup: mamy tu przygotowane rozwiązania prawne, ugruntowujące podział na dwie grupy, a dotyczące codziennego życia. Akt nowelizujący ustawę o zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych z 2008 r. jest już w Sejmie, choć na razie nie został wprowadzony pod obrady. Wprowadza on m.in. faktyczną możliwość stosowania sankcji przez pracodawców wobec niezaszczepionych pracowników, dając w ten sposób prawną podstawę do wprowadzenia już całkiem formalnego apartheidu szczepionkowego. Nie ma wątpliwości, że poszłoby za tym wzmocnienie akcji szczucia na sceptyków, którzy – co trzeba przypominać do znudzenia – nie są w ogromnej większości antyszczepionkowcami, a więc wrogami szczepień w ogóle, a jedynie mają wątpliwości wobec tych konkretnych szczepionek oraz sposobu ich ordynowania (trzecia dawka, czwarta dawka i brak perspektywy zakończenia tej karuzeli, a także szczepienie dzieci).

Nie trzeba być specjalnie przenikliwym, by dostrzec, że prowadzenie polityki w oparciu o takie taktyki – i to od lat, na coraz to nowych frontach – ma destrukcyjne skutki. Rozgrywek, w ramach których kreuje się dwa obozy, zachęcane do toczenia zaciętej walki, można by wymienić jeszcze wiele. Obowiązuje tutaj podejście wojenne, zgodnie z którym w czasie starcia nie zadaje się zbędnych pytań, a druga strona nie ma zostać przekonana lub nie ma się z nią zawierać kompromisu, lecz ma zostać zniszczona – przynajmniej w sensie politycznym i społecznym. A przynajmniej zgnębiona i pokonana. „Bogaczom" trzeba zabrać, bo dorobili się na ludzkiej krzywdzie. Z niezaszczepionych trzeba zrobić pariasów i obywateli drugiej kategorii, bo są potencjalnymi mordercami. Katolików trzeba z ich „zabobonami" zapędzić do kruchty, bo się panoszą i popierają „pedofilską organizację". I tak dalej, i tak dalej. Atakowani będą się zaś, co oczywiste, bronić.

Owszem, żyjemy w czasie, gdy ludzie dzielą się bardzo radykalnie nawet bez zachęty polityków. Nie znaczy to jednak, że należy te tendencje wzmacniać, manipulować nimi i pogrywać. Szczególnie że łatwo mogą się wymknąć spod kontroli, co zresztą w sprawie epidemii właściwie już nastąpiło.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

Echa felietonu „Gdzie jest grypa?”

Jeden z naszych Czytelników zarzucił Jerzemu Karwelisowi podanie nieprawdziwych informacji w felietonie „Gdzie jest grypa?” („DRz” 37/2021). Poniżej publikujemy listy w tej sprawie i odpowiedź autora

Szanowni Państwo,
jestem Państwa stałym czytelnikiem jeszcze od czasów pierwszych numerów „Uważam Rze”. Cenię otwartość Redakcji na często różne poglądy i nieraz trwające wiele numerów debaty i dyskusje na przeróżne tematy. Oczywiście nie zawsze ze wszystkimi tezami się zgadzam, ale cieszę się, że mam okazję je poznać. Nie mogę jednak pozostawić bez reakcji informacji fałszywych.

*Pan Jerzy Karwelis w felietonie „Gdzie jest grypa?” w nr 37/2021 porusza ciekawy temat praktycznego zniknięcia wirusa grypy od czasu rozpoczęcia pandemii COVID-19. Jest to interesujący wątek analizowany w prasie naukowej i popularnonaukowej, np. „Scientific American” **(https://www.scientificamerican.com/article/flu-has-disappeared-worldwide-during-the-covid-pandemic1)** czy „Journal of Medical Virology” **(https://doi.org/10.1002/jmv.27321)**. Pozostaje na razie dyskusyjna kwestia, czy przyczyną drastycznego spadku liczby zakażeń wirusami grypy są ograniczenia w kontaktach społecznych i wzmożony (czasem przesadnie) reżim sanitarny czy też wyparcie wirusów grypy z ich niszy ekologicznej przez koronawirusy. Swoją drogą, pomimo co najmniej stuletnich zmagań z grypą, nadal niejasne jest, dlaczego szczyty zakażeń wirusami influenza przypadają na ogół w lutym/marcu z gwałtownym spadkiem zachorowań po szczycie, podczas gdy inne wirusy preferują raczej zimniejsze miesiące.*

*Pan Jerzy Karwelis w swoim felietonie powiela nieprawdziwą informację, jakoby amerykańskie CDC [Centers for Disease Control and Prevention – red.] wycofywały stosowany dotychczas test PCR identyfikujący wirusa SARS-CoV-2 z powodu rzekomych fałszywie pozytywnych wyników w przypadku obecności wirusa grypy w próbce. W rzeczywistości zarówno oficjalne komunikaty CDC, jak i doniesienia prasowe podają, że test ten zarówno prawidłowo identyfikował wirusa SARS-CoV-2, jak i nie wykazywał pozytywnej reakcji w przypadku wirusa influenza. Powodem zmiany testu jest wprowadzenie jako rekomendowanych „lepszych” zestawów – identyfikujących i rozróżniających jednocześnie w próbce zarówno jednego, jak i drugiego wirusa. Dotychczasowy test rozpoznawał tylko wirusa SARS-CoV-2, nowy rozpozna oba i pozwoli na ich odróżnienie. Źródło: **(https://www.cdc.gov/csels/dls/locs/2021/07-21-2021-lab-alert-Changes_CDC_RT-PCR_SARS-CoV-2_Testing_1.html)**.*

Jednocześnie muszę wspomnieć, że w Polsce od samego początku pandemii w szpitalach, w których pracowałem, zalecane było wykonywanie u pacjentów objawowych również testów genetycznych w kierunku grypy. Ponadto w wielu ośrodkach już od początku 2021 r. stosowane są szybkie testy PCR, szersze niż te, które będą teraz zalecane przez CDC, to jest takie, które jednocześnie różnicują wirusy SARS-CoV-2, influenza A i B oraz RSV.

Nie neguję, że część obostrzeń uzasadnianych pandemią jest bezsensowna, szkodliwa lub zbędna. Jednakże główna teza felietonu Pana Redaktora jest moim zdaniem nieprawdziwa. Proszę o sprostowanie lub podanie źródeł, na których Pan Jerzy Karwelis ją opiera. Mam nadzieję, że powielenie tej nieprawdziwej informacji wynika z błędnego zrozumienia źródeł, a nie z celowej manipulacji.

Z wyrazami szacunku
lek. Paweł Kram

Pozdrawiam całą redakcję. Robią Państwo dobrą robotę.

Od autora

A więc po kolei. Pan Paweł Kram zarzuca mi pisanie nieprawdy, posługując się kilkoma argumentami, w dodatku ze sobą powiązanymi. Założenie wyjściowe – tu się zgadzamy – że mamy do czynienia z fenomenem zniknięcia grypy. Pan doktor składa to na karb albo lepszego distancingu wymuszonego obostrzeniami, albo na wyparcie z tzw. niszy ekologicznej grypy przez koronawirusa.

*Pierwszy argument jest słaby, bo niby przez maseczkowanie i distancing grypa zniknęła, ale koronawirus już nie. W dodatku ta teza zakłada, że distancing działa, a to wcale nie jest pewne. Ponieważ pan doktor wzywa do posługiwania się źródłami na poparcia tez, odpowiadam. Nieskuteczność maseczek – słynne badania z Danii **(https://www.rp.pl/swiat/art416471-dunskie-badanie-nie-ma-dowodow-ze-maska-chroni-osobe-ktora-ja-nosi)** czy obliczenia dokonane przez naukowców z Norwegii, że aby uchronić od jednego zakażenia, 200 tys. osób musiałoby nosić maseczki nieustannie przez tydzień **(https://nczas.com/2020/10/09/prawdziwe-fakty-na-temat-skuteczności-maseczek-naukowcy-obalaja-wiele-popularnych-mitow/)**. Wreszcie dla leniwych: oto publikacja zbioru 47 badań nad maseczkami z całego świata, gdzie wykazana jest i nieskuteczność maseczek, i nawet ich szkodliwość **(https://www.lifesitenews.com/news/47-studies-confirm-inefectiveness-of-masks-for-covid-and-32-more-confirm-their-negative-health-effects/)**.*

Jest też koncepcja, że koronawirus wyparł grypę, bo nie ma dla niej miejsca, jakby pula patogenów była jakąś stałą całością o sumie zerowej. No to proszę: diagnozowanie grypy odbywało się u lekarzy i organoleptycznie, testów na grypę przeprowadzało się niewiele i nie wiadomo, czy np. gdyby w czasie

eprasa.pl 4ac3c5591e

epidemii grypy w 2017 r. zbadać testami PCR objawowych, to może by się pokazały pozytywne wyniki. Wykazał to przykład pozytywnych wyników testów PCR przeprowadzonych w Paryżu na próbkach krwi pobranych jeszcze we wrześniu 2019 r., kiedy o koronawirusie słyszeli tylko medycy w laboratorium w Wuhan. Ale tu tym razem testujemy wirusa i on nam daje diagnozę. Zobaczmy, jak wyglądała ta nisza w postulowanych przez pana doktora miesiącach: przed pandemią, 2019 r., grypa: luty – 821 653, marzec – 581 653 zakażenia. Teraz koronawirus – skoro wyparł grypę, to popatrzmy, czy i jak, a więc luty – 195 953 (jeden koronawirus „wyparł" ponad cztery grypy) i marzec – 644 092 (tu prawie równo – 1:1). Dziwna więc ta nisza.

W ten sam sposób koronawirus „wyparł" np. raka, bo – jak wykazałem w swoim „Dzienniku zarazy" – na podstawie oficjalnych danych ***(https://dziennikzarazy.pl/21-09-prawdziwy-bilans-ofiar-kowida/)****, w samym okresie marzec–maj 2020 r. w porównaniu ze średnią krajową kart DILO (czyli zdiagnozowanych rakowców do kuracji) wydano o 18 tys. mniej niż w latach ubiegłych. To wcale nie znaczy przecież, że wyparł raka koronawirus w swojej niszy, ale że ci niezdiagnozowani nieszczęśnicy chodzą po ulicach i tworzą obecnie falę zalewających szpitale onkologiczne przenoszonych przypadków. Tak samo jest, moim zdaniem, z „niszą" grypową. Uważam więc, że rzecz nie w niszach i cudach distancingu, ale w metodzie, czyli testach.*

Co do CDC i tego, że moim zdaniem wycofała istniejące testy z powodu tego, że co najmniej zaliczały grypę jako pozytywny wynik, czyli myliły COVID z grypą. To nie tylko moja teza, ale i logika, która tłumaczy ten fenomen, mam nadzieję, że powyżej podważony co do tez doktora w związku z jego występowaniem. Ja uważam, że CDC to zrobiło ze wspomnianych przeze mnie powodów, ale rzecz jasna opowiedziało to inaczej. CDC w czerwcu 2020 r. na swoich stronach napisało: „Odczynniki wyprodukowane z tych sekwencji nie mogą być używane do testów diagnostycznych na podstawie autoryzacji FDA Panelu Diagnostycznego CDC 2019-nCoV Real-Time RT-PCR". Źródło: ***https://www.cdc.gov/coronavirus/2019-ncov/lab/rt-pcr-panel-primer-probes.html****. Co oznacza wielokrotnie potwierdzoną tezę, że testy PCR nie nadają się na złoty standard badań i muszą być potwierdzone innymi badaniami, w tym bezpośrednimi badaniami przez lekarza (jak, skoro teleporady?). W lipcu tego roku FDA na podstawie badań CDC stwierdziła, że obecne testy PCR nie są miarodajne i nie różnicują grypy i COVID (a nie, jak napisał pan doktor, że pokazują TYLKO COVID, a grypy nie) –* ***(https://streetloc.com/page/view-news?id=1565)****. I dopiero po tym WYCOFANIU sugeruje, by stosować metodę multipleksową, czyli rozróżniającą COVID i wirusy grypy.*

Chodzi o to, że CDC opracowała w lipcu 2020 r. drugi standard: CDC Influenza SARS CoV-2 (Flu SC2) Multiplex Assay, ale do niedawna stosowała ten pierwszy, stary, który rodził wiele wątpliwości co do jego zbytniej czułości. Ten drugi ma rozpoznawać i różnicować COVID od wirusów grypy typu A i B, bez różnicowania typu RSV, jak pisze pan doktor. Zobaczymy teraz, jak to będzie, kto i jak będzie stosował jakie typy testów i zobaczymy, czy grypa zniknęła jak zaczarowana na szkoleniach Harry'ego Pottera, czy ukrywała się dotąd pod parasolem przeczulonych testów PCR.

Zresztą cała technologia testów na bazie mRNA używanych do detekcji koronawirusa jest od dawna kwestionowana przez wielu lekarzy, w tym przez jej twórcę Roberta Malone'a, który został za swe „zbrodnicze" poglądy usunięty nawet z Wikipedii, notka o nim jest zaś tylko po niemiecku i francusku ***(https://konkret24.tvn24.pl/swiat,109/tworca-szczepionki-mrna-usuniety-z-wikipedii-za-krytyke-szczepien-nie-jest-jej-tworca-problem-jest-inny,1069913.html)****. Na temat wątpliwości testów wypowiedziało się wiele lekarskich sław. Wszystkich, którzy chcą pogłębić temat, odsyłam do książki, zbioru wypowiedzi i opracowań naukowców na ten temat „Fałszywa pandemia 2. Testy PCR" lub mojego jej omówienia* ***(https://dziennikzarazy.pl/9-12-testy-zebra-na-pasach/)****.*

Pan doktor wspomina, że przecież grypę się wciąż testuje w szpitalach, to znaczy pisze, że są takie „zalecenia", a więc grypa by „wyszła", gdyby się gdzieś nie schowała. Tak? 3 marca 2021 r. (czyli szczyt „niszy" koronawirusa, który wyparł grypę) NIZP-PZH informuje (alarmuje?), że do tej pory wykonano jedynie kilkaset testów na grypę. ***(https://konkret24.tvn24.pl/zdrowie,110/duzo-mniej-testow-na-grype-nie-jest-grozna-czy-lekarze-nie-pobieraja-probek,1051361.html)****. A ile milionów testów wykonano na koronawirusa? Czy to nie jest samosprawdzająca się przepowiednia, panie doktorze? Pytanie kontrolne do pana doktora, które może ułatwić odpowiedź – czy za wykrycie koronawirusa i jego leczenie dostaje się takie same dodatki jak za grypę?*

Główna teza pana doktora jest oparta na tym, że poprzedni test mierzył tylko koronawirusa (niczego innego nie łapał), a teraz będzie łapał i to, i to. Chodzi o to, że poprzedni test miał odpowiedni poziom swoistości, to znaczy zbadano go, czy działa na różne wirusy, i na inne wirusy nie działał. Ale jak to zrobiono? Skąd było wiadomo, że ten, na którego wskazał test, chorował TYLKO na wirusa? Zbadano go testem PCR, czyli takim samym? Po objawach? Jakich innych niż grypowe? Czyli zapętliliśmy się, bo testowaliśmy testy tymi samymi testami. Tę swoistość wykazała przede wszystkim praktyka. W ten sposób, korzystając ze złotego standardu testów PCR, odkryto wirusa u: jeleni amerykańskich, kotów, tygrysów, lwów, kóz, rzecz jasna bezobjawowych, bo np. na okoliczność utraty zmysłów smaku czy powonienia pacjenci nie udzielili miarodajnych odpowiedzi. Sprawę podkręcił prezydent Tanzanii Magufuli, który wysłał pobrane próbki do badań w instytucjach międzynarodowych i na próbkach pobranych z papai i oleju silnikowego uzyskał pozytywne rezultaty z testów PCR ***(https://wgospodarce.pl/informacje/79036-papaja-i-koza-zarazone-koronawirusem-testy-nie-dzialaja)****.*

Myślę, że rozwiałem wątpliwości pana doktora co do dylematu, czy jestem szurem wynajętym przez Rosjan i specjalnie dezinformuję Polaków, by ci wyginęli, a opustoszałe tereny zajęli bez jednego wystrzału Rosjanie, czy też posługuję się własnymi naiwnymi domysłami zamiast wiedzy fachowej. Wydaje się, że w tym wypadku mamy jednak do czynienia z tertium datur.

Jerzy Karwelis

eprasa.pl 4ac3c5591e

Jak „Janosik” napadł na Polskę

Jan Bogatko

Wrzesień, kolejna rocznica rozbioru Polski między agresorami w roku 1939. Dwóch z nich w zasadzie zna każdy. Trzeci napastnik wydaje się być zapomniany

eprasa.pl 4ac3c5591e

Generał Ferdinand Čatloš odznacza Niemców w szeregach armii Słowacji

FOT. DOMENA PUBLICZNA

O trzecim napastniku nie znalazłem ani słowa w „rocznicowej" prasie polskiej we wrześniu 2021 r. A mam przed oczyma dwie dokumentalne fotografie, jedną znaną chyba wszystkim: Brześć nad Bugiem, stolica województwa poleskiego, niemieccy i rosyjscy okupanci podczas przyjacielskiej pogawędki we wrześniu 1939 r. I drugą, mniej znaną. Z Komańczy. Tej samej daty. Żołnierze niemieccy radują się z żołnierzami słowackimi z antypolskiego braterstwa broni.

Kiedy Czechosłowacja, sztuczne państwo, pozbawione wspólnej tradycji (co potwierdziła skutecznie historia najnowsza), przestała istnieć mimo „gwarancji" francuskich dla I Republiki Czechosłowackiej, Słowacy utworzyli 14 marca 1939 r. swe pierwsze w historii państwo ze stolicą w Bratysławie (mimo początkowych roszczeń węgierskich wobec miasta Pozsony, jak nazywa się Bratysława po węgiersku; było to swego czasu miasto koronacyjne węgierskich monarchów, dawna polska nazwa Pożoń). Do pierwszej wojny światowej – od 1031 r. – Słowacja stanowiła część Węgier. Prawie tysiąc lat. Bratysława w 1920 r. była etnicznie i kulturowo miastem bezsprzecznie węgierskim, o sporym odsetku mieszkańców austriackich; stolica Słowacji nie była etnicznie słowacka (podobnie jak stolica Litwy, Kowno, w tym okresie nie była etnicznie litewska, lecz polska, aż dokończono przymusową lituanizację). Im nowsze państwo, tym bardziej nacjonalistyczne. Słowacja z roku 1939 jest tego kolejnym dowodem.

PIERWSZY SOJUSZNIK HITLERA

Mamy zatem rok 1939. Z uwagi na konflikt z Węgrami rząd słowacki podpisał z Niemcami 23 marca 1939 r. w Wiedniu układ o ochronie (Schutzvertrag). Do tego układu, podpisanego przez Słowację niewątpliwie nie bez presji Berlina, dołączono tajny protokół. Słowacja stała się pierwszym (przed sowiecką Rosją) sojusznikiem Hitlera w Europie Środkowej i Wschodniej ze wszystkimi wynikającymi z tego faktu konsekwencjami. Prowadziło to nieuchronnie do braterstwa broni z Berlinem, a zatem do udziału w niemiecko-rosyjskiej agresji na Polskę. Dlatego nieuchronnie, ponieważ Słowacja – podobnie jak Rosja czy Litwa – wysuwała przeciwko Polsce roszczenia terytorialne, których realizacja była celem udziału w kolejnym rozbiorze Polski, tym razem już w wieku XX.

O napaści Słowacji na Polskę w 1939 r. pisałem w przeszłości wielokrotnie. Pominąłbym zapewne we wrześniu 2021 r. ten temat, gdyby nie sprowokowała mnie do zabrania głosu polityk lewicy, Anna Maria Żukowska. Media opisują ją jako osobę wszechstronnie wykształconą: i tak poseł SLD na Sejm posiada licencjat z filologii angielskiej i magisterium z prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Działa (lub działała) również w licznych organizacjach, takich jak Żydowska Ogólnopolska Organizacja Młodzieżowa, czy w komitecie organizacyjnym Parady Równości LGBT itd. w Warszawie (rocznik 1983). Otóż Anna Maria Żukowska napisała na Twitterze coś (w odpowiedzi dziennikarzowi Marcinowi Zaborowskiemu), co wywołało moje zdziwienie. Zaborowski stwierdził: „Klękanie na stadionie nie jest w Polsce zrozumiane, ale powinno być respektowane. W przeciwieństwie do Anglików nie mamy kolonialnej historii". Żukowska odpowiedziała: „Mamy. Przez wieki kolonizowaliśmy dzisiejsze: Litwę, Białoruś, Ukrainę, Słowację…".

Wróćmy więc na Słowację, do pamiętnego roku 1939. Otóż wówczas formalnie niepodległa Słowacja rozpoczęła wspólnie z Niemcami przygotowania do projektu „Fall Weiss", planu napaści na Polskę. Było to dla III Rzeszy bezcenne, zwłaszcza po odmowie ze strony Węgier wsparcia Hitlera w agresji na Polskę. Granica słowacko-polska – ok. 500 km – zapewniała nazistowskim Niemcom (przy współpracy z Rosją Sowiecką) niemal całkowite okrążenie terytorium Polski. Niemcy z miejsca przystąpiły do tworzenia baz wojskowych na terytorium państwa słowackiego, zwłaszcza lotnisk umożliwiających przy bezchmurnym, wrześniowym niebie naloty na polskie miasta. Jedna z takich niemieckich baz lotniczych powstała w Spiskiej Wsi (miasto to należało do Polski przez trzy i pół wieku, w 1769 r. Habsburgowie oderwali je od Polski, włączając do Węgier).

APETYT NA POLSKIE ZIEMIE

Słowacja i III Rzesza podpisały 12 sierpnia 1939 r. (a zatem przed paktem Hitler-Stalin) układ wojskowy, regulujący współdziałanie obu armii w ataku na Polskę. Słowacy obiecywali sobie po wojnie z Polską wiele nabytków terytorialnych (większość z nich Słowacja, a właściwie Czechosłowacja, utrzymała po drugiej wojnie światowej, co wskazuje na opłacalność dla Słowacji sojuszu z Hitlerem). W tym

eprasa.pl 4ac3c5591e

celu Bratysława gorączkowo przystąpiła do organizacji wielkiej jak na ten mały kraj armii, która docelowo liczyć miała 150 tys. żołnierzy. Jedną trzecią planowanego stanu miano rzucić do walki z Polską. Organizowanej armii nadano kryptonim Bernolák (na cześć Antona Bernoláka, 1762–1813, pioniera słowackiego nacjonalizmu, autora pierwszej gramatyki języka słowackiego), a na jej czele postawiono świeżo w tym celu awansowego generała, Ferdinanda Čatloša (dożył sędziwego wieku, zmarł w 1972 r., pracując jako urzędnik w Czechosłowacji, co też czegoś w końcu dowodzi).

1 września 1939 r. o świcie, bez wypowiedzenia wojny, tak samo jak Niemcy i 17 dni później Rosjanie, Słowacy wtargnęli do Polski. Bratysława niedwuznacznie podała jako powód bezprawnego działania konflikt o Spisz i Orawę. Armię słowacką tworzyły: pierwsza dywizja piechoty (kryptonim Janosik), druga dywizja piechoty (kryptonim Škultéty) oraz trzecia dywizja piechoty (kryptonim Rázus). Później do trzech jednostek dodano czwartą grupę – szybką brygadę (kryptonim Kalinčak).

17 września, już po agresji Rosji Sowieckiej na Polskę, Słowacy rzucili do walki przeciwko Polsce swoje lotnictwo. Nowo utworzona armia słowacka miała za bojowe zadanie osłonę wschodniego skrzydła niemieckiej 14. Armii gen. Wilhelma Lista (1880–1971, marszałek polny, zbrodniarz wojenny, zwolniony z więzienia z uwagi na zły stan zdrowia w 1952 r.). Celem strategicznym Słowaków było opanowanie południowych rubieży województw krakowskiego i lwowskiego.

Spójrzmy na mapę teatru wojny. Oto cele słowackiej armii gen. Ferdinanda Čatloša: Niedzica, Zakopane, Krynica, Komańcza (to tu zrobiono słynne zdjęcie ilustrujące niemiecko-słowackie braterstwo broni), Sanok i Lesko. I nie była to jedynie demonstracja siły. Od kul agresora ginęli Polacy. Słowacy zajęli Zakopane już pierwszego dnia wojny (1. Dywizja, kryptonim Janosik). Zaskoczenie mieszkańców zimowej stolicy Polski musiało być niemałe. Doszło do krwawych walk agresora ze Strażą Graniczną i z Korpusem Ochrony Pogranicza pod Nowym Targiem. Wreszcie – zacięty bój o Ochotnicę, trwający do 6 września. Tego to dnia „Janosik" zajął Muszynę.

2. Dywizja piechoty oraz szybka brygada (kryptonim Kalinčak) weszły do Polski w drugim tygodniu wojny po tym, jak przywitał je 1 września ogień polskiej 2. Brygady Górskiej. Polacy nie tylko się bronili, lecz także ruszyli do kontrataku przeciwko Słowakom: z 1 na 2 września 1. Kompania Batalionu KOP „Żatyń" zajęła zgoła na krótko Mniszek nad Popradem, Kače i Pilchowczyk. 3. Dywizja armii słowackiej o kryptonimie Rázus ma na swym honorze czerwoną plamę: dopuściła się zbrodni wojennej na posterunku granicznym w Barwinku. Do budynku Słowacy zwabili oficera, dowódcę 1. Plutonu 1. Kompanii 1. Batalionu „Dukla" 2. Pułku Piechoty KOP „Karpaty", por. Rajmunda Świętochowskiego, a następnie zastrzelili go przy świadkach.

1 września 1939 r. o świcie, tak samo jak Niemcy i potem Rosjanie, bez wypowiedzenia wojny Słowacy wtargnęli do Polski

W wyniku udanej operacji wojsk słowackich przeciwko Polsce Adolf Hitler 21 listopada 1939 r. w Berlinie na konferencji szefa niemieckiej dyplomacji, Joachima von Ribbentropa, i ministra pełnomocnego Republiki Słowackiej Matúša Černáka zaoferował Słowacji korektę granic w podbitej Polsce. Bratysława otrzymała w jej wyniku 732 km kw. ziem polskich, zamieszkałych przez ponad 30 tys. osób (ok. 30 miejscowości). Podobno szczodrość Führera dla „narodu słowackiego" wywołała zdziwienie u samych Słowaków, doskonale zdających sobie sprawę z faktu, że na przyłączonych terenach Słowaków nie było.

Statystyki poległych w wyniku słowackiej agresji po obu stronach są niepełne i wykazują poważne luki. Więcej wiadomo natomiast o polskich jeńcach wojennych na Słowacji. Do obozów jenieckich trafiło 1350 żołnierzy z polskich ugrupowań (wojsko i KOP). Pierwsi z nich znaleźli się w niewoli już 1 września, ostatni – 22 września. Już w październiku polscy jeńcy podejmowali próby ucieczki. Wiele z nich kończyło się tragicznie – od grudnia 1939 r. do stycznia 1940 r. Słowacy zastrzelili czterech polskich jeńców: sierż. Faustyna Rykaczewskiego, sierż. Konrada Balcerka, sierż. Augustyna Bąka i szer. Bolesława Ścisłę.

Z czasem polscy jeńcy stali się dla Słowacji poważnym obciążeniem. Było ich ponad 1,2 tys., liczba ta zmieniała się w związku z ucieczkami i zatrzymaniami. Bratysława zwróciła się do pozostałych okupantów Polski, Rosji Sowieckiej i Litwy, o zabranie osób pochodzących z ich obecnych terenów. Można powiedzieć, że na szczęście Słowacy nie otrzymali odpowiedzi. Sporą grupę jeńców Słowacy skierowali do Niemiec, z których większość trafiła do Stalagu XII A w Limburgu. W konsekwencji na Słowacji (w Oremovie) pozostało 107 jeńców pochodzących ze wschodniej Polski. Przeniesiono ich do Trnavy, gdzie mieli pracować. Bałagan organizacyjny ułatwił ucieczkę 34 Polakom, a ponieważ Słowacy bali się kompromitacji, zatajono fakt ucieczki. Potem doszło do kolejnej.

SLAWIZACJA POLSKI

Nie wysechł atrament pod układem z Ribbentropem (a nawet zanim go podpisano), gdy władze słowackie przystąpiły do tworzenia swej administracji na podbitych terenach. I do slawizacji tych terenów. Usuwano wszelkie oznaki polskości, ograniczano prawa Polaków, Żydów i Cyganów. Ze szkół usunięto język polski, za posługiwanie się nim groziły surowe kary. Polaków usuwano z pracy w administracji, szykanowano polską inteligencję. Wielu nauczycieli i urzędników wyrzucono z podbitych ziem polskich. Oznaki polskości usuwano także z kościołów (podobnie jak w Wilnie i w innych miejscowościach pod okupacją litewską w tym samym czasie). Rekwirowano, a następnie palono polskie książeczki do nabożeństwa. Polskich księży zsyłano do innych regionów Słowacji. Potem złapanych polskich kurierów Słowacy oddawali w ręce gestapo. Wreszcie ruszyły z okupowanych przez Słowację ziem polskich pierwsze państwowe transporty Żydów i Cyganów do obozów zagłady.

W 2009 r. słowacki wicepremier, Dušan Čaplovič, stwierdził, że na miejscu będą wyrazy ubolewania nad smutnym faktem, że w tragicznym wrześniu 1939 r. słowaccy żołnierze weszli na terytorium Polski u boku nazistowskiej armii niemieckiej, stąd wielu obywatelom Polski zapisali się w pamięci jako jeden z agresorów. Wyraził jednak opinię, że dzisiejsza Republika Słowacka nie jest prawnym ani historycznym następcą wojennego Państwa Słowackiego, a udział Słowacji w kampanii wrześniowej był narzucony przez zwierzchnie mocarstwo, podobnie jak udział PRL w interwencji w Czechosłowacji w 1968 r. Na skandaliczne słowa wicepremiera Polska nie zareagowała.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VI EDYCJA NAGRODY

JUŻ W GRUDNIU

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENASI:

Enea

PGNiG

eprasa.pl 4ac3c5591e

Chiński poszukiwacz złota w Kalifornii
FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

Widmo chińskiego smoka

Łukasz Czarnecki

Napoleon Bonaparte miał nazwać Chiny śpiącym olbrzymem i przestrzec przed zawirowaniami, które wstrząsną światem, gdy gigant ten się przebudzi. Przez następne 150 lat mieszkańcom Zachodu sen z powiek spędzał „żółty upiór"

Historia miewa paradoksy. Jednym z nich jest chorobliwy lęk przed Chińczykami (a później szerzej – Azjatami), który w XIX w. zrodził się w zachodnich społeczeństwach. W momencie, gdy Państwo Środka leżało rozłożone na łopatki przez kolonialne potęgi, Amerykanie, Brytyjczycy, Niemcy i inni zaczęli snuć opowieści o wzbierającej azjatyckiej fali, straszliwym „żółtym niebezpieczeństwie", które jest tuż-tuż, za rogiem, a właściwie to nawet wepchnęło już stopę w drzwi. Psychoza nie ominęła nawet Polaków, których Chińczykami straszył Roman Dmowski.

BUDDA, ARCHANIOŁ I GERMANIA

Pojęcie „żółtego niebezpieczeństwa" jako pierwszy wprowadził do dyskursu publicznego cesarz niemiecki Wilhelm II. Celem kajzera było uczynienie z rozpędzającej się germańskiej kolonizacji Chin szlachetnej krucjaty w obronie europejskiej cywilizacji. Hermann Knackfuss – popularny malarz scen historycznych – dostawszy cesarskie zlecenie, stworzył malowidło, na którym grupa niewiast będących personifikacjami narodów Europy, pod przywództwem Germanii i archanioła Michała, spogląda ze wzgórza na wschód, z którego nadciąga otoczony czarnym oparem i burzowymi chmurami złowrogi Budda. Obraz ten zatytułowano „Ludy Europy, chrońcie to, co macie najcenniejszego". Wilhelm II nakazał stworzenie wielu kopii, które rozsyłał jako prezenty innym koronowanym głowom.

Hasło świetnie się przyjęło i wkrótce było na ustach zarówno elit, jak i zwykłych ludzi. Intelektualiści Europy i USA żywo dyskutowali nad straszliwym zagrożeniem, które dla rasy kaukaskiej stanowić mieli liczni i szybko się mnożący Azjaci. Fenomen „żółtego niebezpieczeństwa" nie był jednak zasługą cesarza. Wilhelm II sformułował tylko chwytliwą nazwę na określenie koncepcji istniejącej już od dawna, zwłaszcza w krajach anglosaskich: Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. W USA wrogość do Chińczyków w chwili, gdy kajzer rozsyłał swym kuzynom kopie obrazu Knackfussa, miała już długą tradycję.

„ZŁOTA GÓRA"

Przenieśmy się do Kalifornii lat 50. XIX w. Wśród szukających tu złota śmiałków znalazła się duża grupa Chińczyków. Jedni szukali cennego kruszcu, inni świadczyli usługi poszukiwaczom. Niektórym powiodło się na tyle dobrze, że wrócili w ojczyste strony jako bogacze. Inni regularnie słali listy i pieniądze do pozostawionych w Chinach rodzin. Emigranckie opowieści o amerykańskim dostatku sprawiły, że wśród Chińczyków Stany stały się znane jako „Złota Góra", kraina, gdzie człowiek pracowity może dorobić się fortuny.

Kolejna okazja do zarobku dla kulisów pojawiła się w roku 1862, gdy ruszyła w USA budowa kolei transkontynentalnej. Pracę przy niej znalazły tłumy chińskich imigrantów. Przybysze z Państwa Środka pracowali w urągających ludzkiej godności warunkach. Równocześnie żądali o wiele mniejszych stawek niż biali. Powodowało to oczywisty wzrost napięcia – Chińczyków oskarżano o psucie rynku pracy i zabieranie jej białym. Irytację amerykańskich robotników z jednej strony można zrozumieć, z drugiej niekoniecznie miała ona racjonalne podstawy. Ludzi z Państwa Środka zatrudniano zwykle w przypadku, gdy układaniu torów towarzyszyły

eprasa.pl 4ac3c5591e

takie niebezpieczeństwa i niewygody, że nikt poza nimi nie chciał podjąć się tej pracy. Chińczycy nie tyle zabierali białym dniówki, ile wyręczali ich w najbrudniejszej i najcięższej robocie.

Po wojnie secesyjnej zrujnowane Południe przyciągnęło kolejną falę chińskiej emigracji. Na polach bawełny, dawniej uprawianych przez czarnoskórych niewolników, teraz pracowali kulisi, trudząc się w warunkach niewiele lepszych niż ich niewolni poprzednicy.

OBCY W OBCYM KRAJU

Im więcej przybyszów z Państwa Środka przyjeżdżało na „Złotą Górę", tym bardziej rzucali się w oczy tubylcom. Warto pamiętać, że choć Stany szczyciły się byciem „krajem możliwości", obiecującym lepsze jutro imigrantom, to na przybyszów, którzy nie spełniali kryteriów wzorca tzw. WASP (White Anglosaxon Protestant), patrzono wilkiem. W wielkich miastach można było oberwać za bycie włoskim, polskim lub irlandzkim katolikiem. Skoro nawet biały białemu nie był równy, to odróżniający się pod każdym względem od WASP Chińczycy, mający egzotyczną fizjonomię, dziwne obyczaje i niezrozumiały dla sąsiadów język, mieli jeszcze bardziej pod górkę. Gdziekolwiek się pojawili, traktowano ich jako element obcy i niepożądany.

Temat rzekomej chińskiej inwazji z lubością podchwyciła amerykańska prasa. W rozsiewaniu mrożących krew w żyłach pogłosek celował koncern medialny Williama Randolpha Hearsta. W gazetach pojawiały się mrożące krew w żyłach (i wyssane z palca) opowieści o zdegenerowanych i nienasyconych seksualnie Azjatach, porywających młode dziewczyny, mające „zostać towarzyszkami, a następnie niewolnicami Mongołów".

Mieszkający w XIX-wiecznym amerykańskim mieście chiński imigrant liczyć się musiał z ciągnięciem za warkocz, kopniakami czy lądującymi mu na twarzy plwocinami. Zdarzały się też lincze, z których największy, mający miejsce w Los Angeles 24 października 1871 r., kosztował życie 19 mieszkańców lokalnego Chinatown.

Ostatecznie w roku 1882 Kongres USA przegłosował ustawę ograniczającą chińską migrację. Chińczyków uznano w niej za element niepożądany w Stanach, zrównując ich legislacyjnie z alkoholikami, przestępcami i chorymi psychicznie. Dla diaspory była to katastrofa ze względów społeczno-kulturowych. Nowe prawo blokowało osiadłym w USA Chińczykom możliwość ściągnięcia do nowej ojczyzny znalezionych im w Chinach przez swatów małżonek, drastycznie utrudniając założenie rodzin i dochowanie się potomstwa. Zostali zmuszeni do szukania partnerek spoza swojego środowiska. Tu jednak amerykańskie społeczeństwo raz za razem rzucało im kłody pod nogi. Legalność związków międzyrasowych podawano w wątpliwość, a białe kobiety wychodzące za przybyszów z Chin spotykały się z ostracyzmem. Gdy praprababka amerykańskiej pisarki Lisy See – Letycja Pruett – wzięła ślub z prapradziadkiem literatki – Fongiem See – rodzina się jej wyrzekła.

CI STRASZNI AZJACI

Kultura popularna stanowi zwierciadło odbijające marzenia i lęki epoki. Nie ma się zatem co dziwić, że antychińska fobia odcisnęła swoje piętno w dziedzinie literatury, filmu i komiksu.

Zabawne jest to, że eksplozję antychińskich resentymentów w literaturze początku XX w. wywołali... Japończycy. Ich zwycięstwo w wojnie toczonej z Rosją w latach 1904–1905 było pierwszym od stuleci konfliktem, w którym Azjaci wzięli górę nad Europejczykami. Wywołało euforię wśród azjatyckiej inteligencji oraz niedowierzanie, a następnie panikę ze strony Europejczyków i Amerykanów. Ta szybko znalazła ujście w ówczesnej twórczości literackiej.

Już w 1905 r. francuski wojskowy i polityk, a równocześnie popularny pisarz Emile Driant popełnił powieść z gatunku militarnego SF zatytułowaną „Żółta inwazja". Przedstawił w niej wizję japońsko-chińskiej inwazji na Stary Kontynent. W tyle za Francuzem nie pozostawał Jack London snujący futurystyczną opowieść o ataku Chińczyków na kraje Zachodu.Osiem lat później w Wielkiej Brytanii ukazał się kryminał „Tajemnica doktora Fu Manchu". Za widniejącym na okładce pseudonimem – Sax Roher – krył się Arthur Henry Ward. Przedstawiał czytelnikom demonicznego Chińczyka – doktora Fu Manchu, szefa złowrogiej azjatyckiej konspiracji dążącej do zguby białego człowieka.

Motyw azjatyckiego geniusza zła szybko rozgościł się w zachodniej popkulturze. Złowrogi doktor doczekał się licznych krewnych. I tak w 1958 r. na kartach powieści Iana Fleminga James Bond mierzył się z chińskim przestępcą – doktorem No. Pięć lat później powstała adaptacja filmowa.

Po drugiej stronie Atlantyku temat „żółtego niebezpieczeństwa" przeżywał renesans w okresie wojny na Pacyfiku. Młodzież ze stron komiksów straszyli japońscy szpiedzy ukrywający się w Chinatown (sic!), a gdy w roku 1943 na ekranach kin pojawiła się pierwsza w dziejach ekranizacja przygód Batmana, przeciwnikiem człowieka nietoperza był japoński szalony naukowiec – doktor Daka, który bez ogródek deklarował, że przybył, by „zniszczyć demokrację i zniewolić naród amerykański".

„ŻÓŁTEGO UPIORA" ŻYCIE PO ŻYCIU

Z końcem drugiej wojny światowej temat „żółtego niebezpieczeństwa" zaczął odchodzić do lamusa. Zachód miał poważniejszy i bardziej rzeczywisty problem – ekspansję komunizmu, a bezcennymi sojusznikami pomagającymi walczyć z czerwoną zarazą stali się Japończycy i władający Tajwanem zwolennicy Czang Kaj-szeka.

Z całego kompleksu wyobrażeń w popkulturze ostał się tylko azjatycki geniusz zła. Tego typu postać znana jako Mandaryn od roku 1964 pojawiać się zaczęła w komiksach Marvela, a z początkiem lat 70. konkurencyjne DC wylansowało wzorowanego na doktorze Fu Manchu – Ra's al Ghula, który jednak miał w swych żyłach więcej bliskowschodniej niż chińskiej krwi. Kiedy w końcu nadeszła moda na filmy o sztukach walki, zmienił się stereotyp Azjaty, który w masowej wyobraźni stał się szlachetnym mędrcem-wojownikiem. „Żółte niebezpieczeństwo" wreszcie odeszło w niepamięć. Choć nie do końca...

Mająca początek w Chinach pandemia, która od ponad roku pustoszy świat, zaowocowała w zachodnich społeczeństwach powrotem antychińskich nastrojów. I choć słuszny jest gniew na Pekin i władających nim komunistów, którzy – jeśli potwierdziłyby się przypuszczenia niektórych naukowców i zachodnich agencji wywiadowczych – doprowadzili do największej katastrofy XXI w., to smutne jest, że za winy Xi Jinpinga i jego towarzyszy obrywają ludzie na ulicy, którzy nie mają z nimi nic wspólnego i często nawet nie są Chińczykami, ale przedstawicielami innych azjatyckich nacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Po drugiej stronie lufy

Książka wyjątkowo na czasie. Jak wiadomo, niedawno na Afganistanie połamały sobie zęby Stany Zjednoczone. Po 20 latach bicia głową w mur US Army ewakuowała się do domu. Sytuacja w Afganistanie natychmiast wróciła do punktu wyjścia, czyli władzę odzyskali talibowie. Wcześniej jednak na Afganistanie łamały sobie zęby inne mocarstwa. Choćby Związek Sowiecki, który dokonał inwazji na ten kraj w 1979 r. A po dziewięciu latach musiał się stamtąd wycofać. O tym, jak wyglądał ten konflikt, można się dowiedzieć ze wstrząsających wspomnień Zigmasa Stankusa „Jak się zostaje albinosem".

Autor – który jest Litwinem – został powołany do sowieckiego wojska i przez półtora roku walczył w Afganistanie. Opisuje ten konflikt bez upiększeń, przedstawiając zbrodnie wojenne i demoralizację biorących w nim udział żołnierzy. Brud, krew, pot, łzy, bebechy i wymiociny. To nie jest książka napisana pod gusta egzaltowanych ciotek i harcerzy, którzy mają idealistyczne wyobrażenie o działaniach zbrojnych. To książka o wojnie prawdziwej.

Na jednym z patroli oddział Stankusa wziął do niewoli 10 Afgańczyków. Jeden z nich dostał zawału i zaczął głośno jęczeć, co mogło sprowadzić nieprzyjaciela. Oficer polityczny wydał krótki rozkaz: „Zarżnąć!".

„Artylerzyści chwycili biedaka za nogi, odciągnęli gdzieś na 15–20 metrów. Rozległ się przeciągły krzyk, przerwany zatknięciem ust.

– Ale barany, nawet zarżnąć po ludzku nie umiecie? – strofował ich polityczny.

– Kiedy te bagnety tępe jak dupa, dopiero za trzecim razem wszedł – wycierając zakrwawioną rękę o mundur, odpowiedział jeden i wrócił na swoją pozycję. Obok siedziało cicho i wszystko słyszało dziewięciu Afgańczyków".

O ile frontowe opowieści autora przypominają „Na Zachodzie bez zmian", o tyle opowieści o absurdach codziennego życia w sowieckiej armii – „Paragraf 22". Atutem polskiego wydania jest przedmowa Radosława Sikorskiego, który w trakcie wojny sowiecko-afgańskiej znajdował się – jak sam pisze – „po drugiej stronie lufy". ©℗

★★★★★★

ZIGMAS STANKUS
„JAK SIĘ ZOSTAJE ALBINOSEM. WOJNA W AFGANISTANIE OCZAMI SOWIECKIEGO ŻOŁNIERZA 1979–1981"
OŚRODEK KARTA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kircholm

Wojna polsko-szwedzka o Inflanty, która wybuchła w 1600 r., przebiegała według powtarzającego się scenariusza. Skandynawowie zajmowali kraj, następnie pojawiały się wojska polsko-litewskie, gromiły przeciwnika, odzyskując teren, po czym rozchodziły się z powodu niepłacenia żołdu. Następnie Szwedzi ruszali do ofensywy, aby po kolejnej klęsce opuścić zdobycze.

W czerwcu 1605 r. rozpoczęło się oblężenie Rygi. Na odsiecz przybył hetman Jan Karol Chodkiewicz, ale dysproporcja sił była porażająca – Litwini mieli 4 tys. ludzi, natomiast Szwedzi dysponowali 11 tys. żołnierzy. Husaria nie nadawała się do atakowania umocnionych obozów, toteż Chodkiewicz postanowił zmusić przeciwnika do starcia w otwartym polu. Zasugerował, że zamierza się wycofać, i podstęp ten się powiódł. 27 września pod Kircholmem doszło do bitwy, która zakończyła się jednym z najświetniejszych zwycięstw Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Przed starciem król Szwecji, Karol IX, był tak pewny zwycięstwa, że podczas suto zakrapianej wieczerzy świętował już niechybny triumf, dzieląc przy okazji osobiste bagaże polskich dowódców. Rzeczy Chodkiewicza zarezerwował oczywiście dla siebie.

Szwedzi uwierzyli, że hetman naprawdę zamierza się wycofać, i by dotrzeć do przeciwnika, opuścili obozy pod Rygą i po nocnym marszu w deszczu dotarli pod Kircholm. Zajęli stanowiska na wzgórzach nad Dźwiną, co miało im pomóc odeprzeć szarżę husarii. Chodkiewicz nie spieszył się jednak z atakiem i odczekał do południa. Dopiero wtedy zamarkował odwrót i Karol IX dał rozkaz do ataku. A na to tylko czekał hetman.

Czegoś podobnego Europa jeszcze nie widziała. Po 20 minutach było po wszystkim – husaria zmiotła Szwedów, a na polu bitwy poległo 8 tys. (!!!) Skandynawów, czyli blisko 70 proc. stanu armii. Straty litewskie były niewielkie, wyniosły zaledwie ok. 100 osób. W walce zginął zięć króla Szwecji, książę lüneburski Fryderyk i gen. Anders Lenartsson. Po bitwie Chodkiewicz okazał się rycerskim przeciwnikiem – odesłał władcy Szwecji zwłoki zięcia, natomiast Lenartssona pochował z honorami w Rydze.

Szwedom jednak niebawem znudziły się nieustanne klęski, wyciągnęli trafne wnioski i już wkrótce ich armia miała zyskać renomę niezwyciężonej. A Rzeczpospolita zaangażowana w interwencję w Rosji, wojny domowe i zmagania z Turcją nie miała sił, by wygrać rywalizację o Inflanty. W 1621 r. Skandynawowie zdobyli Rygę, której Polacy nigdy już nie odzyskali. Pozostała jednak legenda husarii – formacji skrzydlatych jeźdźców, którym w ówczesnej Europie nikt nie potrafił się przeciwstawić. ©℗

eprasa.pl 4ac3c5591e

TYGODNIK POLITYCZNY DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl 4ac3c5591e

Afgański armagedon

Witold Repetowicz

Stwierdzenie, że w Afganistanie jest źle, nie jest specjalnie odkrywcze. Problem w tym, że może być znacznie gorzej. Nadchodząca zima i spodziewana susza stanowią śmiertelne zagrożenie dla milionów Afgańczyków, a przymierzające się do współpracy z talibami Chiny mówią wprost, że pomagać ma Zachód. Talibowie nie zamierzają też dotrzymywać obietnic umiarkowania, a rysy wewnątrz ich obozu oraz aktywność Państwa Islamskiego to zapowiedź nowego etapu wojny domowej i eksportu terroryzmu oraz narkotyków

eprasa.pl 4ac3c5591e

FOT. WANA NEWS AGENCY/REUTERS/FORUM

Światowy Program Żywnościowy ocenił, że obecnie 14 mln Afgańczyków zagrożonych jest głodem. Kraj ten jeszcze przed wycofaniem się sił USA i NATO uzależniony był od pomocy humanitarnej, choć posiada znaczne, nieeksploatowane zasoby naturalne. Teraz chcą na nich położyć rękę Chiny, które jednocześnie nie są zbyt chętne, aby sypnąć pieniędzmi w odpowiedzi na apel ONZ o fundusze niezbędne do zapewnienia żywności dla zagrożonych śmiercią Afgańczyków. Dotychczas zadeklarowano na ten cel ponad 1 mld dol., ale ONZ obawia się, czy wszyscy donatorzy spełnią swoje obietnice.

Chiny, których przedstawiciele jako jedni z pierwszych spotkali się z nowym rządem talibów, nie wycofały z Kabulu personelu swojej ambasady i dały do zrozumienia, że są gotowe uznać Islamski Emirat Afganistanu, zadeklarowały tylko 31 mln dol. w dostawach żywności i sprzęcie medycznym, czyli zapewne częściowo w maskach. Tymczasem USA zapowiedziało, że przekaże 64 mln dol. organizacjom humanitarnym na realizację projektów w Afganistanie, Francja obiecała 118 mln dol., a Wielka Brytania prawie 400 mln dol. Również inne kraje europejskie zadeklarowały większe sumy niż Chiny.

POCZĄTEK DOKRĘCANIA ŚRUBY

Amerykanie i Europejczycy nie chcą jednak dawać pomocy bezpośrednio rządzącym teraz Afganistanem talibom, bo nie ufają im, że trafi ona tam, gdzie powinna, do najbardziej potrzebujących. I słusznie, bo talibowie po początkowych obiecankach „tolerancji" zabrali się do wprowadzania koszmarnych porządków przypominających ich pierwsze rządy w tym kraju w latach 90. Zaczęło się więc już przebieranie kobiet w czarne worki, które nie są bynajmniej tradycyjnym kobiecym strojem afgańskim. Te są bowiem kolorowe i nawet osławiona burka jest błękitna, a jest to strój charakterystyczny tylko dla jednego z regionów tego kraju. Rozpoczęły się też biczowania, kamienowania i brutalne egzekucje osób współpracujących z poprzednimi władzami, a także z USA czy innymi krajami NATO, które nie zdążyły uciec. Kobietom zatrudnionym w administracji zapowiedziano, by więcej nie przychodziły, usuwane są one również z mediów.

Odpowiedzią na to były odważne protesty, ale odbywały się one głównie w Kabulu, częściowo też w innych dużych miastach, gdzie wciąż obecne są zagraniczne media. Na ich oczach talibowie wciąż nie pokazują swojej prawdziwej twarzy, choć dali jasno do zrozumienia, że nie będą dążyć do uzyskania uznania międzynarodowego za wszelką cenę. Tam, gdzie nie ma zagranicznych kamer, talibowie pozwalają sobie na więcej, dokonując masakr, a także masowo wypędzając niepożądane rodziny z domów. Chodzi przy tym nie tylko o przeciwników ich rządów, lecz także o osoby, których „winą" jest niewłaściwe pochodzenie etniczne. Talibowie to bowiem przede wszystkim Pasztunowie. Na przykład w prowincji Dajkondi w środkowym Afganistanie z domów wypędzono 300 rodzin hazarskich, szyickiej mniejszości etnicznej, szczególnie narażonej na prześladowanie ze strony nowych władz. Talibowie na razie nie ruszają cudzoziemców, ale miejscowych dziennikarzy, którzy robią relacje z protestów, porywają i torturują. Taki los spotkał m.in. Nemata Naqdiego oraz Taqi Daryabiego z Etilaatroz, których zdjęcia ze śladami po brutalnej chłoście obiegły świat.

Tylko ktoś skrajnie naiwny mógł sądzić, że talibowie nie wrócą do starych praktyk, i zapewne jest to dopiero początek dokręcania śruby. Drugi Islamski Emirat Afganistanu nie będzie się specjalnie różnił od pierwszego, zwłaszcza że rządzić nim będą ci sami ludzie. Premierem został Hasan Akhund, który za pierwszych rządów talibów był wicepremierem i jest odpowiedzialny m.in. za rozkaz zniszczenia słynnych posągów Buddy w Bamian. Talibowie strzelali do nich z artylerii, bo uznają stawianie posągów ludziom za bałwochwalstwo. W 2014 r. w Iraku na tych działaniach wzorowało się też Państwo Islamskie, demolując muzeum w Mosulu, wysadzając niektóre zabytki czy skuwając twarze z płaskorzeźb. Również większość pozostałych członków 33-osobowego rządu talibów to osoby, które zajmowały kluczowe stanowiska we władzach afgańskiego emiratu w latach 90. Ponadto są to niemal wyłącznie wykształceni w pakistańskich szkołach religijnych mułłowie. Po Radzie Tymczasowej stworzonej po ucieczce z kraju prezydenta Ghaniego, złożonej m.in. z byłego szefa egzekutywy Abdullaha Abdullaha oraz byłego prezydenta Hamida Karzaja, która miała tworzyć pozory pokojowego przekazania władzy, nie ma śladu i nikt spoza kręgu talibów nie został dopuszczony do władzy. Kwiatek do kożucha okazał się

eprasa.pl 4ac3c5591e

zbędny, gdy talibowie przełamali opór sił starych władz w Pandższirze, przy okazji mordując tam jeńców.

Rząd talibów tworzą niemal wyłącznie Pasztunowie, którzy choć są największą grupą etniczną w Afganistanie, to stanowią raptem 40 proc. populacji tego kraju. Poza nimi jest tylko dwóch Tadżyków oraz jeden Uzbek, choć grupy te łącznie nie ustępują specjalnie liczebnością Pasztunom. Ponadto powołanie tego gabinetu poprzedziła wizyta szefa pakistańskich służb specjalnych w Kabulu, która wyraźnie wpłynęła na jego skład. Mułła Baradar, który prowadził w imieniu talibów negocjacje z USA, został wprawdzie wicepremierem, ale bez znaczącego resortu. Wyraźnie odsunięty zniknął po kilku dniach, prawdopodobnie zabity w trakcie bijatyki, która wybuchła w pałacu prezydenckim między jego frakcją a ludźmi Siradżuddina Haqqaniego. Ten ostatni, syn założyciela terrorystycznej organizacji Haqqani i blisko związany z Pakistanem, widnieje na liście najbardziej poszukiwanych terrorystów przez FBI z nagrodą 10 mln dol. W rządzie talibów został ministrem spraw wewnętrznych. Ministerstwo obrony objął natomiast mułła Jakub, syn pierwszego emira talibów.

KOLEJNY ETAP WOJNY DOMOWEJ

W skład gabinetu nie weszli też kluczowi dowódcy polowi talibów oraz ludzie związani z drugim emirem tej organizacji, zabitym przez Amerykanów w 2016 r. Achtarem Mansurem. Ponadto obecny emir talibów, czyli teoretycznie głowa państwa, Hibatullah Achundzada, nie tylko nie pojawił się publicznie, lecz także nawet nie została nadana żadna jego wypowiedź w formie audio. To wywołało spekulacje, że podobnie jak Baradar również i on nie żyje. Wątpliwości te mogą zwiastować dalsze podziały wśród talibów i nowy etap walk, z których skorzystać będzie chciało również Państwo Islamskie. To ostatnie, będące we wrogich stosunkach z talibami, już pokazało swój potencjał, atakując lotnisko w czasie ewakuacji.

Kolejny etap wojny domowej zwiększa prawdopodobieństwo gospodarczej katastrofy Afganistanu pod nowymi rządami już w przyszłym roku, zwłaszcza że bank centralny i ministerstwo finansów dostały się w ręce mułłów bez żadnego doświadczenia, a USA zamroziła afgańskie aktywa w wysokości 10 mld dol. Republikanie naciskają też na administrację Bidena, by nie tylko nie uznawała talibów, lecz także nałożyła na nich sankcje. To dość niebezpieczny i populistyczny krok, zważywszy, że wszystko, co się dotąd stało, jest logiczną konsekwencją podpisania przez administrację Trumpa i talibów porozumienia w Dosze w lutym 2020 r. Tymczasem upadek talibów może utorować Państwu Islamskiemu drogę do władzy przynajmniej nad częścią Afganistanu, USA i NATO, nieobecne w regionie, nie będą miały takich możliwości jego zwalczania, nawet z powietrza, jak w Iraku czy Syrii. Ponadto brak dyplomatycznej obecności Zachodu w Afganistanie pozbawi go możliwości wpływania na sytuację wewnętrzną, w tym kontroli programów humanitarnych czy obrony praw człowieka.

Afganistan jest tyglem geopolitycznym i to kolejny problem, gdyż już wiadomo, że z nowymi władzami współpracować chcą Chiny, Turcja, a także oczywiście Pakistan i Katar. Pakistan i Chiny chcą przy tym, by talibowie wspierali terroryzm w indyjskim Kaszmirze, i wiele wskazuje na to, że tak będzie. Jeśli jednak obecna propakistańska ekipa upadnie, to Chiny również mogą mieć problem z terrorystami walczącymi przeciwko dyskryminacji muzułmańskich Ujgurów w graniczącej z Afganistanem chińskiej prowincji Sincjang. Dlatego z perspektywy USA kontynuacja wojny domowej może być korzystna i to również może tłumaczyć zostawienie części sprzętu wojskowego. Talibowie mogą go bowiem wykorzystać tylko przeciwko sąsiadom Afganistanu, czyli w szczególności „niewiernym" Chinom i Rosji (uderzając w sojuszniczy wobec niej Tadżykistan) oraz szyickiemu Iranowi. Rosja też zresztą nie kwapi się do uznania Emiratu. W Iranie natomiast satysfakcja z „klęski Wielkiego Szatana" szybko została przyćmiona przekonaniem władz, że obecni talibowie nie różnią się od tych, którzy w 1998 r. wymordowali dyplomatów irańskich w Mazar-i Szarif.

Sunniccy ekstremiści, którymi są talibowie, nienawidzą szyitów, a Iran dodatkowo zmaga się z aktywnością sunnickich terrorystów, zwłaszcza w swoich wschodnich prowincjach Chorasanu i Beludżystanu. Nie bez powodu obawia się zatem, że talibowie będą ich wspierali. Paradoksem jest też to, że w czasie obecności USA w Afganistanie handel irańsko-afgański kwitł i wschodni sąsiad był źródłem napływu dolarów do objętego sankcjami Iranu. Teraz, po wycofaniu się „Wielkiego Szatana", handel ten może się załamać, jeśli Iran będzie zmuszony zamknąć granicę. Terroryzm nie jest przy tym jedynym problemem dla Teheranu, gdyż obawia się on też przemytu narkotyków z Afganistanu oraz napływu milionów uchodźców. Już obecnie w Iranie przebywa kilka milionów Afgańczyków i Teheran stawia sprawę jasno, że nałożone nań przez USA sankcje uniemożliwiają mu udzielanie im pomocy.

ZAGROŻENIE DLA EUROPY

Problemy sąsiadów Afganistanu to dobra wiadomość dla USA, ale niekoniecznie dla Europy. Jeśli bowiem trwać będzie wojna domowa w tym kraju i aktywne będą organizacje terrorystyczne zagrażające jego sąsiadom, to zablokowane zostaną szlaki tranzytowe, na których zależy głównemu globalnemu rywalowi Waszyngtonu, czyli Pekinowi. Jeszcze lepszą wiadomością dla USA byłoby zmuszenie Chin, Rosji lub Iranu do interwencji militarnej w Afganistanie, bo doświadczenie historyczne pokazuje, że dla nikogo nie kończy się to zbyt dobrze. Oczywiście nikt się do tego teraz nie kwapi, ale sytuacja jest dynamiczna. Z drugiej jednak strony, jeśli Afganistan znów stanie się gniazdem terroryzmu, to prędzej czy później zagrożenie wróci też do Europy, a być może również do USA.

Jeszcze większym zagrożeniem dla Europy jest potężna fala migracji. Załamanie się gospodarcze Afganistanu pod rządami talibów i kontynuacja wojny domowej tylko zwiększają prawdopodobieństwo wielomilionowego exodusu. Obłożony sankcjami Iran będzie uchodźców wypychał dalej, a Turcja jeśli ich wpuści, to tylko po to, by przesłać dalej. Jeśli utkną w Iranie, to mogą zacząć szturmować ambasady państw europejskich, a irańskie służby nie będą ich powstrzymywać. Mogą być też przerzucani do Rosji i na Białoruś, zwłaszcza że talibom będzie zależało przede wszystkim na pozbyciu się hazarów, Uzbeków i Tadżyków. Te dwie ostatnie grupy mogą uciekać również przez sąsiadujące z Afganistanem Tadżykistan i Uzbekistan, a Tadżykistan jest w militarnym sojuszu z Rosją i Białorusią. W Moskwie i Petersburgu mieszkają też miliony tadżyckich i uzbeckich gastarbeiterów. W takiej sytuacji Kreml i Łukaszenka będą chcieli skierować gigantyczny strumień migracyjny na naszą granicę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

REPUBLIKA

#włączprawdę

DZIENNIKARSKI POKER

Zapraszają:

Adrian Stankowski
Marcin Bąk
Tomasz Sakiewicz

od **poniedziałku**
do **środy**
19:05

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl 4ac3c5591e

– Założyłem Poland First to Fight ze złości i przygnębienia, że w Hiszpanii ludzie nic nie wiedzą, ile jest waszego wkładu w sprawę wolności wszystkich Europejczyków – mówi Alberto Trujillo Gómez FOT. ANNA ROCZKOWSKA

Z Hiszpanem Alberto Trujillo Gómezem, założycielem stowarzyszenia Poland First to Fight
rozmawia Małgorzata Wołczyk

Polski mundur to dla mnie rzecz święta

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Rozmawiamy w przerwie konferencji poświęconej ochronie wizerunku Polski za granicą. Reprezentujesz Hiszpanię, której główne media podają, że Polska jest krajem zacofanym i reżimowym?

ALBERTO TRUJILLO GÓMEZ: Owszem, media hiszpańskie przekazują taki obraz Polski, ale spora część Hiszpanów przywykła czytać dominującą lewicową prasę na opak i dlatego wiedzą, że im gorzej się o was mówi, tym paradoksalnie lepiej to o was świadczy.

Nasza lewica jest bardzo radykalna. Ogromnym ciosem w wasz wizerunek jest popularyzacja tego, co publikują Gross, Grabowski. To oczernianie Polski i dążenie, aby z ofiary stała się współsprawcą. Trzeba odebrać Polsce legitymację moralną, aby móc w nią bić. Poprawa wizerunku w mediach, dla których prawica (a właściwie nawet centrum) jest synonimem faszyzmu, jest trudną sprawą. Tu potrzeba ogromnej pracy ze strony ambasady, która powinna reagować i wysyłać sprostowania, ale ma zbyt mało pracowników w Madrycie.

A jak postrzegasz wkład Polaków mieszkających w Hiszpanii w obronę wizerunku Polski?

Z tego, co udało mi się zaobserwować, Polonia jest dość patriotyczna. Wielu jej członków bierze aktywny udział w działalności mojego stowarzyszenia Poland First to Fight i liczy na to, że pojawimy się w szkołach, przedstawimy program, będziemy walczyć o prawdę i odkłamiemy fałsz na temat waszej historii.

Czy to nie jest straszne, że dwóch Hiszpanów – bez kropli polskiej krwi w swoich żyłach – robi więcej dla Polski niż mieszkająca tam Polonia? Ty, jako założyciel Poland First to Fight, i Elentir, prowadzący portal Contando Estrelas i broniący Polski przy każdej okazji.

Elentir to postać wyjątkowa. To zaszczyt, że zgodził się być członkiem Poland First to Fight. Kwestia krwi się nie liczy, bo obaj w sercach czujemy się Polakami. A chociaż robimy wszystko, co w naszej mocy, i niemal zawsze pokrywamy koszty z własnej kieszeni, to nie ośmieliłbym się powiedzieć, że robimy więcej niż Polonia. Jest kilka stowarzyszeń, które robią rzeczy o nieocenionej wartości, takie jak utrzymanie polskich szkół, inne organizują zespoły folklorystyczne, harcerstwo lub zajmują się sprawami kulturalnymi, teatrem muzycznym… Wszystkiego po trochu. W Hiszpanii żyje ok. 70 tys. Polaków, więc wyobrażam sobie, że wielu z nich uczestniczy w jakichś

eprasa.pl 4ac3c5591e

działaniach na rzecz kraju, albo po prostu poświęca się wychowaniu dzieci w zgodzie z duchem patriotyzmu. Naszą pracę może po prostu lepiej widać w mediach.

Dotarło do mnie wiele informacji o pewnego rodzaju sabotażu ze strony pracowników polskich instytucji w Madrycie. Nie są do końca lojalni wobec kraju, ponieważ nie podoba im się obecny rząd.

Nie mnie to oceniać. Jestem pochłonięty pracą, rodziną i organizacją Poland First to Fight. Chciałbym wierzyć, że jeśli ktoś pracuje w instytucji publicznej – a zwłaszcza za granicą – to choć prywatnie może wyrażać różne zdania, publicznie musi okazywać lojalność wobec kraju, który mu płaci. Jeśli robi to publicznie, powinien zrezygnować ze stanowiska.

Jakie są cele stowarzyszenia? Skąd pomysł, aby założyć tak patriotyczną organizację na antypodach Europy?

Założyłem Poland First to Fight ze złości i przygnębienia, że w Hiszpanii ludzie nic nie wiedzą, ile jest waszego wkładu w sprawę wolności wszystkich Europejczyków. Tak niewielu zdaje sobie sprawę z waszej bohaterskiej walki. Jedyny naród, w dodatku zaatakowany jako pierwszy, nigdy nie uległ żądaniom nazistowskich Niemiec, nie poszedł na kolaborację, choć był przygnieciony dwoma totalitarnymi gigantami i porzucony przez sojuszników. Naród, który miał największy ruch oporu w okupowanej Europie, jeden z nielicznych, w którym poza bardzo odosobnionymi przypadkami nie było współpracy z okupantem, który doznał bezprecedensowej skali represji i został zrujnowany. I mimo że stał po stronie zwycięzców, został zdradzony przez sojuszników i pozostawiony w rękach brutalnego i bezwzględnego reżimu…

Wydawało mi się to tak niesprawiedliwe, że zdecydowałem zrobić, co w mojej mocy, aby temu zaradzić. Moja żona, Patricia, stworzyła naszą stronę w Internecie i tak się zaczęło. Bez jej wsparcia i wielu innych moich współpracowników nie byłoby to możliwe. Na pierwsze obchody w 2008 r. pojechałem sam. Potem zabierałem moje córki, w wieku sześciu i siedmiu lat ubrane w stroje harcerek. W 2010 r. dołączyło do nas jeszcze kilku pasjonatów i wtedy zalegalizowaliśmy stowarzyszenie. Skontaktowaliśmy się z też ambasadą RP, która przyjęła nas z otwartymi ramionami i ku mojemu zdziwieniu nie wzięli nas za wariatów. Ambasador Schnepf zaprosił nas na imprezę 11 listopada i od tego czasu trwa dobra passa dla naszej działalności.

Jedno z moich pierwszych wspomnień z dzieciństwa to kiedy Polak został wybrany na papieża. Papież zza żelaznej kurtyny – to było wydarzenie!

Znając cię trochę, wiem o twojej miłości i pasji do historii Polski. Ale jak to się zaczęło?

Jedno z moich pierwszych wspomnień z dzieciństwa to kiedy Polak zostaje wybrany na papieża. Miałem wtedy sześć lat. Papież zza żelaznej kurtyny – to było wydarzenie! A poza tym okazało się, że Jan Paweł II naznaczył moje życie.

Kolejną rzeczą, która mnie uderzyła i sprawiła, że zainteresowałem się historią Polski, była scena z amerykańskiego serialu „Wichry wojny", w którym uciekający przed inwazją Niemców bohaterzy natykają się na kolumnę żołnierzy jadących w przeciwnym kierunku, padło tam zdanie o „dzielnych mężczyznach, którzy idą po śmierć, bo przyjdzie im stanąć przeciw czołgom". Miałem 10 lat i już lubiłem historię, ale mój podziw dla tych żołnierzy sprawił, że zacząłem czytać wszystko, co mi wpadło w ręce, o polskich losach wojennych. Prawdziwych Polaków poznałem pod koniec lat 80. i zaprzyjaźniłem się z nimi (uciekli z PRL), potem w 1995 r. miałem okazję spędzić miesiąc w Polsce. Była wówczas krajem dość zacofanym gospodarczo w stosunku do Hiszpanii, ale nikt nigdy nie był dla mnie tak gościnny jak Polacy...

To ty dbasz o groby polskich powstańców, których prochy spoczęły w Hiszpanii. Opowiedz, ile ich jest i jakim cudem je odnajdujesz.

To coś, co powinniśmy zrobić już dawno temu, ale przyszło mi to do głowy podczas pandemii, kiedy był pogrzeb naszego ukochanego Jerzego Radłowskiego, żołnierza AK i 1. Dywizji Pancernej. Zlokalizowaliśmy dwa groby uczestników powstania, poprosiliśmy starszych członków Polonii, by podali nam jakieś nazwiska, i zaczęliśmy szukać. W jednym przypadku odkryliśmy nawet ich historię. Łącznie zlokalizowaliśmy sześć grobów: jeden żołnierza z 1939 r. i AK, jeden z AK i 1. Dywizji Pancernej (Jerzy Radłowski, dwóch żołnierzy z powstania i dwóch lotników z Dywizjonu 304 zestrzelonego w Zatoce Biskajskiej w 1944 r.), mamy jeszcze kilka nazwisk, które badamy.

Co powiedziałbyś Polakom, którzy wstydzą się Polski i woleliby mieszkać w Hiszpanii jak z Almodóvara?

Po pierwsze i na szczęście Hiszpania Almodóvara nie istnieje. Jeśli jednak nasza lewica, która usilnie nad tym pracuje, sprawi, że Hiszpania zacznie nią być… wtedy ja wyjadę z tej amoralnej, ateistycznej (choć hiszpańska lewica lubi flirtować z islamem) i sekciarskiej Hiszpanii do „starej i zacofanej" Polski.

Jakie miejsca w Warszawie zwykłeś odwiedzać? Gdzie można cię spotkać najczęściej?

Mam szczęście przyjeżdżać do Warszawy bardzo często, czasem nawet parę razy w roku, za każdym razem na kilka dni. Zawsze spaceruję po Ogrodzie Saskim i odmawiam modlitwę przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Oczywiście odwiedzam Muzeum Powstania Warszawskiego, w którym już mógłbym pracować jako przewodnik, bo znam każdy eksponat. Idę na plac Powstańców Warszawskich i stoję przed Prudentialem, wspominając to zdjęcie, gdy został trafiony pociskiem moździerzowym Thor, potem budynek PAST-y [Alberto kupuje tam zawsze kilka krawatów ze znaczkiem Polski Walczącej – dop. M.W.], i na plac Krasińskich, pod pomnik Powstania Warszawskiego... Oczywiście staram się też chodzić po całym mieście, czytając wszystkie tablice związane z powstaniem. Lista byłaby bardzo długa. Staram się podążać też śladami obrony 1939 r. i wyobrażać sobie, jak to było. Próbuję rozpoznać jakieś miejsca ze starych zdjęć.

Miłością do Polski zaraziłeś swoją rodzinę, choć nikt z was nie mówi po polsku ani nie macie polskich korzeni. Czy Hiszpanie rozumieją twoją pasję, czy czasem się z ciebie naśmiewają?

Zdarza się, że moi bracia dowcipkują, bo są tacy z natury, ale nigdy nie ociera się to o kpiny. Wiedzą, że ta pasja jest dla mnie czymś ważnym, tak samo jak dla całej mojej sześcioosobowej rodziny. Podchodzę bardzo poważnie do tych spraw, nie chcemy być postrzegani jako grupa rekonstrukcyjna przebrana w mundury dla zabawy. Moją intencją jest nauczanie historii, a mundur to rzecz święta i wymaga ode mnie godnego zachowania. Bo to jest mundur godny czci, w którym tak wielu przelało krew za Polskę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

Piotr Włoczyk

Wielkie korporacje finansowe rozpoczynają walkę z „nienawiścią" i „ekstremizmem". Czy przywiązanie do tradycyjnych wartości będzie niedługo skutkowało odcięciem od pieniędzy?

Finansowy młot na prawicę

To ma być rewolucja w walce o nowy „tolerancyjny" świat. „Siewcy nienawiści" mają być brani na celownik, napiętnowani, a finalnie odcinani od źródeł finansowania. Sojusznikami w tej wojnie zostały PayPal, licząca blisko 400 mln użytkowników platforma płatności on-line, oraz Liga przeciw Zniesławieniom (Antidefamation League – ADL), która lata temu zajmowała się jedynie tropieniem antysemityzmu, a dziś zwalcza już wszystkie przejawy „nietolerancji" i „nienawiści".

Ogłaszając decyzję o podjęciu współpracy w tej kwestii, obie instytucje poinformowały, że „skupią się na dalszym naświetlaniu i zakłócaniu przepływów finansowych, które zapewniają wsparcie dla ruchów ekstremistycznych i odwołujących się do nienawiści. Dodatkowo poza ekstremistami i organizacjami antyrządowymi inicjatywa skupi się na podmiotach oraz grupach szerzących i żyjących z wszelkich form nienawiści i fanatyzmu skierowanym przeciw jakiejkolwiek społeczności". Co ważne, jak deklaruje PayPal, informacje na temat zagrożeń będą przekazywane „innym podmiotom z branży finansowej".

– W ten oto sposób Amerykanie, których poglądy są uznawane za „niewłaściwe" przez stronnicze, lewicowe instytucje, nie będą mogli przesyłać pieniędzy. Tak w Stanach Zjednoczonych powstaje prywatna tyrania – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" Sohrab Ahmari, amerykański konserwatywny publicysta piszący m.in. dla „New York Post".

TROPICIELE WSZYSTKIEGO

„My wszyscy, wliczając w to prywatny sektor, odgrywamy kluczową rolę w walce z ekstremizmem i nienawiścią. Nasza nowa inicjatywa wyznacza nowy standard dla firm. Chodzi o to, by wykorzystywały one swoją wiedzę ekspercką w krytycznie ważnych kwestiach społecznych" – wyjaśnia Jonathan Greenblatt, szef ADL. Według niego PayPal to przykład „odpowiedzialnej firmy technologicznej".

Tym samym niezmiernie poważana na amerykańskiej lewicy ADL wydaje certyfikat przyzwoitości PayPal, a ten rewanżuje się, dotując ADL. Jak może wyglądać to polowanie na „nienawistników"

eprasa.pl 4ac3c5591e

Liga przeciw Zniesławieniom (ADL), która przez lata zajmowała się tropieniem antysemityzmu, dziś zwalcza wszystkie przejawy „nietolerancji" i „nienawiści"

FOT. MICHAEL BROCHSTEIN/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

i „ekstremistów" w przypadku tandemu ADL-PayPal? Zacznijmy od tej pierwszej organizacji.

Jej obecny prezes, Jonathan Greenblatt, to były doradca Baracka Obamy, zdeklarowany liberał, który od sześciu lat prowadzi ADL w stronę skrajnej lewicy. Coraz więcej wierzących Żydów ma problem z tą organizacją, która choć w teorii powinna zajmować się przede wszystkim tropieniem antysemityzmu, dziś skupia się na innych zagadnieniach, jak choćby starania, by amerykańskie społeczeństwo przyjęło jako coś zupełnie normalnego tzw. małżeństwa gejowskie. Inna rzecz, że walka z antysemityzmem w wykonaniu ADL nie zawsze wygląda poważnie, o czym można się było przekonać dzięki filmowi „Zniesławienie" (ang. „Defamation") izraelskiego dokumentalisty Jo'awa Szamira. Widać w nim, jak pracownicy ADL jako antysemickie wybryki pokazują e-maile od osób, które twierdzą, że ich szefowie nie zgodzili się na... przyznanie im urlopu.

Za rządów Greenblatta ADL zaczęła się zajmować problematyką, która szczególnie w Izraelu wywołuje coraz większe zdziwienie – kwestią walki z „antyislamskimi" uprzedzeniami. Szczególnie mocno oberwało się w tym kontekście Mike'owi Pompeo, który w administracji Trumpa odpowiadał za dyplomację. „Doskonale znane antyislamskie fobie pana Pompeo grożą osłabieniem skuteczności pracy Sekretarza Stanu, który ma reprezentować amerykańskie interesy i wartości na świecie" – ocenił w 2018 r. Greenblatt. Wspólny mianownik dla tych działań jest jeden – krytyce podlega jedynie to, co jest na prawo od centrum.

Drugi podmiot z tego „antyekstremistycznego sojuszu", PayPal, ma już długie doświadczenie w blokowaniu instytucji uważanych przez zarząd firmy za zagrożenie. Chodzi tu nie tylko o skrajnie prawicowe organizacje, takie jak np. Proud Boys. Od kilku lat nie da się kupić za pośrednictwem tej platformy broni palnej ani żadnych akcesoriów kojarzonych z nią. Na czarną listę PayPal trafił po zamieszkach na Kapitolu sztab Donalda Trumpa (to samo zrobił pokrewny PayPal gigant finansowy Stripe), ale ten zapał w blokowaniu ekstremizmów kończy się na prawicy. Gdy bowiem Fox News próbował dopytać przedstawicieli firmy, czy w związku z brutalnością zamieszek na tle rasowym również Black Lives Matter zostanie odcięta od usług finansowych, PayPal nabrał wody w usta i uchylił się od odpowiedzi. Co ważne, wygląda na to, że plany firmy są dalekosiężne i nie ograniczają się tylko do USA. „Mamy nadzieję, że ta inicjatywa okaże się skuteczna w walce z nienawiścią i ekstremizmem, które – niestety – coraz bardziej dają o sobie znać w społeczeństwach na całym świecie" – powiedział Aaron Karczmer, wiceszef PayPal.

„WALKA Z EKSTREMIZMEM"

Odpowiedź ze strony demokratów nie może napawać amerykańskiej prawicy optymizmem odnośnie do tej inicjatywy.

„Gratuluję PayPal i ADL wspólnego działania na rzecz walki z nienawiścią i ruchami ekstremistycznymi, które wykorzystują platformy finansowe do utrzymywania swoich kryminalnych działań i żyją z siania rasizmu i uprzedzeń" – powiedział Cy Vance, prokurator okręgowy z Manhattanu (startujący w wyborach z poparciem Partii Demokratycznej). „Moje biuro jest gotowe, by pomóc instytucjom finansowym i firmom z innych sektorów w tej pilnej walce o powstrzymanie nienawiści i ochronę historycznie dyskryminowanych społeczności".

„Partnerstwo PayPal i ADL jest bez wątpienia bardzo niepokojące – pisze na łamach »New York Post« Jonathan S. Tobin, konserwatywny publicysta, szef Jewish News Syndicate. – ADL nie tłumaczy, na jakich zasadach będzie decydować, kto jest ekstremistą. Jednak biorąc pod uwagę orientację ideologiczną, trudno nie podejrzewać, że na celowniku ADL znajdzie się każdy, kto nie podziela poglądów Black Live Matter i innych lewicowych grup".

O tym, jak w rzeczywistości wygląda „walka z ekstremizmem" w wykonaniu PayPal, przekonał się dr Mike Davidson, psychoterapeuta, szef Fundacji Rzeczy Najważniejszych (Core Issues Trust – CIT), brytyjskiej organizacji, która oferuje pomoc psychologiczną osobom zagubionym w kwestii własnej orientacji seksualnej lub tożsamości płciowej.

Po tym, gdy latem zeszłego roku brytyjskie organizacje LGBT wszczęły alarm, twierdząc, że organizacja dr. Davidsona krzywdzi osoby homoseksualne, PayPal odciął CIT od swoich usług, tak samo jak bank Barclays. Teraz brytyjska lewica robi wszystko, by w ogóle zakazać działalności takim organizacjom.

„To, co widzimy dziś w Wielkiej Brytanii, to neomarksistowski ekstremizm, który wprowadzany jest na salony – powiedział „Do Rzeczy" dr Mike Davidson. – Lobbyści LGBT będą jednak mieli z tym problem. Ciężko bowiem zakazać wolnym ludziom poszukiwania pomocy u specjalistów, którzy taką pomoc mogą im okazać. Zarzuca się nam krzywdzenie ludzi, ale druga strona nie przedstawia na to żadnych konkretnych dowodów. Ten rodzaj terapii nikogo nie krzywdzi, za to zakazanie nam działalności z pewnością odbierze wolność tym, którzy szukają pomocy".

– Przywykliśmy do zwalczania zagrożeń fundamentalnych wartości płynących ze strony rządu. Niestety nie doceniliśmy zagrożenia ze strony podmiotów korporacyjnych i oligarchicznych – mówi „Do Rzeczy" Sohrab Ahmari.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

FOT. ADOBE STOCK

KONTRABANDA Z KFC

W pobliżu Auckland (Nowa Zelandia) policja zatrzymała, a następnie aresztowała dwóch groźnych przemytników. Bagażnik ich samochodu wypełniony był smażonym kurczakiem z fast foodu KFC. Część towaru musieli już upłynnić, bo w aucie mieli 100 tys. dol. Z pewnością przemycali jedzenie mieszkańcom miasta, którzy spędzili miesiąc w całkowitym lockdownie – nie tylko nie mogli chodzić do restauracji, lecz także nie wolno im było nawet zamawiać jedzenia na wynos. Przemytnicy staną przed sądem. Za naruszenie ustawy o ochronie zdrowia publicznego w kwestii COVID-19 grozi im do sześciu miesięcy więzienia.

ILE MOŻE KOMISJA EUROPEJSKA

Zatrzymać wielką kopalnię w Polsce? Proszę bardzo, od ręki. Na kiedy ma być decyzja? – odpowie Komisja Europejska. A możecie zatrzymać rurociąg Nord Stream 2, zagrażający bezpieczeństwu energetycznemu całej Unii? – zapytała europosłanka Anna Fotyga (PiS). No, tego to już niestety KE zrobić nie da rady. Estońska komisarz ds. energii Kadri Simson przyznała w odpowiedzi na interpelację, że ciało unijne wielokrotnie przyznawało, że ten projekt „nie jest potrzebny". Jednak urzędnicy nie mają kompetencji, by tę inwestycję zatrzymać. No kto by się spodziewał?

NIESŁOWNY CLAPTON

Latem znany gitarzysta Eric Clapton zapowiedział bojkot imprez, na które wpuszczani będą jedynie ludzie zaszczepieni przeciw COVID-19. Taki wymóg na imprezach uznał za dyskryminację. Serwis Rolling Stone ujawnił, że Clapton wystąpił w Smoothie King Center w Nowym Orleanie – wymagano tam okazania dowodu przyjęcia szczepionki.

PORÓWNALI DUDĘ DO HITLERA

Białorusinom puściły hamulce. Granica Polski uszczelniona, nie udało się zmusić migrantami UE do ustępstw, więc odgrywają się w swoich mediach. „Mińska Prawda", gazeta wydawana przez władze obwodu mińskiego, wypuściła numer ze skandaliczną okładką. Zdjęcie polskiego prezydenta Andrzeja Dudy zmienione tak, by przypominał Adolfa Hitlera. Tekst jest pełen oszczerstw dotyczących tego, jak rzekomo źle Polacy traktują uchodźców próbujących dostać się na nasze terytorium.

ZASTRZELIŁ, BO MIAŁ ZAŁOŻYĆ MASECZKĘ

Dramat w Niemczech. Dwudziestoletni letni kasjer na stacji benzynowej w miejscowości Idar-Oberstein odmówił sprzedaży piwa klientowi i poprosił, by zgodnie z wymogiem sklepu najpierw założył maseczkę. Mężczyzna wyszedł ze sklepu. Wrócił tam półtorej godziny później. Z pistoletem. I strzelił kasjerowi w głowę. ©℗

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Evergrande jak Lehman Brothers?

JACEK PRZYBYLSKI

Evergrande, olbrzymi chiński deweloper, który rocznie budował dziesiątki milionów (!) kwadratowych mieszkań, a do tego produkował wodę mineralną, a nawet rozważał produkcję samochodów, stanął na krawędzi bankructwa.

Potencjalne bankructwo tak potężnej chińskiej spółki może mieć niezwykle poważne konsekwencje nie tylko dla Państwa Środka. Evergrande to już najbardziej zadłużony deweloper na świecie. Ma ok. 2 bln juanów, czyli 305 mld dol., długu, czyli mniej więcej tyle, ile wynosi zadłużenie Polski.

Widmo upadku takiego giganta już sieje strach na rynkach. Analitycy ostrzegają, że oto nadchodzi chiński „czarny łabędź", czyli niespodziewane wydarzenie, które ma ogromny wpływ na cały świat i negatywnie oddziałuje na globalną gospodarkę. Czy tak jest, nie wiadomo. Pewne jest, że bankructwo takiego giganta wywołałoby gospodarcze tsunami w Chinach. Upadek dewelopera mógłby wpędzić w tarapaty nie tylko firmy budowlane oraz setki tysięcy osób, które wpłaciły zaliczki na poczet nowych domów i mieszkań, a na placu budowy nie ma jeszcze dziury w ziemi. Ucierpieć mogą też banki oraz globalne fundusze inwestycyjne. Niewykluczone więc, że przykre skutki upadku dewelopera odczują nawet ci, którzy nigdy wcześniej nie słyszeli nawet nazwy „Evergrande". Podobnie było w roku 2008, gdy upadek amerykańskiego banku inwestycyjnego Lehman Brothers obnażył słabość rynku finansowego i doprowadził do potężnego kryzysu na całym świecie.

I chociaż można mieć nadzieję, że chińska partia nie pozwoli upaść tak wielkiej firmie, to trzeba być przygotowanym na to, że pandemia COVID-19 nie musi być najgorszą rzeczą, którą przyniesie światu XXI w. ©℗

eprasa.pl 4ac3c5591e

WILDA CORNER

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

w Poznaniu

Grupa Inwest®

www.**grupainwest.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl 4ac3c5591e

FOT. ADOBESTOCK

Będzie już tylko drożej

Jacek Przybylski

Przez drożejące paliwa kopalne oraz niezwykle kosztowną unijną politykę klimatyczną w całej Europie gwałtownie rosną koszty energii. Na bezprecedensowe, dwucyfrowe podwyżki cen prądu – mimo wcześniejszych zapewnień przedstawicieli rządu – muszą przygotować się również Polacy

W tym roku rachunki za prąd wzrosły już o blisko 10 proc. To jednak tylko początek drastycznych podwyżek cen za energię. Nie tylko w Polsce, lecz także w całej Europie, a dokładniej w całej Unii Europejskiej. – Nie możemy nie widzieć rzeczywistości. W tej chwili ceny uprawnień do emisji dwutlenku węgla są po prostu prawie szokujące – jeszcze w listopadzie zeszłego roku nikomu nie śniła się cena 60 euro za tonę. W tej chwili rzeczywiście obserwujemy te wzrosty i one nie pozostaną bez wpływu na decyzje regulatora – tłumaczyła również szefowa departamentu rozwoju rynków i spraw konsumenckich URE Małgorzata Kozak podczas jednej z sesji 13. Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach. Wcześniej Rafał Gawin, prezes Urzędu Regulacji Energetyki, w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej" zauważył, że od 2022 r. należy się spodziewać dwucyfrowego wzrostu taryf dla gospodarstw domowych. Regulator nie może bowiem zamknąć się na problemy spółek energetycznych, a te szykują bezprecedensowe podwyżki.

Znaczące podwyżki cen energii w swoich cenach już uwzględniają najwięksi producenci. Również przeciętny Kowalski ma się czego obawiać. We wrześniu prezes Enei Paweł Szczeszek uprzedził, że kierowany przez niego koncern będzie wnioskował do URE o podwyżkę taryfy na energię dla gospodarstw domowych aż o ok. 40 proc. Wniosek o podwyżki – jeszcze nie wiadomo, jak bardzo wysokie – szykuje również Tauron. Prezes tej spółki Rafał Soja, deklaruje, że kierowana przez niego firma chce „minimalizować dla odbiorców skutki tego, co dzieje się w przestrzeni rynku

eprasa.pl 4ac3c5591e

hurtowego". Eksperci podkreślają jednak, że nie ma co się spodziewać, iż wzrosty zakładane we wnioskach taryfowych będą jedynie odzwierciedlać poziom inflacji, będą to wzrosty dwucyfrowe. Podwyżki cen energii mogą wynieść więc 10, 15, 20 lub nawet 40 proc.

Dyrektor Kozak podkreślała w Katowicach, że „trzeba liczyć się ze wzrostami cen energii", jednocześnie uspokajała również, że „cena energii to jedna z wielu składowych na rachunku odbiorcy". Co to oznacza dla przeciętnego Kowalskiego? Według prezesa Enei wzrost taryf o 40 proc. to wzrost realny cen prądu o 20 proc.

NADCHODZI ZIMA

Niestety, w tym roku o łagodną zimę w Europie modlić się powinni nie tylko ci, którzy ogrzewają domy pompami ciepła lub innymi urządzeniami elektrycznymi, lecz także osoby, które korzystają z gazu lub węgla.

Skąd tak szybkie wzrosty cen energii? Teoretycznie sprawa jest dość prosta: rozwijające się w szybkim tempie po pandemii gospodarki generują ogromny popyt, za którym nie nadąża podaż paliw kopalnianych, co w naturalny sposób winduje ceny energii, a to z kolei pompuje wzrost cen. Wraz z rosnącymi cenami idą podwyżki wynagrodzeń, co nakręca spiralę inflacyjną.

Drożejące paliwa to tylko jeden element składowy gigantycznych wzrostów cen energii.

Polskie władze zwracają uwagę, że na dwucyfrowe podwyżki cen w przyszłym roku wpłyną przede wszystkim rekordowe wzrosty cen uprawnień do emisji dwutlenku węgla. – Ceny prądu w Polsce wiążą się z polityką klimatyczną Unii Europejskiej, której Polska jest członkiem. Wszyscy ponosimy koszt tej polityki, ale dzięki temu mamy czystsze środowisko i rozwój technologii, co się nam opłaci – tłumaczył na antenie radia RMF FM premier Mateusz Morawiecki, zauważając, że koszt polityki klimatycznej będzie w rachunkach klientów.

I rzeczywiście trzeba przyznać, że unijna polityka klimatyczna jest piorunująco kosztowna. Najlepiej obrazuje to skokowy wzrost cen uprawnień do emisji dwutlenku węgla. Jeszcze w połowie tego roku cena za jednostkę wahała się w okolicach 50 euro, w sierpniu skoczyła już do 56 euro, a we wrześniu pierwszy raz w historii przekroczyła poziom 60 euro. W sumie w ciągu roku wzrost cen uprawnień do emisji dwutlenku węgla wyniósł już 113 proc. (z 30 do 61 euro za tonę).

Efekt? W styczniu tego roku średnia cena megawatogodziny w Polsce wynosiła 257 zł. W sierpniu średnia cena megawatogodziny osiągnęła już poziom 360 zł. W niektórych krajach Europy ceny dochodzą już jednak do 150 euro za megawatogodzinę. W Portugalii i Hiszpanii przekraczają już poziom 175 euro za megawatogodzinę. W uzależnionej w dużej mierze od gazu ziemnego Wielkiej Brytanii cena osiągnęła zaś szokujący poziom 183,84 euro za megawatogodzinę – to obecnie najwyższa stawka w Europie. A to wcale nie koniec szaleństwa na rynku energii. Kontrakty zawierane na przyszły rok już opiewają na jeszcze wyższe kwoty.

ZIELONE SAMOBÓJSTWO?

Zielona polityka Unii Europejskiej może więc oznaczać, że opowieści o czasach, gdy w domach było ciepło, w krajach Europy Środkowej, a zwłaszcza w Polsce, będzie można

REKLAMA

Wzmocnij odporność jesienią!

Tej jesieni same witaminy i minerały mogą nie wystarczyć. Dlatego warto sięgnąć po Immulinę – nowatorski immuno-suplement, który poza naturalnymi witaminami (C i D) oraz minerałami (cynk i selen), dostarcza ekstrakt aceroli, specjalny beta-glukan oraz innowacyjny ekstrakt spiruliny czyli składniki o skutecznym i bezpiecznym działaniu stymulującym układ odporności. Już po kilku dniach przyjmowania Immuliny stwierdzana jest poprawa odporności, tym skuteczniejsza im odporność jest słabsza. Bezpieczeństwo oraz skuteczność Immuliny potwierdziły badania w renomowanych ośrodkach USA i Skandynawii*.

Immulina jest dostępna w aptekach w postaci syropu dla dzieci oraz w postaci kapsułek dla młodzieży i dorosłych.

Informacje: Phytomedica Polska, tel. 22 651 75 40, e-mail: info@phytomedica.pl, www.immulina.pl, www.odpornosc.info.pl

*Uniwersytet Johnsa-Hopkinsa, Uniwersytet Stanu Luizjana, Uniwersytet Stanu Missisipi, Narodowe Centrum Badania Preparatów Naturalnych USA, Instytut Karolinska, Sztokholm, Statens Serum Institut, Kopenhaga, Instytut Optymalnego Żywienia, Kopenhaga.

eprasa.pl 4ac3c5591e

włożyć między bajki. Energetyka nadal oparta jest bowiem głównie na węglu, co winduje koszt produkcji energii.

W tym roku problem mają jednak nie tylko kraje takie jak Polska, lecz także te, w których na miks energetyczny składa się między innymi gaz, węgiel, energia atomowa oraz odnawialne źródła energii. O europejskich problemach z energią piszą i mówią więc największe światowe media: od „Financial Times" i Fox News po liberalne „Politico", „The New York Times" czy MSNBC.

„Ceny gazu i elektryczności szybują w górę, wiatraki stoją bezczynnie, bo wiatr nie wieje, a zamknięte elektrownie węglowe wracają do użytku. Pojawiają się nawet sugestie wykorzystywania generatorów Diesla do ogrzewania domów przez prywatnych użytkowników. Jednak ropa nie jest rozwiązaniem problemów energetycznych kontynentu" – zauważył Bloomberg, ostrzegając, że europejskie rezerwy gazu naturalnego przed nadchodzącą zimą wynoszą zaledwie 75 proc. tego co rok temu i są najniższe od roku 2013. Jak pisze Bloomberg powody tego stanu rzeczy są trzy. Pierwszy: długa zeszłoroczna zima. Drugi: rosnące zapotrzebowanie na gaz w związku z pocovidowym odbiciem gospodarek. I wreszcie trzeci: niewystarczająca wydajność odnawialnych źródeł energii.

Gdy silnych wiatrów jest mniej, a słońce słabiej świeci, nagle kraje z dużym udziałem OZE muszą kupować energię od tych, którzy ciągle używają znienawidzonego przez ekologów… węgla i oleju. Aby nie zamarznąć na kość, podczas tęgich mrozów ubiegłorocznej zimy Szwedzi musieli pilnie zrewidować decyzje zbyt pochopnie podjęte pod naciskiem nawiedzonych ekologów i kupować „brudną energię" m.in. od Polski. Szwedzi zainwestowali bowiem krocie w energetykę wiatrową, dzięki czemu latem sprzedają nadwyżkę pachnącej, zielonej energii, ale zimą… mają problem, bo mrozom towarzyszy wyż atmosferyczny, podczas którego wiatr jest bardzo słaby lub panuje cisza atmosferyczna. Wiatraki stają się wówczas kompletnie bezużyteczne, a mróz nawet na najbardziej fanatycznych zielonych wymusza przez chwilę odrobinę rozsądku. „Jak przetrwa naród przemysłowy w północnej Europie, jeśli nie będziemy w stanie wyprodukować wystarczającej ilości energii, aby przetrwać normalną zimę?" – pytał polityk Christoffer Heimbrand, który był przeciwny wyłączeniu bloków w elektrowniach atomowych. Odpowiedź: ostatniej zimy Szwedzi kupili więc od Polski dwa razy więcej energii niż rok wcześniej.

W 2020 r. OZE wygenerowały 38 proc. energii w UE, pierwszy raz w historii wyprzedzając paliwa kopalne na liście głównych źródeł energii. Jak jednak przyznaje nawet liberalne „Politico", farmy wiatrowe i słoneczne nie są w stanie wytworzyć wystarczającej ilości energii, aby zaspokoić 100 proc. zapotrzebowania przez cały rok, nawet w najbardziej sprzyjających warunkach klimatycznych.

Gdy silnych wiatrów jest mniej, a słońce słabiej świeci, nagle kraje ze zbyt dużym udziałem OZE muszą kupować „brudną energię" od krajów, które wciąż palą węglem

Międzynarodowa Agencja Energetyczna we wrześniu zwróciła się więc do Rosji o zwiększenie eksportu gazu, aby pomóc w rozwiązaniu energetycznych problemów Europy. Kreml oczywiście nie zamierza tracić tak wspaniałej okazji i Gazprom już otwarcie komunikuje, że bez uruchomienia gazociągu Nord Stream 2 Europejczycy nie mają co liczyć na spadki cen energii.

UBÓSTWO ENERGETYCZNE

Na razie w związku z szaleńczymi podwyżkami cen energii rządy wielu krajów – w tym Grecji, Francji, Hiszpanii oraz Włoch – zdecydowały się na wprowadzenie mechanizmów pomocy dla gospodarstw domowych. Władze w Madrycie obliczyły, że ceny prądu dla konsumentów wzrosły w tym roku tak bardzo, że bez wprowadzonej właśnie obniżki podatków od energii, przeciętny odbiorca tylko za prąd musiałby w tym roku zapłacić o 600 euro więcej niż w roku 2020.

Nad wprowadzeniem ulg dla najbiedniejszych pracują również władze w Warszawie. Minister klimatu i środowiska Michał Kurtyka poinformował we wrześniu, że przepisy dotyczące ochrony odbiorców wrażliwych przed podwyżkami cen energii mają zacząć obowiązywać już od 2022 r.

„Rzeczpospolita" poinformowała z kolei niedawno, że państwowe spółki energetyczne szykują kampanię edukacyjną, która ma oswoić Polaków z podwyżkami cen prądu. Według dziennika kampanię zamówił Polski Komitet Energii Elektrycznej, który chce pokazać Polakom, „jak mogą się uchronić od podwyżek cen prądu, które są nieuchronne. Jak mogą zminimalizować ich skutki".

Problem w tym, że nawet jeśli władze spróbują zrekompensować najbiedniejszym wzrost rachunków za prąd, to i tak nie uchronią ich przed gwałtownym skokiem cen w całej gospodarce. Tymczasem podwyżki cen energii już sprawiają, że niemal w każdej branży rosną ceny towarów i usług. Rekordową inflację obserwują więc nie tylko ekonomiści w Polsce – w sierpniu wyniosła ona w naszym kraju aż 5,4 proc. i była najwyższa od roku 2001 – ale również w Niemczech (choć wciąż jest ona tam o wiele niższa niż w Polsce).

Niewiele w sprawie podwyżek cen energii zrobić może również Urząd Regulacji Energetyki. Urzędnicy mogą próbować ocenić zasadność proponowanej podwyżki, sprawdzając np., kiedy i po jakich cenach dokonywane były zakupy energii. Próba złagodzenia szykowanych podwyżek w ostatecznym rozrachunku i tak niewiele jednak da, ponieważ jeśli zakłady energetyczne nie będą mogły przerzucić kosztów na gospodarstwa indywidualne, to przerzucą je na odbiorców biznesowych. Producenci z kolei dodadzą wyższe ceny energii do cen swoich towarów, a więc tak czy owak ostatecznie to Kowalski i Nowak dostaną najbardziej po kieszeni. Urzędnicy URE coraz częściej otwarcie mówią, że niedługo może rozpocząć się dyskusja nad pełnym uwolnieniem rynku energetycznego.

Wszystko wskazuje więc na to, że trzeba jak najszybciej kupować ciepłe swetry i koce – póki jeszcze tak strasznie nie zdrożały.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

„Dzień Świstaka" po polsku

Wpadł mi w ręce pewien tygodnik z wywiadem z George'em „Adamem" Hodgesem – jak go przedstawiono – „emerytowanym podpułkownikiem Wojsk Lądowych USA, w 2016 r. dowodzącym jedyną amerykańską grupą operacyjną śmigłowców w Iraku, obecnie odpowiadającym za sprzedaż i marketing helikopterów Apache w Europie Środkowo-Wschodniej i na Bliskim Wschodzie w Boeing Defense, Space Security"; wywiadem zatytułowanym – a jakże! – „Jaki śmigłowiec dla polskiej armii". (Nietrudno się domyślić, że według płk. Hodgesa jest nim Apache). Czytając go, pomyślałem: któryż to już raz – niczym w filmie „Dzień Świstaka" – rusza ta nasza wielka, narodowa debata?

Jak wiadomo, nikt nie jest tak dobry w kupowaniu najlepszego uzbrojenia dla polskiej armii jak polscy politycy; rzecz jasna – w kupowaniu uzbrojenia, lecz nie w zakupie uzbrojenia. Kupowanie helikopterów jest tego doskonałym, lecz dalece nie jedynym przykładem. Pamiętają Państwo francuskie caracale? Ile ich miało być i kiedy miały wejść do służby? Podobno 70 i od dawna miały strzec Polski. A że nie strzegą? Cóż… Wiadomo, obecna opozycja, gdy rządziła, „nawet tego nie potrafiła doprowadzić do końca". No ale „nie jest tak źle", bo przecież jeden śmigłowiec właściwie jest już „prawie w Polsce"; jeden, czyli pierwszy z… czterech. „AW101 dla Marynarki Wojennej coraz bliżej! Pierwszy z czterech zakupionych śmigłowców wykonał swój testowy lot na terenie fabryki w Yeovil" – chwalił się niedawno szef MON Mariusz Błaszczak.

Chciałbym się mylić, lecz obawiam się, że się nie mylę, iż w Polsce także myślenie o bezpieczeństwie – w tym militarnym, a tym bardziej działanie z myślą o bezpieczeństwie militarnym – polega głównie na jakże polskim aktywizmie. Czyli od „Zapada" do „Zapada" – od jednych zorganizowanych za naszą wschodnią granicą ćwiczeń „Zapad" do kolejnych (odbywają się co cztery lata). Albo – od podróży zagranicznej prezydenta Andrzeja Dudy, gdy „wypada coś kupić", np. używane okręty w Australii, do drugiej. A przede wszystkim – od jednego do drugiego „rozdania" w grze z naszym kluczowym sojusznikiem, czyli USA, oraz nieco mniej ważnymi sojusznikami z Europy. Albo wreszcie – od jednego problemu z państwową fabryką broni, którą trzeba ratować przed upadkiem, do kolejnego z inną (lub tą samą) państwową fabryką broni, którą trzeba ratować przed upadkiem – gdy właściwie nie wiadomo, czy rządzącym bardziej zależy, by nasi państwowi producenci broni produkowali dobrą i niedrogą broń dla polskiej armii, czy żeby nie tracili pracy bez względu na to, czy cokolwiek produkują.

Cóż, oby i „Zapad-2021", który niby się skończył, a niestety, wciąż wygląda na to, jakby się nie skończył, zakończył się dla nas nie gorzej niż poprzednie. I by sprawił, żebyśmy wreszcie zbudzili się z tego obłąkańczego „Dnia Świstaka" po polsku. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Maski spadają

Proszę państwa, nie ma wyjścia – musimy wypowiedzieć wojnę Rosji. Taki musi być skutek najnowszych ustaleń Antoniego Macierewicza, które mogły państwu umknąć, bo choć ogłoszono je w ostatnim numerze „Gazety Polskiej", to jednak zostały przykryte przez rozprawę przed TK w sprawie prymatu konstytucji nad prawem unijnym, przez sprawę elektrowni w Turowie, przez decyzję Krajowej Rady w sprawie koncesji dla TVN, a także przez urodziny Roberta Mazurka i skutki tychże dla polityków Platformy Obywatelskiej.

Do spisku dołączyli wszyscy ci, którzy opuścili komisję Macierewicza i zgłaszali do niej jakieś uwagi, a także dziennikarze

Przypadek? Nie sądzę. To raczej pokazuje, jak rozgałęziony jest rosyjski spisek. Proszę tylko pomyśleć – należą do niego równocześnie Julia Przyłębska, Mateusz Morawiecki (to on złożył wniosek do TK), TVN24, Witold Kołodziejski (przewodniczący KRRiT), Donald Tusk (nie muszę tłumaczyć), Martin Půta (przewodniczący samorządu kraju libereckiego, sąsiadującego z Turowem), co najmniej część Komisji Europejskiej, a jako wisienka na torcie – sam redaktor Mazurek.

Wszystkie te osoby i potężne siły sprzysięgły się, aby wstrząsające informacje Antoniego Macierewicza przeszły całkowicie niezauważone. A przecież okazuje się nie tylko, że udało się odtworzyć z rejestratora odgłos wybuchów, które tupolewa rzuciły na ziemię, lecz także – uwaga! – dojść do tego, że w lewym skrzydle bliźniaczego samolotu (o numerze 102) znaleziono „materiał wybuchowy". Proszę mnie nie pytać, jak znaleziono, jak dokonał tego pan Macierewicz, a wszyscy inni wcześniej przeoczyli, czy ten materiał to były jakieś ślady czy gotowe do odpalenia ładunki. Po prostu znaleziono – i tyle. Ja tylko cytuję artykuł z „Gazety Polskiej".

Aha, zapomniałem dodać, że do spisku dołączyli wszyscy ci, którzy opuścili komisję Macierewicza i zgłaszali do niej jakieś uwagi, a także dziennikarze z prasy pozornie prawicowej, którzy podają ustalenia byłego ministra obrony w wątpliwość. Ja aktualnie czekam na przelew z Moskwy (товарищи, быстрее!).

Obawiam się jednak, że do spisku wciągnięty został także sam Jarosław Kaczyński, bo nie słyszałem, żebyśmy przygotowywali się do wysłania naszych żołnierzy w kierunku rosyjskiej stolicy. Maski spadają, proszę państwa. ©℗

eprasa.pl 4ac3c5591e

FOT. ADOBE STOCK

Francuskie zyski w Polsce

Tomasz Cukiernik

Mimo olbrzymich przychodów francuskie firmy płacą u nas minimalne podatki dochodowe. Więcej otrzymują państwowej pomocy z kieszeni podatnika, niż oddają w podatku CIT

Sierpniowy raport Związku Przedsiębiorców i Pracodawców pt. „Francuskie firmy w Polsce" przypomina, że w okresie transformacji ustrojowej „francuskie firmy brały intensywny udział w przekształceniach własnościowych spółek należących do Skarbu Państwa". W efekcie „biorąc pod uwagę jedynie kapitał zagraniczny, podmioty o francuskim pochodzeniu przejęły największą wartość udziałów w prywatyzowanych polskich spółkach, wyprzedzając drugie w kolejności Niemcy niemal pięciokrotnie pod względem wartości zainwestowanego kapitału". Pomnikowym przykładem jest prywatyzacja Telekomunikacji Polskiej, która została przejęta przez France Télécom, ale inwestycje czynione były także w innych strategicznych branżach. W ten sposób francuskie firmy korzystają na polskim rynku z taniej siły roboczej i mocnego wzrostu gospodarczego, który rozszerzał polski rynek, oraz stosunkowo niewielkiej konkurencji, budując swoją silną pozycję i czerpiąc z niej olbrzymie zyski. Jednym z elementów tej polityki jest konsekwentne unikanie płacenia podatków w Polsce. Jak czytamy w raporcie: „Mimo tak wielu korzyści płynących z dostępu do polskiego rynku wiele francuskich korporacji, wykorzystując sprzyjające inwestorom zagranicznym otoczenie prawno-biznesowe w Polsce, nie płaci podatku CIT lub jest on odprowadzany w marginalnej wysokości w porównaniu z osiąganymi lokalnie przychodami".

NIECHLUBNI REKORDZIŚCI

Niechlubne miano rekordzisty w zestawieniu ZPP dzierży spółka Auchan Polska sp. z o.o., której przychody w latach 2015–2019 wyniosły ponad 51 mld zł. W tym czasie zapłaciła ona polskiemu fiskusowi niecałe 1,8 mln zł, czyli 0,004 proc. przychodów. Inne to: Orange Polska SA z zapłaconym w Polsce podatkiem w wysokości 0,12 proc. przychodów, Carrefour Polska sp. z o.o. – 0,16 proc., Renault Polska sp. z o.o. – 0,4 proc., Valeo Autosystemy sp. z o.o. – 0,57 proc., Michelin Polska sp. z o.o. – 0,72 proc., Veolia Energia Warszawa SA – 0,73 proc. czy Decathlon sp. z o.o. – 0,86 proc.

– Przedsiębiorstwo w ujęciu tradycyjnej gospodarki kapitalistycznej powinno być nastawione na generowanie zysku. My natomiast żyjemy w czasach paradoksalnych, gdyż każdy chce mnożyć koszty, nawet fikcyjne, byleby tylko nie być podmiotem opodatkowania – mówi Karol Skorek, prezes Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Rolników SWOJAK. To oczywiście efekt istnienia podatku od dochodu. Gdyby podatek był od przychodu, to nie byłoby problemu mnożenia mniej lub bardziej fikcyjnych kosztów. A przecież zagraniczne koncerny korzystają z wybudowanej za pieniądze polskich podatników infrastruktury i z pracy pracowników wyedukowanych z polskich podatków.

eprasa.pl 4ac3c5591e

Jarosław Kujawski, wiceprezes stowarzyszenia Zjednoczeni dla Polski, uważa, że proceder umożliwia prawo, które w latach 1989–1992 było stanowione w Polsce, a które przetrwało do dziś.
– Można by zaryzykować stwierdzenie, że jest specjalnie napisane w ten sposób, aby spółki córki firm zachodnich mogły unikać płacenia podatków. Czy mamy tu do czynienia z usankcjonowanym prawnie lobbingiem i pisaniem prawa pod kogoś? Skoro politycy tego przez lata nie dostrzegają, to można odnieść wrażenie, że tak – wytyka Kujawski.

Francuskie firmy ochoczo korzystają z hojności polskiego państwa. Choć za to nie można ich potępiać – każdy uczestnik rynku próbuje optymalizować swoją pozycję finansową: korzystać z tego, co daje rynek, ale i z tego, co daje państwo. Winne są polskie władze, które rozdają zagranicznym firmom ciężko zarobione pieniądze polskich podatników. Jak czytamy w raporcie ZPP, „niektóre z francuskich firm otrzymały w latach 2015–2019 pomoc publiczną o znacznie większej wartości niż odprowadzony przez te podmioty podatek CIT. Oznacza to, że w tym bilansie Skarb Państwa niejako dopłaca do obecności i działalności tychże firm na terenie Polski, co dzieje się ze znaczącą szkodą dla polskich podatników, a przede wszystkim – rodzimych przedsiębiorców".

Na przykład spółka Orange Polska SA uzyskała w latach 2015–2019 pomoc publiczną w wysokości ponad 766 mln zł, uiszczając przy tym do budżetu jedynie ponad 77 mln zł z tytułu podatku CIT. Oznacza to, że francuska sieć komórkowa na każdą złotówkę zapłaconego podatku otrzymała niemal 10 zł pomocy publicznej. Skutek jest taki, że polskie firmy są „zmuszone konkurować na lokalnym rynku z francuskimi korporacjami, które ponoszą marginalne obciążenia podatkowe, a dodatkowo są wspierane środkami z pomocy publicznej o niebagatelnej wartości. Utrwala to dystans, jaki występuje między rodzimymi firmami a ich zagranicznymi odpowiednikami działającymi w Polsce". Co więcej, francuskie firmy korzystają też z rynku zamówień publicznych w Polsce: „Dwa podmioty, spośród wszystkich analizowanych, uzyskały zamówienia publiczne o wartościach zbliżonych do uiszczonego w tym okresie podatku korporacyjnego".

ZPP wskazuje, że aktualna luka w CIT wynosi ok. 1 proc. PKB, co jest rezultatem agresywnej optymalizacji podatkowej zachodnich koncernów. W związku z tym postuluje wprowadzenie minimalnej stawki podatku w wysokości 1 proc. od przychodów osiąganych w danym roku podatkowym. Gdyby powyższe rozwiązanie wprowadzono przed 2015 r., w symulacji dotyczącej Auchan Polska spółka – zamiast zapłaconych w latach 2015–2019 1,8 mln zł podatku CIT – zobowiązana byłaby do uiszczenia z tego tytułu ok. 510 mln zł. Również zdaniem Kujawskiego podatek obrotowy przy jednoczesnej likwidacji faktur kosztowych w 100 proc. wyeliminowałby zjawisko niesprawiedliwości, z jakim mamy obecnie do czynienia.

– Korporacje prowadzą globalną politykę optymalizacji kosztów i korzystają z dziur w prawie, taka ich natura – mówi Kujawski. – Dziury te jednak są znane wszystkim i dziwię się, dlaczego do tej pory nikt z tym nic nie zrobił. Podnoszenie podatków tu nic nie zmieni, usprawnienia systemu podatkowego nic nie wniosą, ponieważ cały czas te firmy będą mogły zaniżać dochody poprzez generowane przez centrale koszty lub korzystać z ulg podatkowych w strefach ekonomicznych. Premier Morawiecki jest w błędzie, Polski Ład nic pozytywnego tu nie wniesie poza dobiciem polskich firm – przekonuje.

– Gdyby rządzącym zależało na rozwijaniu i umacnianiu polskiej gospodarki, to sytuacja wyglądałaby odwrotnie, czyli polskie rodzime firmy korzystałyby z preferencyjnych zasad opodatkowania i innych obciążeń fiskalnych – dodaje Magdalena Stupkiewicz, wiceprezes Instytutu Wolności Gospodarczej im. Ronalda Reagana.

GOSPODARCZA ASYMETRIA

Francuskie czy też bardziej ogólnie – zachodnioeuropejskie – firmy są faworyzowane nie tylko przez polskie władze, lecz także przez eurokratów. Czasami w nierównej walce konkurencyjnej polskie firmy próbują walczyć o swoje prawa na forum unijnym. Wydaje się jednak, że takie działania z góry skazane są na porażkę. Przyjrzałem się dokładnie jednemu z takich przypadków z branży budowlanej. Komisja Europejska dawała wiarę jednej stronie sporu, a drugiej już niekoniecznie. Na przykład uważała za udowodnione i przyjmowała bez zastrzeżeń to, co wynikało z dokumentów przedstawionych przez firmą zachodnioeuropejską, a z drugiej strony podważała wiarygodność raportu renomowanej firmy konsultingowej Ernst & Young, napisanego na zlecenie polskiej firmy czy korespondencji tej firmy. Ponadto nie była zainteresowana dowodami sugerowanymi przez polską firmę.

Patrząc z boku na decyzję Komisji Europejskiej w sprawie sporu pomiędzy polską a zachodnioeuropejską firmą, można dojść do wniosku, że to, co w niej napisano, jest wielką kompromitacją tego unijnego urzędu. Otóż Komisja Europejska sama przyznaje, że przed wydaniem rozstrzygnięcia… nie przeprowadziła szczegółowego postępowania wyjaśniającego, bo to wymagałoby zbyt dużo pracy! Mało tego, w całej decyzji nie ustala faktów, że coś jest albo czegoś nie ma, że coś udowodniła albo nie udowodniła, tylko nagminnie stosuje takie niewyraźne określenia, jak „wydaje się", „nie wydaje się", „najprawdopodobniej", „mało prawdopodobne". Czy gdybanie jest właściwą podstawą do wydawania jakiejkolwiek decyzji? No ale skoro Unia Europejska niszczy całą polską energetykę i nasadziła się na polską branżę transportową, to co znaczy dla niej drobna firma z branży budowlanej…

Zresztą nie pierwszy raz w ten sposób zachowują się organy Unii Europejskiej. Tak jest w przypadku kompletnie nieprzemyślanej decyzji TSUE w sprawie zamknięcia kopalni węgla brunatnego Turów czy działań Komisji Europejskiej oraz TSUE zakazujących usunięcia zakażonych kornikiem drzew, w wyniku których teraz umiera Puszcza Białowieska. Tylko na tej podstawie można wyrazić pogląd, że bezstronność organów Unii Europejskiej można włożyć między bajki. Tym bardziej że zwykle chodzi o coś zupełnie innego, niż oficjalnie mówią eurokraci.

Autor czy też autorzy raportu ZPP zwracają ponadto uwagę na istotną asymetrię w kontaktach handlowych między Francją a Polską. Polskie firmy są we Francji dyskryminowane przez tamtejszą administrację: „Stosowane przez ten kraj praktyki protekcjonistyczne mają charakter systemowy, a francuska administracja pozwala lokalnym firmom budować swoją pozycję gospodarczą na łamaniu prawa europejskiego, ze szkodą dla bezpieczeństwa konsumentów i integralności jednolitego rynku. To istotnie odbija się na polskich przedsiębiorstwach, które spotykają się z wieloma barierami przy świadczeniu usług transgranicznych i działalności eksportowej". W tym kontekście wspólny unijny rynek to niewiele mówiący frazes.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

Śląskie zmienia swoje oblicze

– Nasz region do końca dekady ma oderwać się od kreślonego przez lata stereotypu utożsamiania go wyłącznie z przemysłem ciężkim z dominującą rolą górnictwa i hutnictwa – akcentuje Jakub Chełstowski, marszałek województwa śląskiego

Na początku października odbędzie się Europejskie Forum Przyszłości. To wydarzenie niezwykle ważne dla regionu. Jakie tematy będą – z pana perspektywy – najważniejsze podczas tegorocznej inicjatywy Śląskiego Funduszu Rozwoju?

Europejskie Forum Przyszłości to zupełnie nowe, ale biorąc pod uwagę przyszłość regionu, bardzo ważne wydarzenie w kalendarzu największych imprez społeczno-gospodarczych. W marcu województwo śląskie otrzymało prestiżową nagrodę Europejskiego Regionu Przedsiębiorczości za najlepszą strategię w zakresie wsparcia gospodarki i przedsiębiorstw w trudnym okresie walki z pandemią. We współpracy z Komisją Europejską i administracją rządową przygotowaliśmy największy w Polsce regionalny program pomocy gospodarce o wartości 1,4 mld zł. To pozwoliło wielu firmom przetrwać kryzys i zachować miejsca pracy. Za to nas doceniono, jednak Europejskie Forum Przyszłości jest już krokiem dalej. Nie mówimy o tym, co było, lecz koncentrujemy się na przyszłości. Nasze województwo do końca dekady ma zmienić swoje oblicze, oderwać się od kreślonego przez lata stereotypu utożsamiania go wyłącznie z przemysłem ciężkim z dominującą rolą górnictwa i hutnictwa. Kluczem jest przyjęta przed rokiem jednogłośnie przez sejmik strategia „Zielone Śląskie 2030". To jej zapisy

eprasa.pl 4ac3c5591e

wyznaczają kierunek zmian. Strategia koncentruje się na poprawie jakości życia w regionie oraz zielonej transformacji gospodarczej. Województwo śląskie ma przeobrazić się w region w pełni przyjazny środowisku, opierający się na nowoczesnych, proekologicznych technologiach.

Chcemy czerpać wiedzę na bazie doświadczeń wielu innych państw, które już zdążyły przetrzeć ten szlak. Dlatego pierwszy dzień Europejskiego Forum Przyszłości zdominuje dyskusja o barierach, wyzwaniach i celach Starego Kontynentu, także w wymiarach cyfrowym oraz elektromobilności.

Drugi dzień forum upłynie pod znakiem przedsiębiorczości – to czas start-upów i inwestorów, a także 25-lecia stref ekonomicznych w Polsce. Z kolei w trzecim dniu zaproszeni goście będą rozmawiali o przemyśle czasu wolnego i turystyce. Właściwie każda z części forum będzie dla nas istotna. Rozmawiamy bowiem o przyszłości naszego regionu, który czekają zmiany, w dużej mierze wręcz rewolucyjne. Choć zawsze powtarzam, że proces transformacji trwa u nas od 30 lat. Dzisiejszy Śląsk już mocno różni się od tego, jaki pamiętamy choćby z początku lat 90.

W niedawnym wywiadzie dla „Wprost" opowiadał pan o perspektywach rozwoju województwa śląskiego. Jakie są priorytety na najbliższe lata i największe planowane inwestycje?

Strategia inwestycyjna przebiega w wielu obszarach. Do województwa śląskiego w ramach nowej perspektywy unijnej na lata 2021–2027 ma trafić rekordowa kwota 4,4 mld euro. Śląskie jest pierwszym regionem w procesie konsultacji i największym beneficjentem środków spośród wszystkich regionów. Planowana w przyszłym RPO kwota w wysokości 2,4 mld euro będzie wzmocniona 2 mld euro z Funduszu Sprawiedliwej Transformacji. To olbrzymie środki, jakimi region nigdy nie dysponował. Jeśli doliczymy do tego pieniądze z innych programów, to strumień środków na rozwój regionu w najbliższej dekadzie będzie bezprecedensowy. W kontekście samych inwestycji kluczowa jest komunikacja. W tegorocznym budżecie na zadania drogowe zapisano kwotę ok. 540 mln zł. Na budowę i modernizację infrastruktury drogowej przeznaczane są także środki z Regionalnego Programu Operacyjnego na lata 2014–2020. Na drogach województwa kontynuujemy cztery projekty własne o wartości ok. 357 mln zł, z czego ok. 168,6 mln zł to środki unijne. Jest to budowa Regionalnej Drogi Racibórz–Pszczyna, Wschodniej Obwodnicy Raciborza, przebudowa DW nr 933, drugi etap przebudowy DW 791 i także drugi etap przebudowy DW nr 913. Ponad 200 mln zł pochłonie organizowanie i dotowanie regionalnych kolejowych przewozów pasażerskich wykonywanych przez spółki Koleje Śląskie i POLREGIO. Bez sprawnej komunikacji nie można mówić o dużych inwestycjach. Infrastruktura drogowa to podstawa.

Likwidacja przemysłu wydobywczego to ogromne wyzwanie, przed którym stoi województwo śląskie. Z tym – jak często pan podkreśla – wiąże się konieczność redefinicji gospodarki, która oddziałuje na całą Polskę.

I nadal to podtrzymuję. Warto podkreślić, że jedno miejsce pracy w górnictwie to średnio cztery miejsca w branży z nią związanej. Są to nie tylko duże podmioty, lecz także przede wszystkim cały wachlarz firm reprezentujących małe i średnie przedsiębiorstwa. Często firm rodzinnych rozsiane po całej Polsce. Wchodzimy w najważniejszy etap transformacji. Razem ze zmianami ustrojowymi w latach 90. przyszły wyzwania wolnorynkowe, ale okupione podówczas ogromnym kryzysem w całym sektorze, który – jak pamiętamy – znalazł się wtedy na krawędzi. Z 70 kopalń i 400 tys. pracowników w 1990 r. do dziś pozostało nam 20 kopalń i 80 tys. miejsc pracy w górnictwie. Jak łatwo policzyć, zatrudnienie spadło o 80 proc., a liczb kopalń o ponad 60 proc. Podobna skala redukcji musiała dotknąć przedsiębiorstwa okołogórnicze. Możemy jednak w tym wypadku polegać wyłącznie na szacunkach, bo nikt oficjalnych statystyk nie prowadził. Dziś z nowymi wyzwaniami na pewno poradzimy sobie lepiej niż przed 30 laty. Jesteśmy na to przygotowani. Mamy nowe instrumenty finansowe i zaplanowaliśmy znacznie więcej czasu na wprowadzenie koniecznych zmian. Pomoc zostanie skierowana tam, gdzie jest najbardziej potrzebna. Będziemy wspierać firmy okołogórnicze w rozwijaniu innowacji i zaawansowanych technologii na rzecz produkcji alternatywnej wobec górnictwa.

Nie jest tajemnicą, że województwo przyciąga krajowe i międzynarodowe firmy IT. Czy również przedsiębiorcy z innych obszarów planują związać swoje biznesy z tym regionem?

Po naszej stronie jako województwa jest stwarzanie odpowiednich, atrakcyjnych warunków do inwestowania. W Katowickiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej w 2020 r. ogłoszono realizację aż 57 projektów inwestycyjnych wartych ponad 4,9 mld zł, dzięki którym pracę w regionie znajdzie ponad 1,5 tys. osób, a firmy planujące nowe inwestycje utrzymają dotychczasowe zatrudnienie na poziomie 6,4 tys. pracowników. Według analiz „Pulsu Biznesu" jest to najlepszy wynik wśród wszystkich stref ekonomicznych w Polsce. Co więcej, rok 2020, mimo pandemii, okazał się rekordowy pod kątem ogłaszania inwestycji w ramach stref ekonomicznych w Polsce. Ich liczba była największa od kilku lat. Od lat bardzo dobrze na Śląsku „czuje" się segment automotive. W KSSE swoje zakłady, siedziby lub oddziały już posiadają największe międzynarodowe firmy tej branży. Z przesłanek, które do nas docierają, wynika, że ten trend będzie się utrzymywał. Dla przykładu: w FCA Poland Tychy będą produkowane nowoczesne samochody z napędem elektrycznym i hybrydowym.

Oprócz tego duże zainteresowanie inwestycjami w regionie wykazują branże metalowa i budowlana. Śląskie jest bardzo silnym ośrodkiem medycznym. Wiosną podpisaliśmy umowę ze Śląskim Uniwersytetem Medycznym, co ma skutkować w praktyce nowymi projektami naukowymi. Nadrzędnym zaś celem jest stworzenie odpowiedniego zaplecza dla przyszłych kadr.

Dlaczego warto tu lokować swoje pieniądze? Jakie argumenty mogą do tego przekonać potencjalnych inwestorów?

Śląsk jest bardzo dobrze położony komunikacyjnie, blisko granicy. Do tego znajduje się tu wiele ośrodków naukowych. Oferujemy wykształcone kadry, mamy wielu doświadczonych inżynierów i pracowników, którym nie są obce etos i kultura wydajności pracy. Jest to ogromny kapitał. Te trzy czynniki – dobrze rozwinięta infrastruktura, położenie i potencjał ludzki – to niewątpliwie atuty naszego regionu. Dla inwestorów wymienione argumenty powinny być magnesem do lokowania swojego biznesu właśnie w województwie śląskim.

eprasa.pl 4ac3c5591e

Trochę szalony trener

Łukasz Majchrzyk

Vital Heynen miał sukcesy, niekonwencjonalne metody treningowe i zawsze coś ciekawego do powiedzenia. Czy polscy kibice siatkówki będą za nim tęsknić?

Nie zawsze były zwycięstwa, ale na pewno nigdy nie było nudy. Belg Vital Heynen jako trener kadry siatkarzy potrafił zaskakiwać, a czasami szokować swoimi pomysłami. Długo prowadził Biało-Czerwonych od zwycięstwa do zwycięstwa, jednak w turnieju olimpijskim, najważniejszym za jego kadencji, poniósł spektakularną porażkę. Polacy w Tokio nie przebrnęli nawet przez ćwierćfinał. W zakończonych właśnie mistrzostwach Europy zajęli trzecie miejsce, chociaż wszyscy liczyli na złoty medal. Dlatego Heynen odchodzi.

Sam szkoleniowiec czuł, że coś się skończyło, i po ostatnim meczu ME w szatni wygłosił do zawodników bardzo emocjonalną przemowę, którą zarejestrowały kamery Polsatu. Pojawiły łzy. Później napisał w mediach społecznościowych podziękowania dla kibiców, którzy zawsze wspierali jego samego i drużynę. Pewnie gdyby to fani mieli decydujący głos, Heynen zostałby na stanowisku.

KAŻDY MIAŁ SZANSĘ

Zawsze podczas prezentacji drużyny dostawał głośne brawa, a sam potrafił się odwdzięczyć miłymi gestami. Obiecał, że nauczy się mówić po polsku. Słowa dotrzymał i uczył się systematycznie, chociaż łatwo mu nie było. Po jednym z turniejów wziął mikrofon do ręki i zaczął przemawiać w hali. Fani nad Wisłą są wyczuleni na takie rzeczy, zwłaszcza że inni zagraniczni selekcjonerzy (nie tylko siatkarscy) do takiej biegłości nie doszli nigdy.

Jeśli do głosowania w sprawie pozostawienia trenera zostaliby dopuszczeni zawodnicy, to zapewne wynik byłby taki sam jak w przypadku kibiców, bo drużyna wyglądała na zjednoczoną, tak jak chyba już dawno nie była. Nie słychać było o konfliktach, chociaż każdy z zawodników miał swoje ambicje, głód gry, a pewnie nawet pomysły na to, jak rozegrać najtrudniejsze akcje. Jeśli nawet tak było, to głośno o tym nie mówili, podporządkowując swoje cele dobru drużyny.

To był jeden ze znaków rozpoznawczych pracy Belga w Polsce, który zawsze starał się dbać o dobrą atmosferę, a zadania nie miał łatwego. Sezon reprezentacyjny w siatkówce jest ciężki i fizycznie, i psychicznie. Kiedy już wróci się z urlopu po długim i męczącym sezonie ligowym, to zaczyna się trwające kilka tygodni zgrupowanie, które z kolei kończy się wyczerpującym turniejem, często rozgrywanym na drugiej półkuli.

Vital Heynen na koniec przygody z polską kadrą siatkarzy zdobył brązowy medal mistrzostw Europy FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 4ac3c5591e

Nic dziwnego, że Heynen, kiedy tylko mógł, opuszczał wygodny, chociaż pozbawiony atrakcji ośrodek w Spale i wyjeżdżał z siatkarzami do Zakopanego. Tam nie tylko były znakomita baza, klimat wysokogórski, lecz także bardziej urozmaicone widoki i miejsca, w które można było wyjść, żeby przewietrzyć głowę. Sam belgijski szkoleniowiec pokochał polskie góry. Przed rozpoczęciem obozu, który jego siatkarzy przygotował do zdobycia złotych medali na mistrzostwach świata, dwa razy w ciągu tygodnia wszedł na Rysy.

Później żartował, że chętnie zabrałby też zawodników, ale mogliby spaść po drodze i miałby dodatkowy kłopot. Wysiłku i aktywności integracyjnych i tak nikomu nie brakowało, a każdy miał się czuć w drużynie dobrze, bez względu na to, czy był doświadczonym reprezentantem czy debiutantem, najlepszym siatkarzem na świecie czy chłopakiem, który dopiero walczy o swoje. Na zgrupowanie w 2018 r. zaprosił Wilfreda Leóna, który wtedy dopiero starał się o pozwolenie na reprezentowanie Polski. Heynen powtarzał, że chce lepiej poznać zawodnika, którego ma włączyć do drużyny. Tak właśnie działał Belg.

Później, podczas kolejnych zgrupowań, też podkreślał, że siatkarze muszą się stać prawdziwą jednością, chociaż pochodzą z różnych stron Polski, z różnych rodzin, wnoszą ze sobą do reprezentacji indywidualne historie. Ci bardziej wylewni mieli się dogadywać z introwertykami, a młodsi – ze starszymi. Przy okazji to wszystko nie mogło się odbywać na siłę i być sztucznie kreowane. Siatkarze nie mogli być wyrywani ze swoich grupek, w których lubili spędzać czas, ale raczej łączyć je w jedną całość. Dlatego wprowadził zasadę: jeśli masz jakiś problem, to nie przychodź od razu do mnie, ale porozmawiaj ze starszymi kolegami. Oni wiele już w życiu widzieli, wiedzą, jak radzić sobie ze stresem, są w twoim wieku. Dopiero, jeśli nie uda się załatwić sprawy na tym pierwszym poziomie, zaangażuj trenera.

To było umiejętne zarządzanie zespołem. Dzięki temu selekcjoner miał więcej czasu na myślenie o taktyce czy na układanie treningów. Pomagało to też w budowaniu odpowiedzialności za wspólny wynik, a zarazem w tworzeniu poczucia wspólnoty.

SAMI OPRACUJCIE TRENING

Niektóre pomysły na pierwszy rzut oka mogły szokować, wyglądały na szalone, ale na pewno był w tym cel, tak jak wtedy, gdy na początku jednego ze zgrupowań Heynen zapowiedział, że to zawodnicy sami mają wymyślić, nad czym chcą pracować i jaki ma być plan dnia. Trener nie ma pomysłów? Tak się nie robi? Nic podobnego, dzięki temu poznawał lepiej swoich siatkarzy, ich potrzeby. Każdego chciał „dotknąć", z każdym porozmawiać. Do legendy przeszły wspólne reprezentacyjne grille. Tak pracował nie tylko w Polsce, lecz także już wcześniej, choćby z reprezentacją Niemiec. Swoich podopiecznych potrafił poznać na tyle dobrze, że doradzał nawet przy wyborze partnerki życiowej. Poznał ze sobą reprezentanta Niemiec Christian Fromma i Maren Brinker, którzy dzisiaj są małżeństwem.

Budował również atmosferę wokół reprezentacji. Nie próbował jej odcinać od mediów i kibiców, ale robił wręcz odwrotnie. Zapraszał dziennikarzy na zgrupowania, pozwalał organizować dni medialne. Niektórzy trenerzy budują poczucie wspólnoty na zasadzie oblężonej twierdzy – „my przeciwko złemu światu". Heynen zapraszał świat do siebie i sam do niego wychodził. Był na pierwszej linii frontu, nie unikał wywiadów, zawsze znalazł czas, żeby odebrać telefon. Jeśli nie dało się inaczej, to robił to podczas zakupów w markecie albo na spacerze i zawsze powiedział coś ciekawego.

Warto było go słuchać, bo miał niekonwencjonalne spojrzenie na siatkówkę i na życie. Podczas rozgrzewek proponował np. odbijanie piłki wózeczkami czy łapanie ich w odwrócone krzesełka. W hali w Łodzi znalazł plastikowe drzewka, więc ustawił je na środku parkietu i zapowiedział, że piłka nie może ich dotknąć. Z pozoru były to bezsensowne aktywności, ale dzięki temu unikał nudy i rutyny, a zawodnicy uczyli się reagować na nietypowe sytuacje.

Inspiracje czerpał też z książek i to nie tylko tych poświęconych siatkówce. Podczas kolejnych lockdownów, kiedy wszyscy siedzieli w domach (Heynen wreszcie miał wtedy więcej czasu dla rodziny mieszkającej w Belgii), czytał m.in. „Simple but not easy" Richarda Oldfielda, bo wierzy, że nawet najtrudniejsze sprawy można uprościć. Miał też czas na gotowanie i nawet chwalił się, że potrafił wystać przy garnku, mieszając przez 45 minut ryż, żeby przyrządzić dobre risotto. Poczucie humoru i żarty to były jego znaki rozpoznawcze. Czasami trudno było wyczuć, czy mówi serio, zwłaszcza że potrafił przy tym zachować minę pokerzysty. Miał też skłonność do prawdziwie pokerowych zagrywek. W 2019 r. nie poleciał z drużyną na turniej finałowy Ligi Narodów do USA. Drużynę, złożoną z młodych graczy, prowadził Jakub Bednaruk, a on sam wrócił na treningi do Zakopanego, bo chciał zobaczyć, jak radzą sobie jego podstawowi siatkarze.

To dzięki Heynenowi do reprezentacji trafiło wielu młodych graczy, którzy przez najbliższych kilka lat powinni stanowić o sile zespołu, ale jego najbardziej zaufanym żołnierzem był doświadczony Michał Kubiak. Podobno obaj patrzą na siatkówkę w podobny sposób i świetnie się rozumieją. Kapitan Kubiak to poza tym prawdziwy wojownik, który potrafi poderwać drużynę. Kiedy podczas MŚ w 2018 r. miał problemy zdrowotne, Polacy od razu wpadli w kłopoty. Nic dziwnego, że ten siatkarz był jedynym pewniakiem do gry w drużynie prowadzonej przez belgijskiego trenera.

Niektórzy twierdzą, że właśnie to się na Polakach zemściło podczas igrzysk olimpijskich w Tokio. Kubiak znów narzekał na zdrowie, nie był w najwyższej formie, a mimo to grał, chociaż gotowi byli też inni zawodnicy, potrafiący walczyć na najwyższym poziomie (mówi się nawet, że Heynen miał do dyspozycji najbardziej utalentowaną grupę w historii polskiej siatkówki).

CZAS NA KOBIETY?

Być może trener popełnił w Japonii błędy, które zaważyły na końcowym wyniku, ale na pewno nie zostawia po sobie spalonej ziemi. Nowy trener będzie miał do wyboru szeroką grupę zawodników, z których można zbudować silną reprezentację.

Decyzję o tym, kto to będzie, podejmą nowe władze Polskiego Związku Piłki Siatkowej. Musi to być ktoś, kto „zagwarantuje" sukces. Mistrzostwo świata, które Belg obronił, to wielki sukces, jednak ciągle potrzebne jest nowe wysokoenergetyczne paliwo.

Sam Heynen wcale nie musi z Polski wyjeżdżać. Pojawiły się informacje, że może się zgłosić do prowadzenia reprezentacji Polski kobiet. Czy to możliwe? Na pewno nie jest wykluczone. Poprzedni szkoleniowiec Polek Jacek Nawrocki przez większą część kariery pracował z drużynami męskimi, podobnie przekwalifikował się Stéphane Antiga. Sam Heynen mówi, że Polska to najlepsze miejsce pracy na świecie. Wypada się tylko z nim zgodzić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ac3c5591e

NASZ TEST: SŁUCHAWKI SENNHEISER HD 250BT

Świetny stosunek ceny do jakości dźwięku, niezła bateria i niska waga – to największe zalety tanich bezprzewodowych słuchawek nausznych o zamkniętej konstrukcji.

HD 250BT to najtańszy model w ofercie niemieckiego producenta. Słuchawki wyglądają estetycznie i lekko. Twarde i tanie tworzywo sztuczne, a także brak gąbki czy jakiegokolwiek innego obicia pałąka od razu dają do zrozumienia, że trzyma się w ręku słuchawki przeznaczone co prawda dla aspirujących audiofilów, ale za to z bardzo mocno ograniczonym budżetem. Na szczęście producent zadbał o niską wagę tego modelu (125 g), dzięki czemu jest on o wiele wygodniejszy, niż na to wygląda. Miękko wykończone nauszniki są średniej wielkości i nie zakrywają całych uszu. Fizyczne przyciski sterujące również nie są uosobieniem piękna – są za to łatwo wyczuwalne i dobrze sprawdzają się w codziennym użytkowaniu.

Model został wyposażony w Bluetooth 5.0, kabel do ładowania USB-C i koniec. Największą zaletą tych słuchawek – poza niską ceną – jest jakość dźwięku, która, jak na tę półkę cenową, jest więcej niż przyzwoita. Za niecałe 250 zł model HD 250BT oferuje fajne basy, jednocześnie zapewniając użytkownikowi wciągający środek oraz czystą górę z otwartą sceną muzyczną. Oczywiście niskie tony mogłyby być głębsze (miłośnicy potężnego, dominujące basu powinni poszukać innych słuchawek), ale przynajmniej nie jest to model, który przerysowanymi basami zagłusza brak detali. Poziom szczegółowości dźwięku jak na tę klasę cenową jest bardzo dobry. Plusem testowanego modelu jest także to, że oferuje on wsparcie dla kodeków aptX, aptX Low Latency oraz ACC.

Do dostosowania wrażeń odsłuchowych do osobistych preferencji służy intuicyjny w obsłudze korektor w aplikacji Smart Control. Nie sprawi on co prawda, że Margaret nagle zacznie brzmieć dobrze na żywo, ale apka zawsze da już jakieś podstawowe możliwości poprawy jakości dźwięku. Aplikacja pozwala też na sprawdzenie poziomu naładowania słuchawek. Bateria według producenta pozwala na słuchanie muzyki przez maksymalnie 25 godzin. W praktyce podczas testów słuchawki wytrzymywały przeważnie 22–24 godziny, co i tak jest niezłym wynikiem. Jeśli chce się dotrwać do obiecywanych 25 godzin na jednym ładowaniu, to należy nie przesadzać z głośnością i skupić się na słuchaniu muzyki z wykorzystaniem standardowego podpasmowego kodeka SBC.

Połączenie bezprzewodowe jest stabilne. Szkoda jednak, że nie da się sparować kilku urządzeń jednocześnie. Do prowadzenia rozmów telefonicznych przydałyby się również lepszej klasy mikrofon i jakiś system redukcji szumów – w cichym pomieszczeniu mikrofon wbudowany w testowane słuchawki powinien się sprawdzić, ale już w głośnym biurze, a tym bardziej na dworze rozmówcy mogą się już skarżyć, że nie słyszą wyraźnie wypowiadanych przez nas słów.

Droższego modelu powinni też poszukać ci, dla których komfort użytkowania jest tak samo ważny jak jakość dźwięku. W przypadku HD 250 BT nie jest źle, ale wykonany z tanich materiałów pałąk sprawia, że nie są to słuchawki, które dopieszczałyby ich „nosicieli". Wszelkie niedogodności wynagradza za to niska cena, która wynosi zaledwie 235 zł. ©℗

Jacek Przybylski

NAPRAWDĘ WIELKIE TELEWIZORY

1000 cali! O tym, że taką przekątną ma telewizor Samsung The Wall, informowaliśmy już w tej rubryce. Do walki o klientów z wielkimi ścianami w ogromnych rezydencjach przystąpiła również firma LG. Południowokoreański gigant wprowadził do oferty telewizor o przekątnej 325 cali, czyli aż 825 cm. Dzięki zastosowaniu 33 mln diod LED obraz może być wyświetlany w rozdzielczości 8K. Gadżet jest nie tylko wielki, lecz także piekielnie drogi. Za 325-calowy telewizor trzeba zapłacić 1,7 mln dol., czyli równowartość 6,85 mln zł. Za same przeglądy trzeba zapłacić równowartość 117 tys. zł.

ROWER HARLEY-DAVIDSON

Niecały rok po rozpoczęciu prac nad rowerami elektrycznymi pod należącą do firmy Harley-Davidson marką Serial 1 firma ogłosiła wprowadzenie do sprzedaży modelu Mosh/Tribute. To hołd dla motoru wyprodukowanego w roku 1903. Do klasycznych białych opon i rączek obszytych brązową skórą producent dołożył akumulator o pojemności 529 Wh, który pozwala na przejechanie na jednym ładowaniu od 56 do 169 km w zależności od prędkości, nachylenia terenu etc. Model wyposażony jest w hamulce tarczowe. Cena wynosi 5999 dol., czyli równowartość 23,5 tys. zł. Chętni muszą się spieszyć, bo edycja jest limitowana do zaledwie 650 sztuk. ©℗ ***Jacek Przybylski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4ac3c5591e

W obronie podatku liniowego uwag kilka

Piotr Hofman

Podatek liniowy od dochodów osób prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą okazał się sukcesem. To rozwiązanie było i w dalszym ciągu jest jednym z fundamentów rozkwitu przedsiębiorczości w naszym kraju. Potwierdziło, że drzemią w nas potencjał i żyłka do biznesu. Obecnie w tej formie rozlicza się z fiskusem ok. 700 tys. podatników. Są to często ludzie działający w wymagających wysokich kwalifikacji branżach, takich jak IT. Specjaliści, którzy zamiast zakładać firmy w Czechach czy Estonii, wybrali Polskę właśnie dlatego, że mogli skorzystać z opodatkowania liniowego. To przedstawiciele wolnych zawodów, których wiedza i kompetencje są bardzo potrzebne naszemu krajowi, aby szybko i stabilnie się rozwijał. W obecnych warunkach ludzie ci mogą wybrać inną jurysdykcję podatkową, dla kogoś, kto osiąga znaczny dochód i wykonuje rozchwytywany zawód, nie jest to jakiś specjalny problem. Szczególnie że najwyższej klasy eksperci są potrzebni wszędzie, informatyków, inżynierów i lekarzy potrzeba w całej Europie. Zamiast ich przyciągać atrakcyjnym opodatkowaniem, poprzez niekorzystne zmiany zachęcimy jedynie do wyboru innego miejsca dla rozwoju zawodowego.

Proponowane przez Polski Ład rozwiązania niestety kończą erę podatku liniowego w Polsce. Brak możliwości skorzystania z nowej kwoty wolnej czy proporcjonalna do dochodu składka zdrowotna, nawet jeśli ma być niższa niż dla pozostałych przedsiębiorców, to jednak kres rozwiązania podatkowego, które się przecież przez tyle lat sprawdziło. Tak, opodatkowanie liniowe dla przedsiębiorców dawało im poważne korzyści. Dodać jednak trzeba, że korzystała na tym cała polska gospodarka. Nie ma bowiem wzrostu gospodarczego, nie ma rozwoju branż opartych na dużej wartości dodanej, nie ma innowacyjności bez ludzi przedsiębiorczych i zdolnych. Podatkowe korzyści dla nich w dłuższym okresie są dobre także dla innych. Polska staje się bowiem krajem, w którym warto inwestować, w którym są ludzie o koniecznych dla nowoczesnej gospodarki kompetencjach. To ważne, bo tworzy to klimat dla dobrej koniunktury, na którym przecież wszyscy korzystamy. Na którym finalnie korzysta także budżet państwa.

Filozofia, na której opierać się powinny projektowane rozwiązania podatkowe, nie może koncentrować się wyłącznie na logice redystrybucji. To podejście krótkowzroczne. Musimy nauczyć się promować postawy takie jak przedsiębiorczość, własna inicjatywa – która niejednokrotnie wiąże się z ryzykiem – ale dzięki której idziemy do przodu. Państwa, które brną w fiskalizm, muszą zrozumieć, że jedynym uzasadnieniem dla takiego podejścia jest najwyższa jakość usług publicznych. Niestety, w Polsce te pozostawiają nadal bardzo wiele do życzenia. Zamiast zatem dokładać kosztów, lepiej pomyśleć o tym, jak wspierać tych, którzy mimo kiepskich warunków decydują się na ryzyko i zakładają własne firmy. Ich sukces jest sukcesem nas wszystkich. Nie można kierować się logiką, zgodnie z którą dlatego, że im się powodzi i są odważni, trzeba im coś zabrać.

Rzecznik małych i średnich przedsiębiorców Adam Abramowicz zaprezentował rozwiązanie, które wydaje się w tym kontekście najrozsądniejsze. Zaproponował mianowicie stałą dziewięcioprocentową składkę zdrowotną dla osób rozliczających się podatkiem liniowym, naliczaną od średniego wynagrodzenia w gospodarce narodowej. W 2022 r. byłaby to kwota 533 zł. To wzrost wysokości tej daniny o 40 proc. w porównaniu z rozwiązaniem, które obowiązuje obecnie. Niemniej to wzrost, który zachować pozwoli istotę opodatkowania liniowego, a wobec tego daje nadzieję, że ta forma opodatkowania przetrwa. Jest to zatem rozwiązanie kompromisowe. Korzystają finanse publiczne, bo składka wzrośnie, a zatem zwiększą się wpływy do NFZ. W porównaniu z pierwotnymi propozycjami wysuwanymi przez rząd skorzystają także przedsiębiorcy. Ogólnie zatem to mechanizm typu win-win. Dobre pomysły zasługują na to, aby je realizować. Zwolennicy podatku liniowego w Polsce podkreślają, że celem jego wprowadzenia jest przyspieszenie wzrostu gospodarczego i zmniejszenie dystansu do zamożnych krajów Europy, natomiast skale progresywne są właściwsze dla gospodarek rozwiniętych, gdzie linearyzacja skali podatkowej nie daje tak silnych bodźców rozwojowych dla gospodarki, jak to ma miejsce w przypadku gospodarek rozwijających się. W moim przekonaniu, biorąc pod uwagę okoliczności, ważne jest, aby debata publiczna w temacie rozwiązań podatkowych proponowanych przez Polski Ład uratowała liniowy model podatkowy.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 4ac3c5591e

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pożytek z bździela

Bździel aż do połowy XIX w. działał w każdym polskim mieście, zwłaszcza położonym na równinach, nad dużymi rzekami. Dziś nie zobaczymy go w żadnym skansenie, odszedł bowiem razem z dawnym młynarstwem jeszcze przed rewolucją przemysłową końca wieku. Obecny tylko na dawnych obrazach i grafikach pokazuje ciekawy klimat epoki, w której Wisła i jej dopływy zastępowały dzisiejsze autostrady.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Co kryło się pod tą zaskakującą nazwą? Otóż był to specyficzny młyn zwany pływakiem, młynem „łodnym" lub „barkowym". Zamiast na brzegu rzeki lub strumienia, budowany był na tratwie lub wielkiej łodzi i zakotwiczony w nurcie rzeki, który poruszał jego koło podsiębierne. Były ich dziesiątki, często połączonych w grupy, widzimy je na obrazach dawnych miast polskich – przede wszystkim Warszawy; ukazane są na sztychach wykonanych według rysunków Erika Dahlberga z czasów potopu szwedzkiego i na obrazach Bernarda Belotta Canaletta ukazujących panoramę miasta z czasów stanisławowskich. Jak podaje Bohdan Baranowski w „Polskim młynarstwie", pierwsze pływaki pojawiły się u nas pod koniec XIII w., np. w Sandomierzu w 1286 r. W Europie były one bardzo rozpowszechnione, w Kolonii pierwszy odnotowany został w połowie XII stulecia, we Włoszech pierwsze pracowały w połowie IX w. na Padzie. Najstarszy funkcjonował prawdopodobnie w 537 r. w Rzymie.

Skąd wzięła się nazwa tego urządzenia? Otóż jest to słowo z gwary XVII-wiecznych flisaków. Jako pierwszy podał je Sebastian Klonowic w swoim wierszu „Flis" będącym tak naprawdę podręcznikiem spławiania towarów Wisłą. Pisze on:

A młyn pobrzeżny na Wiśle zwij bździelem.
Jeśli się upsniesz, pewnie cię nachylim,
Snadź i rozkwilim
Nowy sterniku wara tego bzdziela,
Roztrącisz-li go, będzie krotofila;
Musisz trzy kopy do młynarza stracić,
Młyn mu zapłacić.

W poemacie Klonowica zawiera się przestroga, przez którą zresztą zlikwidowano w XIX w. wszystkie takie obiekty. Były one niebezpieczne dla żeglugi. Zwłaszcza że często łączono je w grupy po kilka. Spławiane w dół rzeki tratwy z drewnianych bali, szkuty wyładowane zbożem i inne łodzie mogły łatwo uderzyć i porwać ze sobą bździela, doprowadzając do katastrofy:

Wszytka młynica zawisła na kołku,
Jeśli ją urwiesz szalony pachołku,
Powieziesz z sobą z niemałym gomonem
Młynarza z domem.

Dlatego w XIX w. władze zaborcze rozpoczęły usuwanie bździeli z rzek; najpierw pozbyto się ich w zaborze pruskim, potem w Królestwie i Galicji, ostatnie funkcjonowały jeszcze przed pierwszą wojną światową. Dziś jedynym pływakiem w Polsce jest bździel zrekonstruowany przez klub wodny Kon-Tiki z Pińczowa.

Źródła ikonograficzne pokazują, że na wodach Wisły i innych rzek funkcjonowały dwa typy pływaków. Najprostsze były budowane na płaskodennych łodziach i zaopatrzone w wysunięte za burtę pojedyncze koło młyńskie. Drugi typ, znacznie większy, był swego rodzaju katamaranem. Młynnica, czyli budynek skrywający kamienie młyńskie i koła zębate przenoszące napęd, zbudowana była na dużej łodzi, natomiast wysunięte na zewnątrz koło – szerokie jak napęd parowca albo podwójne – oparte było na dodatkowej, mniejszej łódce, zwanej „zawódką". Co podaje w przypisach Stanisław Węclewski, wydawca poematu Klonowica w 1860 r. Koło młyńskie zwano „belchem", który osadzony był na wale. „Jeden koniec wału w młynie obraca koła i kamienie, a drugi jego koniec, spoczywając na zawódce obraca się w małym żłobku" – podaje Węclewski. Bździel zakotwiczony był do pali wbitych w dno rzeki i połączony z brzegiem kładką, po której wnoszono worki z ziarnem i wynoszono – z mąką. Tylko czasem do transportu używano łodzi.

Młyny opisywane najlepiej sprawdzały się na dużych rzekach albo takich, które miały spokojny, płynący równo nurt. Nie spotykało się ich na Dunajcu, górnym Sanie i podgórskich, spienionych rzeczkach, za to wiele bywało na Dunaju, Sekwanie, Rodanie – na rozlewających się szeroko przestrzeniach wód. Właściciele pływaków w miastach płacili podatki i opłaty, jednak te zacumowane przy wsiach i miasteczkach należały czasem do zwykłych chłopów; ich właściciele byli w pewnym sensie „partaczami" i konkurencją dla zwykłych, statecznych młynarzy osiadłych nad strugami i rzeczkami. Młyn „łodny" był tańszy, zapewne też gorszy, ale jego właściciel mógł skutecznie wymykać się poborcom podatków i opłat miejskich. Przepędzony – mógł go łatwo spławić i zacumować w innym miejscu, które gwarantowało lepsze dochody. ©℗

eprasa.pl 4ac3c5591e

ZAPRASZAMY JUŻ W PAŹDZIERNIKU

KONFERENCJA

Ideologia LGBT – prawna ochrona rodziny

WIĘCEJ SZCZEGÓŁÓW WKRÓTCE

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 4ac3c5591e

MISTRZOWSKI PRZEPIS NA CHLEB STAROPRUSKI

Chleb w dom, Bóg w dom – dlatego od zawsze jestem piekarzem, którego marzeniem jest, aby cała Polska pachniała chlebem! Od 2010 r. podróżuję po Polsce z mobilnym piecem chlebowym i prowadzę pokazy oraz warsztaty wypieku chleba. Na co dzień prowadzę Więzienną Piekarnię w staropruskim więzieniu z 1887 r. na Warmii i Mazurach. Chleb staropruski przygotowywany jest okolicznościowo dla odwiedzających do degustacji, a jego delikatny kwaskowy smak kształtują mąka żytnia, jogurt naturalny i twaróg.

Chleb staropruski (więzienny)

Składniki:

- mąka pszenna chlebowa – 800 g
- mąka żytnia razowa 2000 – 100 g
- woda – 635 g
- cukier – 11 g
- sól – 17 g
- jogurt naturalny – 65 g
- twaróg półtłusty – 50 g
- drożdże – 9 g

1. Mieszanie:
Wkładamy wszystkie składniki do miski i mieszamy. Po wymieszaniu wyrabiamy ciasto przez ok. 10 min. Ciasto jest dość luźne, a przy rozciąganiu może się lekko rwać. Utrzymujemy temperaturę ciasta w okolicach 24 st. C.

2. Fermentacja wstępna:
Trwa trzy godziny i dzieli się na trzy etapy. Po pierwszej godzinie poprzez ostrożne składanie (naciąganie) ciasta budujemy siatkę glutenową. Tę samą czynność robimy po kolejnej godzinie. Potrzebujemy silnej siatki glutenowej do wzrostu chleba poprzez trzymanie gazów.

3. Dzielenie i formowanie:
Dzielimy ciasto na kęsy 0,7 kg, zaokrąglamy lub kształtujemy tradycyjnie i po 20-minutowym leżakowaniu wkładamy w wysmarowaną tłuszczem foremkę lub układamy na wiklinowych koszyczkach posypanych mąką ziemniaczaną.

4. Wzrost, czyli fermentacja końcowa:
Kęsy chleba staropruskiego rosną ok. jednej godziny w temperaturze ok. 24 st. C.

5. Pieczenie:
Wypiekamy chlebki w temperaturze 240 st. C do pełnego zarumienienia. W 25. minucie wypieku obniżamy temperaturę o 10 stopni. Maksymalny czas wypieku to 35–40 min. ©℗

oprac. raw

Artur „Chlebek" Ziemacki – wędrowny, dyplomowany mistrz piekarski, na co dzień wypiekający chleby w Więziennej Piekarni.

FOT. TOMASZ I EWA PISARSCY

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Parasol

FOT. CHRISTOPHER FURLONG/POOL/AFP/EAST NEWS

Filmik pokazujący walkę Borisa Johnsona z parasolem obleciał Internet, zbierając 300 tys. wyświetleń. Brytyjski premier, gość uroczystości upamiętniającej policjantów zmarłych na służbie, najpierw usiłuje złośliwe urządzenie otworzyć – parasol pod wpływem powiewu wiatru odwraca się na lewą stronę; po czym, gdy już udaje się go złożyć, znowu nie daje się rozłożyć. Cała scenka wprawia w rozbawienie sąsiadów premiera – z rzędu z przodu odwraca się rozbawiony książę Walii, szczęśliwy posiadacz solidnego tradycyjnego parasola.

Śmieją się zapewne również ci, którym, jak wyżej podpisanej, wcale nie jest do śmiechu, gdy w ulewie stają się cali mokrzy, a cholerny parasol nie chce się otworzyć. Wiadomo: składaki najbardziej złośliwe okazują się wtedy, kiedy leje. W sklepie są bez zarzutu. Całą swoją perfidną naturę pokazują w czasie deszczu. Oczywiście ich niekwestionowaną zaletą jest to, że można je włożyć do damskiej torebki, nawet do kieszeni. Za to, gdy przychodzi co do czego, mają miejsce dramatyczne akcje, jak wyżej opisana.

Boris Johnson, polityk niekonwencjonalny, jest nim – jak widać – nie tylko w poczynaniach politycznych i w wyborze fryzury, lecz także w swobodnym podejściu do dyplomatycznych reguł. A do nich – przynajmniej teoretycznie – należy parasol. W żadnym wypadku nie składany – tradycyjny, z rączką w kształcie litery J. W książce „Na skraju imperium i inne wspomnienia" przedwojenny dyplomata Mieczysław Jałowiecki, który pełnił funkcję delegata polskiego rządu w Wolnym Mieście Gdańsku, opisuje moment przywitania na dworcu w Gdańsku komisarza Ligi Narodów Reginalda Towera. Jest rok 1920.

„Wańkowicz i ja mieliśmy cylindry na głowach i wszelkie oficjalne akcesoria dyplomatyczne jak paltoty, ubrania, białe rękawiczki i nieodzowne godło dyplomacji, to jest parasol".

Dlatego, żeby uniknąć problemów, jeśli parasol, nawet nie w dyplomacji, tylko po prostu do porządnej ochrony przed deszczem, to tylko tradycyjny. Rączka J z bambusa, pokryta skórą, średnica 118 cm pozwalająca na ochronę dwóch osób, kolor czarny. Nie żadne infantylne seledyny czy fiolety. Poważny parasol jest czarny. I oby nie zakończył żywota z połamanym stelażem, jak nieszczęsne obiekty na obrazach i akcjach Tadeusza Kantora.

Miałem z nimi dużo zabawy, ich wieloznaczność i aluzyjność pomagały mi świetnie w mówieniu o wielu sprawach, z którymi nie mogłem się uporać. Po prostu one mówiły za mnie. ©℗

eprasa.pl 4ac3c5591e

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Covidowa dyplomacja

Na początku pandemii wszystko było proste. Kraje podjęły (z niewieloma wyjątkami – Szwecja, Brazylia, Białoruś) podobne działania, zwłaszcza jeśli chodzi o restrykcje. Do tego w zasadzie zamknięto granice, więc wszyscy jechali równo. Przy tej samej taktyce wewnętrznej zaczęło się różnicowanie na kraje większego ryzyka – gości z nich nie wpuszczano albo jeżeli już, to na kwarantannę. Resztę, w zależności od podejścia danego kraju, wpuszczano pod pewnymi warunkami.

Mieliśmy więc wysyp różnych zestawów w różnych krajach – a to nie wpuszczaliśmy gości z Brazylii, a to z Indii. (Pamiętają Państwo płonące stosy trupów? Gdzież one, gdzież…). Inne kraje miały swoje autorskie zestawy. Kombinacje, a właściwie permutacje wariantów może ogarnąć chyba tylko jakiś geniusz z wielkiej międzynarodowej agencji turystycznej, by połączyć te covidowe zestawy kraju versus reszta świata.

Była nadzieja, że wszystko wyprostują szczepionki. To proste – masz paszport, to wjeżdżasz. Miało to działać na całym świecie. A nie działa. Nie działa nie dlatego, że kraje obawiały się segregacji sanitarnej. Niestety, ten argument byłby całkowicie lekceważony. A więc dlaczego, czyś zaszczepiony, czy nie to i tak musisz się testować, a gdzieniegdzie to w ogóle nie wpuszczają? Ano okazało się, co widać w systemie, a nie w narracji głównego przekazu światowego, że szczepionki niewiele gwarantują, a więc i tak w maseczki i testy co chwila, a paszport wolności już nie wystarcza, szczególnie jeśli się wsiada do samolotu. Zatem oficjalnie słyszymy, że szczepionki załatwiają wszystko, ale jak przyjdzie co do czego, to już nie wystarczają nawet, by wsiąść do samolotu czy na prom. Tu trzymamy się ostro, ale już w ruchu samochodowym – nie. Bo przecież nie chodzi o to, że samochodziarzy można puszczać, bo najwyżej zakażą się sami, ale przecież jak są zakażeni, to wyjdą w takich Niemczech i pozakażają wszystkich. A więc nie jest to konsekwentne.

Była nadzieja, że wszystko wyprostują szczepionki. To proste – masz paszport, to wjeżdżasz. Miało to działać na całym świecie. A nie działa. Okazało się, co widać w systemie, a nie w narracji głównego przekazu światowego, że szczepionki niewiele gwarantują

Namieszał Izrael, co doprowadziło do małych wojen dyplomatycznych, aż wzięła się za to Unia. Otóż – jak wiadomo – Izraelowi idzie nie za dobrze. Zaszczepili się prawie wszyscy, a krzywa zakażeń rośnie, zaś w szpitalach na COVID ponad połowa pacjentów to zaszczepieni. To rodzi problemy wewnętrzne, bo wychodzi, że zaszczepiony dwa razy to niezaszczepiony, paszport ma właściwie anulowany dopóty, dopóki nie zaszczepi się po raz trzeci, a pewnie i czwarty. I jak im tak rosło, to wyszło, że nie wiadomo, jak traktować przyjezdnych. No bo u siebie dwa strzały to za mało. A jak przyjedzie Francuz z dwoma wystarczającymi u siebie dawkami, to w Izraelu to jest kto? Zaszczepiony czy nie? Na kwarantannę czy w ogóle nie wpuszczamy? A że Izraelczykom rośnie, to inne kraje, np. Szwecja i Portugalia, ogłosiły, że gości z Izraela nie wpuszczają, bo to element, choć zaszczepiony, epidemiologicznie niepewny. Poszło na retorsje dyplomatyczne i Izrael odpowiedział symetrycznie. A więc żadnych Szwedów.

Udano się więc do Unii i Izrael dumnie ogłosił, że podpisał z nią umowę na przystąpienie do „zielonego paszportu" i strony wzajemnie będą respektowały ten system w uznawaniu go jako wejściówki do restauracji, miejsc publicznych czy na eventy (tam, gdzie to jest wymagane). Jednak nie idzie to równo, bo kraje dalej mają swoje różnicujące podejście. We Francji i w Szwajcarii niezaszczepieni goście z Izraela i USA mogą wjechać tylko, jeśli mają ważny powód, zwłaszcza humanitarny, mają negatywny test, a i tak dostaną po wjeździe z automatu siedem dni kwarantanny. Holandia kieruje wszystkich izraelskich gości, bez względu na zaszczepienie czy jego brak, na kwarantannę.

Może więc dojść do kolejnej fazy wojen dyplomatycznych, gdzie kraje, które się znajdą na czarnej liście u innych państw, będą odpowiadały symetrycznie, możemy być świadkami zaognienia relacji między krajami, wycofywania ambasadorów.

To, że kraje się coraz bardziej dzielą co do swego stosunku do koronawirusa, będzie powodować nie tylko permutację wersji do uwzględnienia przy wyjeździe, lecz także może zaostrzyć stosunki międzynarodowe, o zapaści turystyki już nie mówiąc, która tego wszystkiego chyba nie przetrwa. ©℗

eprasa.pl 4ac3c5591e

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Pożegnanie

No cóż, wszystko się kończy. Nawet te przyjemne rzeczy, jak pisanie felietonów do „Do Rzeczy". Ten dzisiejszy jest ostatni, więc wypada się pożegnać.

Bez wątpienia kilka osób odetchnie. Głównie moja rodzina, którą często tu portretowałem, w sposób nie zawsze realistyczny. Co prawda, zdecydowanie sprzeciwiam się opiniom, że robiłem tu sobie jaja z mojej żony, ale bez wątpienia nie zmartwi jej fakt, że znajomi przestaną ją wypytywać: „Czy to prawda, co napisał Igor, że…". Podobnie odetchną moi znajomi, którzy czasem nieoczekiwanie dla siebie odnajdywali się na tych łamach, gdy ich perypetie albo przypadłości potrzebne mi były do zilustrowania zjawiska, które właśnie sobie ubrdałem. Jeśli komuś kiedyś zrobiłem przykrość, to przepraszam. No i wreszcie moje dzieci. Dorosła córka czasem się domagała, żeby ją tu uwiecznić, więc ją też proszę o wybaczenie za to, że chwilowo muszą opiewać ją inni. Natomiast mój syn jest już w takim wieku, że może dać mi w pysk za pisanie o nim bez jego zgody. Więc dla własnego bezpieczeństwa wolę zamilknąć.

Na pewno za moimi felietonami tęsknić nie będzie Zbigniew Hołdys, którego kiedyś często się czepiałem. Potem mi się znudziło, a poza tym na stare lata zatraciłem wrodzoną złośliwość, więc dałem Hołdysowi spokój. Ale był taki czas, kiedy często tu występował, i była to bez wątpienia z mojej strony naganna przesada.

Nie wiem, czy kogokolwiek to zainteresuje, ale może wyjaśnię, dlaczego kończę tę zabawę. Jest kilka powodów, ale jeden jest zasadniczy. Otóż wydaje mi się, że nie mam nic ciekawego do powiedzenia. Co miałem, to już powiedziałem, a nowe obserwacje i pomysły jakoś opornie przychodzą mi do głowy. Może to wina mgły pocovidowej, a może kwestia wieku, ale mam przykre wrażenie, że powtarzam sam po sobie. Że niczego już nie odkrywam, a co najwyżej mam ochotę narzekać na to, co się dzieje ze światem, a jednak nie chciałbym skończyć jako gderający dziaders.

I to poczucie, że nie mam nic ciekawego do powiedzenia, jest decydujące. Nie ma co się męczyć, a przy okazji męczyć innych. Może to brzmieć smutno, ale to jedynie pozory. Bo w dzisiejszych czasach, kiedy każdy może się dzielić swymi refleksjami na dziesiątki sposobów, milczenie jest rzadkim przywilejem. Nie każdego na ten rarytas stać. A ja akurat mogę sobie na to pozwolić.

Zatem kłaniam się nisko, dziękuję za uwagę. I mówię: Do zobaczenia! Bo a nuż coś tam mi jeszcze w tej głowinie pyknie. Pozdrawiam serdecznie! ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Cudze chwalicie, swego nie znacie

Małgośka – mówią mi – Polska jako katolicki skansen nie może się podobać. Sektor turystyki traci przez politykę rządu! Ot, progresiści są pewni, że wystarczy zrobić kraj „gay-friendly", a zaleje nas fala posiadaczy złotej karty kredytowej. Bo tacy np. pielgrzymi, którzy przed pandemią przyjeżdżali masowo, uznając Polskę za ostatnie płuco katolicyzmu w Europie, to oczywiście powód do frustracji. Niewiara, że Polska może oczarować, jest pokłosiem pedagogiki wstydu. Mnie akurat często zdarza się przyjmować gości z Hiszpanii, więc coś wiem o emocjach, jakie budzi mój kraj.

Oczywiście goście są specyficzni, bo żaden z nich nie walczył w Hiszpanii o tzw. prawa rozporka, za to mają realne zasługi w świecie nauki czy kultury. Patrzeć na Polskę ich oczami to rzadki przywilej. Dla przykładu – niedawno gościem honorowym konferencji „O ochronie dobrego imienia Polski za granicą" był Alberto Trujillo Gómez – mój przyjaciel, a przy okazji szef stowarzyszenia Poland First to Fight – i gdy z hotelu wyszliśmy wprost na pl. Piłsudskiego, to Alberto głosem złamanym ze wzruszenia wyznał: „Nawet nie wiesz, jak tęskniłem za Warszawą przez tę pandemię". Po czym pobiegliśmy do budynku PAST-y, aby zdążył kupić przed wylotem ulubiony krawat z symbolem Polski Walczącej. Dziś pożegnałam mojego przyjaciela prof. Contrerasa, który był gościem prof. Legutki na kongresie „Polska Wielki Projekt". Contreras to najlepiej wykształcony intelektualista ze wszystkich deputowanych w kongresie hiszpańskim. A jednak w Muzeum Powstania Warszawskiego po prostu osłupiał z wrażenia i krzyknął: „Tyle książek i esejów przeczytałem, ale tu trzeba być, poczuć, zobaczyć! To niebywałe!". W tym czasie tweetował, grzmiąc na Brukselę, że ośmiela się udzielać lekcji moralności narodowi, który stanął do walki z dwoma totalitaryzmami. Na siódmym kilometrze kolejnego muzeum – Polin – gdy ja dogorywałam już ze zmęczenia, Francisco wciąż biegał po salach, czytając wszystko do cna. Po wyjściu zaczął zbierać przez WhatsApp ekipę znajomych profesorów chętnych na wspólny wypad do Warszawy. Przez dwa dni mój andaluzyjski amigo promieniał z zachwytu i to pomimo zimna, przez które musieliśmy go z mężem doposażyć w kurtkę i czapkę. „Powiedz wreszcie, co ci się tu nie podoba" – powiedziałam w końcu. „Nie podoba mi się, że chcesz zburzyć PKiN!!! Przypomina Giraldę z mojej Sewilli! Zostawiliśmy zabytki po inwazji moros, to ty zostaw pałac po komunistach". Odpowiedziałam tylko filuternie: „Zapytaj w kongresie waszych komunistów, możemy go tanio sprzedać!". ©℗

eprasa.pl 4ac3c5591e

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Prymas i bankruci

Dużo mówi się dzisiaj o naukowości i postępowości, tymczasem w stosunku do religii walka jest najbardziej wsteczna, nienaukowa i niekulturalna. Zdaniem pewnych ludzi taka tylko bowiem może być walka z religią. Jak mało szanują oni samą walkę, najlepszy dowód, że biorą do tego ludzi, którzy zbankrutowali i przegrali najwspanialszą, bo kapłańską szansę życia. Tym ludziom zlecają walkę z religią, którą kochali, i walkę z Kościołem, który ich wydźwignął i wyniósł. Najlepszy to dowód, że sami nie szanują tej wielkiej walki, skoro zlecają ją takim ludziom i takim bankrutom. Bankruci zaś wysługują się. Jest to przecież generacja judaszów, która ma swego patrona, swój pomnik i która się odradza".

No i był zbyt „ludowy" i maryjny. W tym ostatnim kontekście przypomina się uwaga abp. Fultona J. Sheena, że „wszelkie nabożeństwo do Maryi przeszkadza tym, którzy negują bóstwo Chrystusa lub winią naszego Pana z powodu tego, co mówi o piekle, rozwodzie i sądzie".

Do grona niezadowolonych dołączył doktor habilitowany nauk społecznych i poseł Lewicy Maciej Gdula (ten od tropienia rasizmu w powieściach Henryka Sienkiewicza). Jak wyznał, zepsutą miał sobotę 12 września telewizyjnymi transmisjami uroczystości beatyfikacyjnych kardynała. Nie sposób jednak nie odnieść wrażenia, czytając jego twitterowe żale, że kanonizację Prymasa Tysiąclecia uważa za rzecz pewną, bo już drży na samą myśl, co wtedy będzie się działo w przekazach telewizyjnych.

Warto zatrzymać się nad zagadnieniem, co po beatyfikacji. Drżeć można na myśl, że ta uroczystość zostanie przez miliony katolików w Polsce potraktowana na zasadzie „mamy to"

Słowa wypowiedziane przez bł. Kard. Stefana Wyszyńskiego w wigilię roku 1960 do warszawskiego duchowieństwa po niemal 60 latach nic nie straciły na aktualności. Wręcz odwrotnie. Zważywszy na fakt, że parę dni przed beatyfikacją Prymasa Tysiąclecia wyliczaniem wszystkich jego wad zajął się jeden ze wspomnianych bankrutów, którzy „przegrali najwspanialszą szansę życia", trafność tych słów jest tym bardziej uderzająca.

„Obirkowanie" prymasa (uczona wersja „opiłowywania" katolików) powtarza wszystkie, znane już od dekad schematy: jakiż to prymas był kostyczny, nietolerancyjny, jakże niebezpiecznie wiązał katolicyzm i nacjonalizm.

Porzucając temat „obirkowania" kard. Wyszyńskiego w wykonaniu uczonych mężów, warto jednak zatrzymać się nad zagadnieniem, co po beatyfikacji. Drżeć można na myśl, że ta uroczystość zostanie przez miliony katolików w Polsce potraktowana na zasadzie „mamy to", czytaj: mamy kolejną podobiznę w albumie wielkich Polaków i nic poza tym. Drżeć można na myśl, że i tym razem – jak po kanonizacji Jana Pawła II – wielkie duchowe oraz intelektualne dziedzictwo wyniesionego na ołtarze wybitnego pasterza Kościoła i męża stanu zostanie albo zredukowane do jednego „non possumus", albo do jednej przejmującej sceny homagium podczas inauguracji pontyfikatu papieża z Polski.

A przecież wszyscy powinniśmy zaczytywać się tekstami pozostawionymi w olbrzymiej spuściźnie błogosławionego. Zacytowane na początku tego felietonu słowa pochodzą z szóstego tomu jego „Dzieł zebranych" (Wydawnictwo Soli Deo). Tylko w tym jednym tomie można wyławiać wiele słów – pereł, które są drogowskazami życiowymi dla wszystkich, bez względu na wiek i stan. Jak chociażby te skierowane w listopadzie 1960 r. do studentów KUL: „Pragniemy waszej wiary, Młodzieży! Nie chcemy jednak, byście ślepo wierzyli. Pogłębiajcie swą wiarę przez proces rozumny tak daleko, jak daleko jest to możliwe".

W czasach, gdy wielu młodych ludzi nie miało szansy dowiedzieć się od swoich duszpasterzy, że wiara nie równa się uczuciu, że nie można jej utożsamiać z dobrym samopoczuciem, takie słowa błogosławionego prymasa są jak znalazł.

Podobny walor mają te wypowiedziane we wrześniu 1960 r. podczas konsekracji warszawskiego kościoła św. Jakuba: „Najmilsi! Pamiętajcie o jednym: jeśli wasze dzieci nie będą miały Boga w sercu, to nie będą miały siły walczyć o swą wolność". Te dzieci „pokolenia milenijnego", wychowanego na Wielkiej Nowennie (cóż za „rygoryzm"!), 20 lat później utworzą wielką Solidarność, od której zaczął się marsz – nie tylko naszego narodu – ku wolności.

W obliczu typów spod wielu gwiazdek i czerwonych piorunów trzeba powtarzać diagnozę błogosławionego prymasa: „Zawsze znamieniem niewolniczych zapędów jest walka z Kościołem. Kto ją podejmuje, ten naprzód walczy z Bogiem, a jeśli z Bogiem, to i z Jego dziećmi". ©℗

eprasa.pl 4ac3c5591e

BURKA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Shit, shit, shit! – powiedział znajomy żołnierz i miał na myśli raczej słowo na „f" (po polsku na „k"). – Wiesz, kogo Biden ewakuował z Afganistanu? Starych pryków o oślinionych brodach z dziewczynkami w wieku lat dziewięciu i to są ich ŻONY. I ja ich mam „w gościnie" na terenie mojej bazy! Gdybym złapał któregoś z naszych żołnierzy z taką dziewczynką, to ten zboczony gnój do końca życia nie wyszedłby z pierdla, rozumiesz?! Ale moje wojsko wydaje posiłki i ciepłe koce tym starym afgańskim prykom i oni potem gwałcą te dziewczynki pod naszymi wojskowymi kocami, w naszych amerykańskich koszarach i to jest LEGALNE, no bo to ich afgańska żona. Co to w ogóle jest?! Dowódca mi powiedział, że na razie mamy rozkaz „szanować ich obyczaje i religię, i się nie wtrącać". A ja pytam, co z MOJĄ religią i MOIMI obyczajami i co z amerykańskim prawem, na amerykańskiej ziemi, gdzie dupczenie dziewięciolatki to gwałt i pedofilia, za które idzie się siedzieć? Jesteś antropolog, to mi powiedz: CO TO, K…., JEST?!!!

Takie rzeczy trudno wytłumaczyć na spokojnie i na trzeźwo, kazałem więc postawić przed nim flaszkę tequili, a potem polewałem kilka razy, raz za razem, a on gasił pożar duszy.

Pomiędzy kolejnymi szklaneczkami wierzgał jeszcze:

– Moja córka ma 10 lat! Druga skończy dziewięć w grudniu! Jak ja mam wracać do domu, patrzeć im w twarz i udawać, że nie widzę tego, co widzę w bazie? Czy ja jestem, k…., jakiś esesman, który dzieli ludzi na ludzi i podludzi? Afgańskie dziewczynki to nie ludzie?

Biden ewakuował z Afganistanu ponad 100 tys. osób, o których Departament Stanu ani wojsko nie wiedzą, kim są. Część nie posiada żadnych dokumentów, część ma papiery, ale nie swoje, część ma swoje, ale nie są to dokumenty uprawniające do ewakuacji z Afganistanu – po prostu weszli na lotnisko w Kabulu, a potem wdarli się do samolotów. Wśród ewakuowanych jest (zgodnie z tym, co przyznają ludzie Bidena) tylko ok. 37 tys. współpracowników USA z rodzinami. A reszta? „Prześwietlamy ich" – powiedział urzędnik Bidena. No i niektórzy „prześwietlani" to mężczyźni w wieku 50+ z dziewięcioletnimi żonami.

Czy wszyscy talibowie to zboczeńcy? Hm. W zasadzie… tak. Są jak najbardziej pedofilami z NASZEGO punktu widzenia. Mahomet zmarł w roku 632, a obyczaje talibów opierają się na literalnej interpretacji słów Proroka, czyli są to poglądy zamrożone niemal 1,4 tys. lat temu i odporne na zmiany obyczajów i wiedzy (w tym medycznej). Nasz świat poszedł do przodu, ich świat zamarł wraz z ostatnim słowem Proroka.

Prorok nauczał pomiędzy Mekką a Medyną, czyli w strefie zwrotnikowej. Na tej szerokości geograficznej pierwsza miesiączka pojawia się u dziewczynek ok. dziewiątego roku życia. Zgodnie z nauczaniem Proroka po pierwszej miesiączce dziewczynka staje się kobietą, czyli nadaje się na żonę. O dojrzałości psychicznej nikt wtedy nie myślał – liczyła się dojrzałość sprawdzalna gołym okiem, czyli fizyczna. Jest zdolna do rozrodu, a zatem dojrzała jako kobieta. W taki sposób talibowie oceniają też swoje kozy.

Prorok powiedział: „Od kiedy dziewczyna zacznie miesiączkować, nie jest właściwe dla niej, by pokazywała swoje ciało oprócz tego i tego" (wskazał na dłonie i twarz). Dlatego ciało kobiety w islamie jest zasłaniane od dziewiątego roku życia. I… Wyobraź sobie, że żyjesz pod rządami talibów. Wszystkie kobiety starsze niż dziewięcioletnie, które spotkasz w swoim życiu, są zobowiązane prawem szariatu do noszenia burki. Jeżeli nie noszą burki, to są bezbożnymi dziwkami i należy je pozabijać. Burka zasłania całe ciało oprócz dłoni, a twarz widać jedynie przez coś w rodzaju moskitiery. Gdybyś chciał się ożenić, a przed ślubem obejrzeć swoją żonę, to musisz to zrobić, zanim ona skończy lat dziewięć – potem kupujesz kota w worku i to w sensie dosłownym, bo zarówno „kupujesz" (talib żonę kupuje), jak i „w worku" (burka to coś w rodzaju worka, w którym ukrywa się ciało kobiety). To dlatego talibowie biorą sobie za żony dziewięcioletnie dziewczynki – wtedy jeszcze da się obejrzeć, co bierzesz, oraz… wtedy już można rozdziewiczyć i nikt (w świecie talibów) nie uzna tego za stosunek z dzieckiem, lecz z dojrzałą kobietą.

Prorok Mahomet miał żon 13. Najsławniejszą, najmądrzejszą i najbardziej ukochaną była Aisza. Prorok ożenił się z nią, gdy miała lat siedem, ale „wziął ją do siebie" i skonsumował małżeństwo, gdy skończyła lat dziewięć. W tamtych czasach małżeństwa polityczne dzieci z wpływowych rodów zawierano nie tylko w Arabii. Ale u nas rozdziewiczanie małej dziewczynki uznane byłoby za barbarzyństwo – także wtedy, nie tylko dziś.

Mahomet miał 53 lata, Aisza dziewięć. Gdy przeprowadziła się do domu męża, zabrała swoje zabawki, a tradycja islamu zawiadamia, że Mahomet bawił się nimi potem razem z nią. Podobnie jest pośród ewakuowanych do USA wyznawców Proroka. Podobnie zachowują się talibowie w Afganistanie. I w zasadzie nie mają wyjścia – albo żenisz się z dzieckiem, zanim zostanie zapakowane w burkę, albo kupujesz babę w worku.

W Holandii przedstawiciele niektórych szkół oficjalnie zabronili uczennicom noszenia burki, argumentując, że komunikacja niewerbalna jest niezbędna do nauczania.

Sąd w Nowej Zelandii ogłosił, że kobiety nie mogą mieć na sobie burki, gdy składają zeznania – chcemy widzieć wyraz twarzy, gdy ktoś kłamie. We Włoszech ukrywanie twarzy w miejscu publicznym jest zabronione od roku 1975. Prawo antyterrorystyczne przewiduje grzywnę i więzienie dla osób nieprzestrzegających zakazu. Te przepisy wprowadzano również po to, by zlikwidować burki. We Francji noszenia burek w miejscach publicznych zakazano w roku 2011.

W Polsce obowiązują przepisy uchwalone wprawdzie przeciw „kibolom" oraz uczestnikom Marszu Niepodległości, ale skoro mówią sucho o „zakazie ukrywania twarzy", to dotyczą kominiarek oraz burek.

Wszystko powyższe poszło się bujać, gdy wprowadzono COVID. Starych przepisów nie zlikwidowano, więc gdy nie założysz maski, grozi ci kara z paragrafu COVID, a gdy założysz maskę, grozi z paragrafu burka plus terroryści – czyli masz wybór, który przepis złamać, bo nie da się nie złamać żadnego. Mają nas w garści, chyba że się zbuntujemy, ale na razie chętnych do buntu niewielu. W tej sytuacji mój znajomy żołnierz wypił tequilę, powiedział „shit" 300 razy, a potem wrócił do domu do swojej córeczki lat 10 i do tej drugiej, która w grudniu skończy dziewięć. ©℗

eprasa.pl 4ac3c5591e

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

ROD DREHER
„ŻYĆ BEZ KŁAMSTWA. JAK WYTRWAĆ W CHRZEŚCIJAŃSKIEJ OPOZYCJI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~909 ZŁ~~

335,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 574 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 4ac3c5591e

SUPER TITANIUM

Eco-Drive®

CITIZEN®

BETTER STARTS NOW

eprasa.pl 4ac3c5591e